



ARTURO

PÉREZ-REVERTE

Falcó

znak

ARTURO
PÉREZ-REVERTE

Falcó

Przekład Marzena Chrobak

Nie wierzę w tych, co mają dom, łóżko, rodzinę i przyjaciół.

Charles Plisnier, *Faux passeports*

Pieć tak naprawdę jest potężnym stymulantem.

John Dos Passos, *The best times: an informal memoir*

Choć oparta na prawdziwych, udokumentowanych wydarzeniach, powieść *Falcó* należy do literatury pięknej, a jej fabuła i postaci są owocem wyobraźni. Autor zmodyfikował niektóre drugoplanowe wydarzenia historyczne zgodnie z wymogami fikcji.

1. NOCNE POCIĄGI

Kobieta, która miała umrzeć, mówiła bez przerwy od dziesięciu minut w wagonie pierwszej klasy. Rozprawiała na tematy trywialne: sezon w Biarritz, najnowszy film z Clarkiem Gable'em i Joan Crawford. O hiszpańskiej wojnie wspomniała mimochodem zaledwie parę razy. Lorenzo Falcó słuchał jej z wypalonym do połowy papierosem w ręce, z nogą starannie założoną na nogę, tak by nie zagnieść kantu flanelowych spodni. Kobieta siedziała przy oknie, za którym rozpościerała się noc, Falcó po przeciwległej stronie, przy drzwiach wychodzących na korytarz. Byli w przedziale sami.

– To była Jean Harlow – powiedział Falcó.

– Słucham?

– Harlow. Jean... Ta, która grała w *Chińskich morzach* z Gable'em.

– Ach.

Kobieta patrzyła na niego bez mrugnięcia trzy sekundy dłużej niż zwykle. Wszystkie kobiety poświęcały mu co najmniej te trzy sekundy. On lustrował ją jeszcze przez krótką chwilę, doceniając jedwabne pończochy ze szwem, buty dobrej jakości, kapelusz i torebkę na sąsiednim siedzeniu oraz elegancką sukienkę od Vionnet. Między ubiorem a nieco pospolitą powierzchownością kobiety dobry obserwator – a takim był – dostrzegł lekki dysonans. Zdradzała ją także egzaltacja. Otworzyła torebkę i poprawiała sobie usta i brwi, stwarzając pozory dobrych manier

i wychowania, których w rzeczywistości jej brakowało. Jej przykrywka była udana, uznał Falcó. Dopracowana. Ale daleka od doskonałości.

– Pan także jedzie do Barcelony? – zagadnęła.

– Tak.

– Mimo wojny?

– Jestem człowiekiem interesu. Wojna utrudnia jedne, a ułatwia inne.

Przelotny, natychmiast stłumiony cień pogardy zasnuł jej oczy.

– Rozumiem.

Znajdująca się trzy wagony wcześniej lokomotywa wydała przeciągły gwizd, a stukot kół wzmógł się, gdy ekspres wszedł w długi zakręt. Falcó spojrzał na patka philippe'a na lewym nadgarstku. Za kwadrans pociąg zatrzyma się na pięć minut na stacji w Narbonie.

– Pani wybaczy – powiedział.

Zgasił papierosa w popielniczce w podłokietniku i wstał, poprawił węzeł krawata, wygładził poły marynarki. Przelotnym spojrzeniem obrzucił podniszczoną torbę ze świńskiej skóry spoczywającą nad jego głową na półce z siatki w pobliżu kapelusza i płaszcza. Torba była niemal pusta, nie licząc kilku starych książek, które miały nadać jej kształt. To, co niezbędne – paszport, portfel z francuskimi, niemieckimi i szwajcarskimi pieniędzmi, fiolkę kopiryny, szylkretową papierośnicę, srebrną zapalniczkę i browninga kaliber 9 mm z sześcioma nabojami w magazynku – miał przy sobie. Zabranie kapelusza mogłoby wzbudzić podejrzenia współpasażerki, wziął więc tylko płaszcz, żegnając się milcząco i z żalem ze swoim nieskazitelnym trilbym z brązowego filcu.

– Za pozwoleniem – dodał, rozsuwając drzwi.

Gdy popatrzył na kobietę jeszcze raz, ta odwróciła już twarz ku nocy panującej na zewnątrz, a jej kontur odbijał się w ciemnej szybie okna. Ostatnie spojrzenie poświęcił nogom. Ładne, uznał obiektywnie. Twarz

była taka sobie, wiele zawdzięczała makijażowi, lecz sukienka uwypuklała sugestywne kształty, a nogi potwierdzały tę sugestię.

W korytarzu stał niski mężczyzna w długim płaszczu z wielbłądziej wełny, dwukolorowych butach i czarnym kapeluszu z bardzo szerokim rondem. Miał wyłupiaste oczy i był nieco podobny do amerykańskiego aktora George'a Rafta. Kiedy Falcó przystanął przy nim jakby przypadkiem, poczuł intensywną woń pomady do włosów zmieszana z perfumami z wody różanej. Niemal nieprzyjemną.

– To ona? – szepnął człowieczek.

Falcó potaknął, wyjmując papierośnicę i wkładając do ust następnego papierosa. Gość w wielbłądzim płaszczu wyduł usta, małe, różowe, okrutne.

– Na pewno?

Falcó nie odpowiedział, zapalił papierosa i poszedł dalej, do końca wagonu. Odwrócił się i zobaczył, że osobnika nie ma już w korytarzu. Palił, oparty o drzwi toalety, nieruchomy obok sprzęgu, który łączył wagony, wsłuchując się w ogłuszający turkot kół po torach. W Salamance Admirał naciskał, żeby to ktoś inny zajął się taktyczną stroną. Nie chcemy spalić cię ani ryzykować, gdyby coś poszło nie tak, brzmiała decyzja. Rozkaz. Ta kobieta jedzie z Paryża do Barcelony, bez eskorty. Ty masz tylko zobaczyć ją i zidentyfikować, a potem zniknąć. Paquito Araña zajmie się resztą. Sam wiesz. Subtelnie, jak to on. Jest dobry w takie klocki.

Ponownie odezwała się syrena na początku składu. Pociąg hamował, światła zaczęły mijać ich coraz wolniej. Turkot kół też stał się wolniejszy i mniej rytmiczny. U wylotu korytarza pojawił się konduktor w niebieskim mundurze i czapce, oznajmiając: „Narbona, pięć minut postoju”, a jego obecność zaniepokoiła Falcó, który w napięciu obserwował, jak podchodzi i mija ich przedział. Nic jednak nie zwróciło uwagi konduktora – Araña najpewniej zaciągnął zasłony – który zmierzał w stronę Falcó, powtarzając:

„Narbona, pięć minut postoj”, i przeszedł po sprzęgu do następnego wagonu. Na peronie było niewielu ludzi: kilkoro podróżnych z walizkami wysiadających z pociągu, zawiadowca w czerwonej czapce i z latarnią w ręce podążający nieśpiesznie w stronę parowozu, żandarm ze znudzoną miną, w krótkiej pelerynie, stojący przy wyjściu z rękami założonymi za plecami i ze wzrokiem utkwionym w zwisającym pod daszkiem zegarze, którego wskazówki pokazywały 0.45. Idąc ku wyjściu, Falcó obrzucił wzrokiem wagon, z którego wysiadł: od strony korytarza zasłony przedziału kobiety były wciąż zaciągnięte. Kątem oka zauważył, że Araña także wysiadł z pociągu, lecz z innego wagonu, i podążył kilka kroków za nim.

Na przedzie składu zawiadowca pomachał latarnią i dmuchnął w gwizdek. Lokomotywa buchnęła parą i ruszyła, ciągnąc za sobą pociąg. W tym czasie Falcó wszedł do budynku, minął hol i znalazł się na ulicy, w żółtawej poświacie latarni oświetlającej mur oklejony reklamami i peugeotą stojącego tam, gdzie miał się znajdować, przy krawężniku, nieco za postojem taksówek. Falcó zatrzymał się na moment, czekając, aż Araña go dogoni. Nie musiał się odwracać, gdyż bliskość kolegi zapowiedział charakterystyczny aromat pomady do włosów i wody różanej.

– To była ona – potwierdził Araña.

Wymawiając te słowa, podał Falcó mały skórzany portfel. Następnie z rękami w kieszeniach płaszcz i kapeluszem nasuniętym na oczy człowieczek przeszedł drobnymi, zwawymi kroczkami przez żółtawe światło ulicy i zniknął w mroku. Falcó z kolei skierował się do peugeotą z włączonym silnikiem i czarną, nieruchomą sylwetką na siedzeniu kierowcy. Otworzył tylne drzwi i wsiadł, kładąc płaszcz obok siebie, a portfel na kolanach.

– Ma pan latarkę?

– Tak.

– Proszę mi dać.

Kierowca podsunął mu ją, wrzucił pierwszy bieg i ruszył. Reflektory oświetliły puste ulice, a potem przedmieścia, drogę z białymi pasami namalowanymi na drzewach. Falcó zapalił latarkę, kierując światło na zawartość portfela: listy i dokumenty wypełnione na maszynie, notes z numerami telefonów i adresami, dwa wycinki z prasy niemieckiej, legitymację ze zdjęciem i pieczętą rządu katalońskiego Generalitat na nazwisko Luisy Roviry Balcells. Cztery dokumenty nosiły pieczętki Komunistycznej Partii Hiszpanii. Schował je z powrotem do portfela, odłożył latarkę na siedzenie i usadowił się wygodniej. Rozluźnił krawat, okrył się płaszczem, położył głowę na oparciu i zamknął oczy. Nawet teraz, gdy ogarniał go błogi sen, jego atrakcyjna, kanciasta twarz pokryta kielkującym zarostem nie straciła zwykłego wyrazu: rozbawionego, sympatycznego – choć w każdej chwili mógł zakłócić go twardy, okrutny grymas – jakby jej posiadacz stale znajdował się w obliczu tragikomicznego, uniwersalnego żartu, w którym sam zresztą uczestniczył.

Na poboczach migają w świetle reflektorów pomalowane na biało drzewa. Ostatnia myśl Falcó, zanim zasnął ukołyszany ruchem samochodu, pobiegła ku nogom martwej kobiety. Szkoda, stwierdził, zapadając w sen. Marnotrawstwo. W innych okolicznościach nie miałby nic przeciwko temu, by niespiesznie spędzić noc między tymi nogami.

– Jest nowa sprawa – oznajmił Admirał.

Za jego plecami, po drugiej stronie okna, wznosiła się kopia katedry w Salamance wyrastająca z wciąż jeszcze nagich gałęzi drzew na placu. W dobiegającym od okna świetle szef SNIO – Państwowych Służb Operacyjno-Wywiadowczych – podszedł do wielkiej mapy półwyspu

zajmującej połowę ściany obok regałów z tomami encyklopedii Espasa i portretem Caudilla.

– Brudna, śmierdząca, nowa sprawa – powtórzył.

Powiedziawszy to, wyciągnął pomietą chusteczkę z kieszeni wełnianej marynarki – nigdy nie nosił munduru w biurze – wydmuchał donośnie nos i popatrzył na Lorenza Falcó, jakby ów był winien jego przeziębieniu. Następnie, chowając chusteczkę, rzucił szybkie spojrzenie na prawą dolną część mapy i wskazał na nią nieokreślonym gestem.

– Alicante – powiedział.

– Czerwona strefa – skomentował niepotrzebnie Falcó, a szef spojrzał na niego najpierw z uwagą, potem z niezadowoleniem.

– Jasne, że czerwona – odrzekł oschle.

Zauważył impertynencki ton. Falcó przyjechał do Salamanki zaledwie wczoraj po męczącej podróży przez południe Francji i przekroczeniu granicy w Irunie. Wcześniej wykonał trudną misję w Barcelonie położonej w strefie republikańskiej. Od buntu wojskowych nie zaznał ani dnia spoczynku.

– Odpoczniesz w grobie.

Admirał zachichotał ponuro i jakby sam do siebie. Rzecz w tym, pomyślał Falcó, że humor szefa często przybierał grobowy charakter, zwłaszcza od kiedy jego jedyny syn, młody podporucznik, został zamordowany trzeciego sierpnia na pokładzie krążownika Libertad wraz z innymi oficerami. Ta kąśliwość i zamiłowanie do makabry były znakiem rozpoznawczym Admirała, także gdy wysyłał agenta z Grupy Lucero – operacje specjalne – na pewną śmierć, żeby dał się żywcem obedrzeć ze skóry w czece – czerwonej katowni – za liniami wroga.

Dzięki temu wdowa po tobie dowie się wreszcie, gdzie nocujesz, był zdolny powiedzieć, i inne zabawne rzeczy w tym stylu. Ale na tym etapie,

po czterech miesiącach wojny domowej i utracie kilkunastu agentów zaginionych tu i ówdzie, ten szorstki, cyniczny ton stał się marką wydziału. Naśladowały go nawet sekretarki, kopiowali nasłuchowcy i szyfranci. Poza tym idealnie pasował do szefa, Galisyjczyka z Betanzos, chudego, drobnego, o gęstych, szpakowatych włosach i wąsiskach pożółkłych od nikotyny całkowicie zakrywających górną wargę, wielkim nosie, krzaczastych brwiach, prawym oku – lewe było szklane – bardzo czarnym, surowym i błyszczącym, o nieprzeciętnej inteligencji, w którym słowa „czerwony” albo „wróg” budziły zawsze spokojną urazę. Krótko mówiąc, człowiek odpowiedzialny za twarde jądro frankistowskiego wywiadu był mały, sprytny, opryskliwy i budzący strach. W kwaterze głównej w Salamance nazywali go El Jabalí, Dzik. Ale nigdy prosto w twarz.

– Mogę zapalić? – zapytał Falcó.

– Nie, do diabła. Nie możesz zapalić. – Popatrzył melancholijnie na słoik z tytoniem do fajek na stole. – Mam straszne grypisko.

Choć szef stał, Falcó zajmował miejsce na krześle. Znali się od dawna, od czasów, gdy Admirał, podówczas kapitan okrętu i attaché wojskowy w Stambule, organizował dla Republiki siatkę wywiadowczą we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego; gdy wybuchł konflikt domowy, oddał swoich agentów wywiadu do dyspozycji frankistów. Poznali się w Stambule na długo przed wojną, przy okazji przemytu broni przeznaczonej dla IRA, dla której Falcó pracował wtedy jako łącznik.

– Mam coś dla pana – powiedział Falcó.

Wyciągnął z kieszeni kopertę i położył ją na stole przed Admiralem. Ów przyjrzał się jej badawczo. Szklane oko było trochę jaśniejsze od tego prawdziwego, co powodowało wrażenie dwukolorowego zęza, którym wprawiał w zakłopotanie swoich rozmówców. Po krótkiej chwili otworzył kopertę i wyjął z niej znaczek pocztowy.

– Nie wiem, czy już pan go ma – powiedział. – Rocznik tysiąc osiemset pięćdziesiąty.

Admirał obracał okaz w palcach, oglądał pod światło. Po chwili sięgnął do szuflady biurka pełnej fajek i puszek z tytoniem, wyjął lupę i poddał znaczek dokładnemu badaniu.

– Czarny na niebieskim tle – oznajmił z satysfakcją. – Bez stempla pocztowego. Numer jeden z Hanoweru.

– Tak mi powiedział filatelista.

– Gdzie go kupiłeś?

– W Hendaye, zanim przekroczyłem granicę.

– Jest wart co najmniej cztery tysiące franków według katalogu.

– Zapłaciłem pięć tysięcy.

Admirał podszedł do szafy, wyjął klaser i umieścił w nim znaczek.

– Wrzucić w koszy.

– Już to zrobiłem... Co z tym Alicante?

Admirał zamknął powoli szafę. Następnie dotknął nosa, popatrzył na mapę i dotknął nosa raz jeszcze.

– Jest czas. Co najmniej kilka dni.

– Będę musiał tam pojechać?

– Tak.

To dziwne, jak jedno krótkie słowo może tyle wyrazić, pomyślał z ironią Falcó. Przekroczenie granicy strefy, znajomą niepewność wynikającą ze świadomości znalezienia się po raz kolejny na terytorium wroga, niebezpieczeństwo i strach. Może też więzienie, tortury i śmierć: szary świt pod ścianą albo strzał w tył głowy w mroku piwnicy. Bezimienny trup w przydrożnym rowie albo zbiorowej mogile. Łopata wapna palonego i na tym zakończy się wszystko. Przywołał z zakamarków pamięci kobietę

z pociągu sprzed kilku dni i z fatalistyczną rezygnacją zauważył, że zaczyna zapominać jej twarz.

– Wykorzystaj ten czas – poradził Admirał. – Zrelaksuj się.

– Kiedy mnie pan wprowadzi w sprawę?

– Tym razem zrobimy to w kilku odsłonach. Pierwsza jutro, z ludźmi z SIIF.

Falcó uniósł brwi z dezaprobatą. Skrót oznaczał Służby Informacyjno-Wywiadowcze Falangi, paramilitarną, faszystowską milicję. Ludzi najbardziej zideologizowanych i nieprzejednanych z tak zwanego Ruchu Narodowego, któremu przewodził generał Franco.

– Co ma z tym wspólnego Falanga?

– Coś tam ma. Zobaczysz. Mamy spotkać się o dziesiątej z Anzelem Luisem Povedą... Tak, nie rób takiej miny. Z tym bydlakiem.

Falcó powstrzymał grymas. Poveda był szefem SIIF. Stara koszula, twarogłowy weteran, sewilczyk, który wstawił się w Andaluzji w pierwszych dniach powstania, rozstrzelując związkowców i nauczycieli szkolnych na rozkaz generała Queipo de Llano.

– Myślałem, że działamy sami. Na własny rachunek. Zawsze.

– Otóż widzisz, że nie. To rozkaz prosto od Generalissimusa. Tym razem współpracujemy z falangistami, i to nie wszystko: maczają w tym palce jeszcze Niemcy, i modlę się, żeby nie weszli Włosi. Chwilę temu rozmawiałem na ten temat ze Schröterem.

Falcó nie posiadał się ze zdziwienia. Nie znał osobiście Hansa Schrötera – przechrzczonego przez odwiecznych hiszpańskich prześmiewców na Jasia Moszę – ale wiedział, że chodzi o szefa nazistowskiego wywiadu na terenie Hiszpanii, który pozostawał w bezpośrednim kontakcie z admirałem Canarisem w Berlinie. We frankistowskiej kwaterze głównej w Salamance roiło się od agentów służb

krajowych i zagranicznych: równoległe do szwabów z Abwehry operowała tu włoska Servizio Informazioni Militare, a także przeróżne organizacje wywiadowcze i kontrwywiadowcze Hiszpanii, które konkurowały z sobą, a częstokroć także wchodziły sobie w paradę: falangiści z SIIF, wojskowi z SIM, wywiad marynarki wojennej, cywilna sieć szpiegowska znana jako SIFNE, poza tym MAPEBA, Departament Policji i Bezpieczeństwa oraz pomniejsze służby. SNIO, na czele których stał Admirał, były podporządkowane sztabowi głównemu i nadzorowane bezpośrednio przez Nicolasa Franco, brata Caudilla. Formacja ta specjalizowała się w infiltrowaniu, sabotażu i likwidowaniu wrogich elementów, zarówno w strefie republikańskiej, jak i za granicą. W jej skład wchodziła tak zwana Grupa Lucero, do której należał Lorenzo Falcó: niewielki, elitarny zespół mężczyzn i kobiet zwanych w żargonie tutejszych służb specjalnych Grupą od Brudnych Spraw.

– Dziś wieczorem w Kasynie odbywa się uroczystość z okazji przyjazdu włoskiego ambasadora. Jego poselstwo zajmie pierwsze piętro. Będzie mnóstwo ludzi. Może się wybierzesz?

Falcó przyjrzał się uważnie szefowi. Wiedział, że ten go lubi – nieraz wymuskiło mu się: „Jesteś trochę podobny do mojego syna” – ale z pewnością nie jest typem, którego obchodziłyby rozrywki czy sposób spędzania wolnego czasu któregośkolwiek z podwładnych. W odpowiedzi na jego spojrzenie Admirał przywołał na twarz jadowity uśmiech.

– Hans Schröter też tam będzie... Umówiłem was na małe spotkanko, kilka minut, nie więcej. W cztery oczy. On też chce cię poznać, ale bez zwracania uwagi. Bez odwiedzin w gabinetach i tym podobnych.

– Co mam mu powiedzieć?

– Nic. – Admirał po raz kolejny wysiąkał nos w chusteczkę. – Kurtuazyjna wymiana zdań. Milczysz, dajesz się oglądać i nie puszczasz

pary z ust. To tylko pierwszy kontakt. Słyszał o tobie i chce cię obwąchać.

– Zrozumiano. Patrzyć, słuchać i dziób na kłódkę.

– Dokładnie tak. À propos... będzie tam jeszcze jeden Niemiec, którego obaj znamy: Wolfgang Lenz.

– Ten od Rheinmetall?

– Tak. Z żoną, ma na imię chyba Uta. Albo Greta. Coś w tym stylu. Krótko. A może Petra.

– Znam ją.

Admirał posłał mu krzywy uśmiech, gotów nie dziwić się niczemu. Od zbyt dawna pracowali razem.

– Dogłębnie?

– Nie. Powierzchnownie. Poznaliśmy się kiedyś na kolacji, była z mężem. W Zagrzebiu. W ubiegłym roku. Pamięta pan? Pan też tam był.

– Jasne, że pamiętam. – Grymas przerodził się w pogardliwy chichot. – Tłusta blondyna z dekoltem na plecach, który odsłaniał dupę. Dziwka jak wszystkie Niemry... Znając cię, dziwię się, że nie powalczyłeś na tej arenie.

Falcó uśmiechnął się wymijająco, jakby prosząc o wybaczenie.

– Pasłem się gdzie indziej, panie admirale.

– Przypuszczam. – Patrzył na niego roztargniony, myśląc o czymś innym. – No więc mamy ich tutaj i zobaczymy, co z tego wyniknie. Bardzo specjalni goście i cały ten szajs.

– Czy mają coś wspólnego ze sprawą Alicante?

Palec wskazujący Admirała wymierzył w Falcó niczym odbezpieczony pistolet.

– Ja nigdy nic nie mówiłem o Alicante... Kapujesz, chłopcze?

– Kapuję.

Prawe oko stwardniało i spoważniało.

– Nie wymienilem tego ani żadnego innego pieprzonego miasta.

– Oczywiście, że nie.

– No więc przestań zgrywać mądrałą, zabieraj cztery litery w troki i spadaj. Czekam na ciebie jutro za kwadrans dziesiąta przy ulicy Consuelo, idziemy spotkać się z Povedą... Ach. I bądź w mundurze.

– W mundurze?! Mówi pan poważnie?

– Jasne, że tak. Myślę, że masz go jeszcze, o ile nie zjadły ci go mole.

Falcó podniósł się powoli, zdziwiony. Nie był wojskowym, wręcz przeciwnie. W tysiąc dziewięćset osiemnastym został wyrzucony w niesławie z Akademii Morskiej po skandalu z żoną pewnego wykładowcy i walce na pięści z mężem w auli w trakcie wykładu o torpedach i broni podwodnej. Jednakże gdy wybuchła wojna, Admirał załatwił mu tymczasowy awans na porucznika marynarki, by ułatwić pracę. Nic nie otwierało tylu drzwi w nacjonalistycznej Hiszpanii jak galony albo gwiazdki na mankietach.

– Tych gości z Falangi rajcują mundury – powiedział Admirał, gdy Falcó przekraczał próg gabinetu. – Musimy na początek zrobić dobre wrażenie.

Falcó udał, że staje na baczność.

– Kiedy będę w mundurze, powinienem mówić: „rozkaz, panie admirale”?

– Idź do diabła.

Pachniał płynem Varón Dandy, a włosy miał zaczesane na tył głowy na brylantynie, z bardzo wysokim przedziałkiem. Stojąc przed lustrem w pokoju hotelowym, wywijał metodycznie kołnierzyk i wykladał sztuczne mankiety koszuli smokingowej. Jej przód był nieskazitelnie biały. Spodnie

z nienagannym kantem opadające na wyglansowane lakierki były podtrzymywane przez szelki. Lorenzo Falcó znieruchomiał na moment, studiując swoje odbicie w lustrze, zadowolony z efektu: ogolony brzytwą na gładko, baczki idealnie przycięte, szare oczy spoglądające na siebie i na resztę świata ze spokojną, ironiczną melancholią. Pewna kobieta opisała je kiedyś – to zawsze kobiety celowały w definiowaniu takich szczegółów – jako oczy grzecznego chłopaczka, któremu coś poszło źle w szkole.

Ale w rzeczywistości bynajmniej nie poszło mu źle, choć często uznawał za pożyteczne to, że sprawiał takie wrażenie, zwłaszcza na kobietach. Falcó pochodził z zacnej andaluzyjskiej rodziny zajmującej się winiarniami, winem i jego eksportem do Anglii. Maniery i wychowanie odebrane w dzieciństwie bardzo mu się przydały później, kiedy mało przykładowa młodość, przerwana kariera wojskowa i życie wagabundy i poszukiwacza przygód poruszyły inne cechy jego charakteru. Miał teraz trzydzieści siedem lat, a za sobą intensywny życiorys: Ameryka, Europa, Hiszpania. Wojna. Nocne pociągi, granice przekraczane w śniegu lub deszczu, międzynarodowe hotele, ciemne, niepokojące ulice, potajemne uściski. A także – tam, gdzie najświeższe wspomnienia tonęły w mroku – podejrzane miejsca i sprawy, których coraz większa liczba na razie jeszcze mu nie doskwierała. Życie traktował jako fascynujące terytorium – strefę polowań na grubego zwierza, do której dostęp był zarezerwowany dla nielicznych śmiazków gotowych ponieść ryzyko i zapłacić zań, kiedy przyjdzie pora, bez szemrania. Kelner, na ile opiewa rachunek? Proszę zatrzymać resztę. Takie życie wiązało się z natychmiastowymi nagrodami i być może straszliwymi karami, które czekały na swoją porę, ale te ostatnie były jeszcze zbyt daleko. Dla Falcó słowa „ojczyzna”, „miłość” albo „przyszłość” nie miały żadnego sensu. Był człowiekiem chwili, do tego został wyszkolony. Wilkiem w mroku. Zachłannym i niebezpiecznym.

Założywszy muszkę, czarną kamizelkę i marynarkę, zapiął pasek zegarka – na mankietach, wystających dokładnie na trzy centymetry, błyszcząły owalne spinki z gładkiego srebra – i schował do kieszeni przedmioty starannie ułożone na komodzie: zapalniczkę Parker Beacon z litego srebra, kremowozielone wieczne pióro Sheaffer Balance, ołówek w stalowym futerale, notesik, srebrne puzderko na leki z czterema kopirynami, portfel z krokodylej skóry, a w nim dwieście peset w banknotach o niskim nominale i kilka drobnych monet na napiwki. Następnie wyjął z dużej puszkii playersów dwadzieścia papierosów – sprowadzał je z Lizbony za pośrednictwem łącznika SNIO – i umieścił je w dwóch przegródkach szylkretowej papierośnicy, którą schował do prawej kieszeni marynarki. Sprawdził, czy wszystko znajduje się tam, gdzie powinno, i odwrócił się w stronę pistoletu, który zostawił na nocnym stoliku obok łóżka. Była to jego ulubiona broń i od lipca tego roku praktycznie się z nią nie rozstawał. Samopowtarzalny browning FN, model 1910 wyprodukowany w Belgii, z trzema bezpiecznikami, mechanizmem spustowym bezkurkowym, działający na zasadzie odrzutu zamka swobodnego, z magazynkiem na sześć nabojów: bardzo prosta, poręczna i lekka broń zdolna wystrzelić kulę kalibru 9 mm z prędkością 299 metrów na sekundę. Poświęcił część popołudnia, zanim wszedł do wanny, na jego rozłożenie, przeczyszczenie i staranne naoliwienie głównych części, oraz sprawdzenie, że sprężyna powrotna owinięta wokół lufy działa gładko i sprawnie. Przytrzymał go teraz przez chwilę na otwartej dłoni, upewnił się, że magazynek jest pełen i wsunięty do oporu, a komora pusta, owinał w chusteczkę i ukrył wysoko na szafie. Nie miało sensu, powiedział sobie, zabierać go na przyjęcie w Kasynie, choć ze względu na sezonową modę będzie tam mnóstwo mundurów, koaliczyjek i pistoletów.

Po raz ostatni rozejrzał się wokół siebie, wziął płaszcz, biały szalik i miękki czarny kapelusz, zgasił światło i opuścił pokój. Gdy kroczył korytarzem, przyjemne wspomnienie – że to właśnie browning 1910 został użyty przez Serba Gawriłę Principa podczas zamachu na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie, który stał się główną przyczyną wybuchu pierwszej wojny światowej – wywołało okrutny uśmiech na jego twarzy. Oprócz drogich ubrań, angielskich papierosów, wyrobów ze srebra i ze skóry, tabletek od bólu głowy i niepewnego życia Lorenzo Falcó lubił rzeczy naznaczone jakimś szczegółem. Rzeczy z duszą.

2. *SUSPIROS DE ESPAÑA*

Orkiestra wojskowa grała paso doble *Suspiros de España*, kiedy Lorenzo Falcó przekraczał próg salonu. Zadaszone patio Kasyna mieszczącego się w szesnastowiecznym pałacu było oświetlone z pompą, co kłóciło się z surowymi zasadami gospodarki wojennej głoszonymi przez nacjonalistyczne władze. Tak jak się spodziewał, zobaczył wiele mundurów, koalicijek, wyglansowanych oficerek i nowiutkich kabur kokieteryjnie przytroczonych do pasa przez właścicieli. Wśród wojskowych, zauważył, przeważały wysokie stopnie, od kapitana w górę, prawie wszyscy nosili insygnia sztabu głównego albo intendentury, choć tu i ówdzie przewijały się jakaś ręka na temblaku i świeże odznaczenia zdobyte na polu bitwy w owych dniach, gdy prasę wypełniały wieści o działaniach wojennych, a wokół Madrytu toczyły się najbardziej zażarte walki. Jednakże mimo owych bitewnych akcentów, mundurów i wojskowego sznytu odnosiło się wrażenie, że front jest bardzo daleko. Panie, mimo całej skromności panującej w modzie w kręgach nacjonalistycznych – kobieta to istota delikatna, podpora bojownika, narzeczona, małżonka i matka – nosiły się z szykiem dowodzącym znajomości najnowszych żurnali, a niejedna fortunnie łączyła nowe moralistyczne trendy z podejściem podkreślającym atrakcyjność swej płci. Co do mężczyzn, pośród mundurów dało się dostrzec kilka smokingów mniej lub bardziej poprawnych oraz wiele ciemnych garniturów, zwykle z niebieską koszulą Falangi i czarnym krawatem. W salonie unosił się gwar rozmów, wojskowi kelnerzy w białych, obcisłych kurtkach krążyli z tacami

pełnymi kieliszków, a pod ścianą, naprzeciw orkiestry, stał stół z przekąskami. Nikt nie tańczył. Falcó pozdrowił machinalnie kilku znajomych, omiół wzrokiem pomieszczenie i przystanął przy szerokich schodach udekorowanych flagą Hiszpanii – została odzyskana przez narodowców kilka tygodni temu, tracąc przy tym republikański fioletowy pas – by zapalić papierosa.

– Cóż ty tu porabiasz, Lorenzo? Myślałem, że bawisz za granicą...

Podniósł wzrok, nie zdążywszy otworzyć papierošnicy. U jego boku stali mężczyzna i kobieta. On nazywał się Jaime Gorguel, był w mundurze z kapitańskimi gwiazdkami na mankietach i oznaczeniami piechoty na patkach kołnierza. Ona, czarnowłosa, szczupła nieznajoma, miała na sobie suknię z kaszmiru i jedwabiu ze srebrzystym połyskiem, Drogą i dobrej jakości, jak stwierdził Falcó. O ile nie myliły go oko i doświadczenie.

– A ja myślałem, że bawisz na froncie – odpowiedział.

– Stamtąd właśnie przybywam. – Oficer pokazał na skroń, gdzie pod włosami ułożonymi na brylantynie widoczny był wielki krwiak. – Wstrząs mózgu, powiedzieli.

– Och. Coś poważnego?

– Nie. Odłamek szrapnela, który na szczęście zamortyzowała czapka. Pod Somosierrą. Dali mi tydzień, żebym wydobrzeł. Wracam do jednostki pojutrze.

– I jak tam?

– Fantastycznie. Jesteśmy niespełna dwadzieścia kilometrów od Madrytu i stale posuwamy się naprzód. Mówią, że czerwoni ewakuowali rząd i przenieśli się do Walencji, przy odrobinie szczęścia do świąt Bożego Narodzenia będzie po wszystkim... Znasz Cheskę, moją bratową?

Zapach Amoka. Drogie, eleganckie perfumy, trudne do zdobycia w dzisiejszych czasach – Szał Orientu, jak głosiły żurnale. Falcó przyjrzał

się kobiecie z uwagą: miała jasne oczy, duży nos, doskonale piersi i harmonijne ciało. W typie modelek Romera de Torresa, osądził. Ledwie uchwytna nuta cygańskości nie odbierała jej uroku, wręcz przeciwnie, podkreślała go. Poza tym była ponadprzeciętnie ładna. Bardzo ponadprzeciętnie.

– Nie miałem przyjemności.

– Cóż... To Lorenzo Falcó, kolega ze szkoły. Spędziliśmy razem kilka lat u marianistów w Jerezie... María Eugenia Prieto, żona mojego brata Pepina. Nazywamy ją Chesca.

Falcó pochylił lekko głowę, ściskając wyciągniętą dłoń. Znał z widzenia jej męża, Joségo Marię Gorguela, hrabiego Migaloty. Oschły, sztywny i elegancki, około czterdziestki, pasjonat wyścigów konnych. Kiedyś bywali w tych samych salach flamenco i tych samych luksusowych burdelach w Sewilli i w Madrycie.

– A jak się miewa twój brat? – zagadnął Jaimego Gorguela, raczej z grzeczności niż z autentycznego zainteresowania, choć nie spuszczał kobiety z oka. Uważał za wysoce pouczające i pożyteczne obserwowanie reakcji mężatki na wzmiankę o nieobecny mężu.

– Dobrze, o ile mi wiadomo – odrzekł zapytany. – Zaciągnął się osiemnastego lipca i dali mu kompanię regularnych. Jest gdzieś na froncie madryckim. Chyba nieopodal Navalcarnero... I to brzmi nieźle, no nie? Jak za dawnych czasów. Hiszpański grand na czele kompanii Maurów... Odwieczna Hiszpania, która zmartwychwstaje, by zmieść marksistowską hołotę.

– Zaiste, epickie – skonkludował Falcó.

Wyraz twarzy kobiety powiedział mu, że zauważyła ironię. Nie miał jednak czasu zastanowić się, czy z taktycznego punktu widzenia jest to dobre czy złe, ponieważ dostrzegł ponad jej ramieniem – naga skóra

przysłonięta lekką gazą zgodnie z nowymi obyczajami – że ktoś daje mu z daleka znaki. Rozpoznał Marili Granger, zaufaną sekretarkę Admirala. Zaskoczył go jej widok w tym miejscu, ale szybko uświadomił sobie, że jako żona oficera ze Sztabu Głównego Marynarki Wojennej w Salamance, osoba, której obecność na przyjęciu jest całkowicie uzasadniona, odgrywała rolę naturalnego i dyskretnego łącznika. Między kolumnami w głębi patio, w pobliżu stołu kelnerów, wypatrzył jasną głowę Hansa Schrötera podążającego ku drzwiom ustronnego saloniku.

– Proszę wybaczyć – powiedział.

Gdy Marili zamknęła drzwi, zostawiając ich samych, Schröter przyjrzał się bacznie Lorenzowi Falcó. Niemiec trzymał w jednej ręce lampkę koniaku, a w drugiej hawańskie cygaro. Miał wydatny nos górujący nad kołnierzykiem i czarną muszką. Pozioma blizna na lewym policzku nadawała mu surowy wygląd. Był wysoki i chudy, miał kwadratowy podbródek ogolony bardzo starannie i beznamietne oczy koloru arktycznego błękitu.

– Rad jestem, że mogę pana poznać – powiedział dobrą hiszpańszczyzną, choć z nieco zbyt gardłowym „r”.

– Wzajemnie.

Stali naprzeciwko siebie, lustrując się w milczeniu. Niemiec pociągał cygaro, od czasu do czasu maczał usta w koniaku. Ciszę przerywała jedynie dobiegająca z oddali muzyka wojskowa. Po chwili Schröter spojrzał w stronę drzwi.

– Przyjemne przyjęcie – stwierdził.

– Tak.

– Sądzę, że wieści z frontu są dobre... Marksiści wycofują się, Madryt wkrótce się podda.

– Tak mówią.

Sceptyczny ton Falcó zdawał się podsycać ciekawość Niemca, który wypił łyk koniaku, przyglądając się jeszcze baczniej swojemu rozmówcy.

– Wie pan, kim jestem? – zapytał.

– Oczywiście.

– Co panu powiedział pański szef, Admirał?

– Że chciał pan przyjrzeć mi się w związku z pewnym zadaniem.

Żrenice Niemca zwęziły się.

– Jakiego rodzaju zadaniem?

– Tego mi nie powiedział.

Schröter nie spuszczał z niego badawczego oka. W saloniku stały fotele, lecz żaden z mężczyzn nie zamierzał siadać.

– Mówi pan po niemiecku?

Pytanie zadał w tym języku. Falcó odpowiedział po niemiecku z uśmiechem:

– Znośnie. Mieszkałem przez jakiś czas w Europie Środkowej.

– Jakie jeszcze języki pan zna?

– Francuski i angielski. Poza tym kaleczę włoski... Znam też wszystkie brzydkie słowa, wyzwiska i przekleństwa po turecku.

Żart prześliznął się po beznamietnej twarzy Schrötera. Spojrzał na nadpalone cygaro, omiół wzrokiem otoczenie w poszukiwaniu nieistniejącej popielniczki i lekkim ruchem palca wskazującego strzepnął popiół na dywan.

– Skoro poruszył pan temat tureckiego... Zabił pan mojego rodaka, rok temu, w Stambule.

Falcó wytrzymał jego wzrok.

– To możliwe.

Blizna na policzku jakby zapadła się nieco.

– Nazywał się Klaus Topeka, sprzedawał optyczny sprzęt wojskowy.

– Nie wiem, nie pamiętam. – Falcó wzruszył ramionami. – Nie potrafię panu powiedzieć.

– Tylu ludzi zabił pan w Stambule i gdzie indziej, że nie pamięta pan?

Falcó nie odpowiedział. Doskonale pamiętał Topekę, prywatnego handlarza pracującego dla Abwehry. Listopad tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego, przed wojną. Sprawa szybka i czysta: strzał w kark w drzwiach taniego burdelu w dzielnicy Beyoglu. Upozorowanie rabunku. Otrzymał rozkaz zlikwidowania Topeki, ponieważ ten zbyt się wtrącał w handel przyrządami optycznymi kupowanymi od Związku Radzieckiego przez Republikę. Admirał we własnej osobie, podówczas jeszcze dowódca hiszpańskiego wywiadu na obszarze wschodniego basenu Morza Śródziemnego, wskazał Falcó ten cel. To ciekawe, pomyślał, jak życie wszystko zmienia. Sojusze. Przedmioty sympatii i nienawiści.

– Pański szef mówi o panu, że jest pan człowiekiem solidnym. Całkowicie godnym zaufania. A zadanie, jakie ma panu powierzyć, jest delikatne... Powiada pan, że nie podał panu jeszcze żadnych szczegółów na ten temat?

– Tak. Tak powiedziałem.

Schröter pociągnął cygaro w zamyśleniu.

– Ja też nie wyjawię panu prawie nic – stwierdził wreszcie, wypuszczając dym. – Powiem tylko, że Marynarka Wojenna mojego kraju popiera tę sprawę. W operacji weźmie udział jednostka Kriegsmarine... Być może nawodna, być może podwodna. Ustalimy to w ciągu najbliższych dni.

Falcó postanowił udawać greka.

– W czerwonej strefie?

Niemiec spojrział na niego bez słowa, jakby szacował, co wie, a co ukrywa.

– W Kartagenie jest konsul niemiecki – powiedział. – Nazywa się Sánchez-Kopenick. Otrzymał instrukcje. W odpowiednim momencie się skontaktujecie.

– Nikt do tej pory nie wspominał mi o Kartagenie.

Lodowate błękitne oczy nie zmieniły wyrazu.

– Więc właśnie to zrobiłem. Oczywiście z całkowitą pewnością, że zapomni pan nazwę tego miasta, gdy tylko opuści to pomieszczenie.

Kartagena i Alicante. Lewant republikański. Falcó myślał intensywnie, łącząc wątki. Nieliczne, jakie znał.

– I czego oczekują panowie ode mnie? Na czym polega zadanie?

– To powie panu pański szef. – Schröter po raz kolejny pociągnął cygaro. – Ja się nie będę wtrącał. Jak mi się zdaje, jutro mają panowie ważne spotkanie na ten temat. Z osobami trzecimi.

Falcó skrzywił się w duchu. Był niezadowolony. Lubił pracować po swojemu, na co zwykle Admirał mu pozwalał. Do tego służyła Grupa Lucero. Teraz jednak, cokolwiek się kroilo, miało wyglądać inaczej. SNIO, falangiści i Niemcy biorący udział w jednej operacji to nie brzmiało za dobrze. Gdzie pasterzy sześciu, jak powiadało stare hiszpańskie porzekadło, tam owcy grozi śmierć. I bynajmniej mu się nie uśmiechało, że tą owcą może być on.

– Coś jeszcze? – zapytał.

Schröter odstawił pustą lampkę na stół.

– Nic.

Falcó był zaskoczony.

– To wszystko?

– Tak, chciałem pana poznać. Zobaczyć z bliska.

– Ciekawość zawodowa?

– Może pan tak to nazwać. Powiedziano mi, że brał pan udział w ewakuacji Krymu w tysiąc dziewięćset dwudziestym razem z białymi. A nawet został pan ranny.

Falcó ponownie wytrzymał jego wzrok.

– Być może.

– Służyłem wtedy na Mütze w randze oficera. Ale pan nie jest Rosjaninem... I był pan wówczas bardzo młody. Co pana tam przywiodło?

– Interesy.

– Dziwny sposób robienia interesów. Tam było ciężko.

– Tak mówią.

– Sprzedawał pan broń, prawda? Tu i ówdzie... Albo pracował pan dla tych, którzy ją sprzedawali... Na przykład dla Zacharowa...

Falcó pozwolił sobie na uśmiech w duchu. Poznał Bazylego Zacharowa na pokładzie Conte di Savoia, przy kartach. Podczas pięciu dni żeglugi z Gibraltaru do Nowego Jorku słynnemu handlarzowi bronią spodobały się zimna krew i nonszalancja młodego Hiszpana, którego wyrzucono właśnie z Akademii Morskiej i którego rodzina wysyłała do Ameryki, by zaczął nowe życie. Pół roku później Falcó pracował dla Zacharowa, działając między Meksykiem, Stanami a Europą.

– Nie wiem – odrzekł. – Nie pamiętam już.

Rozmówca wciąż świdrował go wzrokiem.

– A czy to prawda, że oprócz interesów z Rosjanami zajmował się pan wtedy również przemytem broni dla meksykańskich rewolucjonistów i dla IRA?

– To jeszcze słabiej pamiętam.

– Aha... Rozumiem. Był też pan swego czasu w Niemczech, jak mi się zdaje... W Berlinie, nieprawdaż?

– To owszem, pamiętam doskonale, niech pan sobie wyobrazi. Stiukowe fasady, światła kabaretów, udawana wesołość, która dwie ulice dalej przeradzała się w smutek. Te wszystkie dziwki w pręgowanych futrach, szepczące: „*Komm, Süsser*”.

– To było przedtem.

– Przed czym?

– Przed narodowym socjalizmem.

– Skoro pan tak mówi...

Niemiec otworzył drzwi. Wrócili obaj do salonu, gdzie ponad gwarem rozmów unosiły się takty paso doble z *El gato montés*.

– Zna pan pana Lenza? – zainteresował się Schröter.

– Tak.

Przystanęli obok ryżego mężczyzny i bardzo wysokiej, niemal korpulentnej blondynki odzianej w czarną satynę.

– Wolfgang Lenz i jego małżonka Greta. Podobno państwo się już znają, czy tak? To Lorenzo Falcó.

– Owszem, znamy pana Falcó – potwierdził Lenz.

Wolfgang Lenz nie miał na sobie smokingu, lecz ciemny garnitur. Czuć było od niego anyżek, a w ręku trzymał kieliszek napełniony do połowy. Zapięta na opasłym brzuchu marynarka napinała się. Był przedstawicielem fabryki amunicji Rheinmetall na południu Europy. Ich drogi skrzyżowały się kilkakrotnie w przeszłości ze względów zawodowych. Kiedyś w Bukareszcie w dwudziestym dziewiątym Falcó uczestniczył nawet jako pośrednik w transakcji dostawy trzech tysięcy mauzerów, starych i zdezelowanych, które jednak znalazły znakomite zastosowanie. Obaj zarobili na tym sporo forsy. Obecnie, od czasu powstania wojskowego

przeciwko Republice, Lenz dostarczał broń zbuntowanym oddziałom. Mieszkał z żoną w hotelu w Salamance i najwyraźniej czuł się jak u siebie w pałacu biskupim, gdzie mieściła się kwatera główna Caudilla.

– Zostawiam pana w dobrym towarzystwie – powiedział Schröter na odchodnym.

Falcó wyjął papierośnicę i poczęstował małżonków. Lenz nie chciał zapalić, lecz jego żona owszem.

– Angielskie? Och, tak. Dziękuję. Uwielbiam angielskie papierosy.

Greta Lenz przewyższała męża o głowę i miała twarde, wulgarne rysy, choć nie była brzydka. Gładkie włosy średniej długości, obcięte nad ramionami. Intensywna czerwień na ustach. Opięta suknia wieczorowa podkreślała jędrne germańskie biodra, a dekolt ukazywał obfity biust: bujne kształty z przodu i z tyłu, których żadna Hiszpanka w tej katolickiej i wstrzeźliwej nowej Hiszpanii – pomyślał z rozbawieniem Falcó – nie ośmieliłaby się okazać z taką dezynwolturą.

– Ma pan ciekawych znajomych – zauważył Lenz, wskazując kieliszkiem plecy Schrötera.

– Interesy – odrzekł Falcó, zapalając Grecie Lenz papierosa, którego umieściła w bursztynowej lufce.

Mąż wypił łyk i spojrzał złośliwie na Falcó.

– Ojczyzna i interesy często chodzą w parze.

Falcó zapalił swojego papierosa i wypuścił dym nosem.

– A jak tam pańskie?

– Nie mogę narzekać. Wie pan, jak to działa... Generał Franco potrzebuje dóbr, które mogę mu dostarczyć.

– Te dobra kosztują.

– Oczywiście. Ale ktoś za niego płaci, więc wszyscy są zadowoleni. Niemcy i Włochy współpracują i wystawiają rachunki. Albo wystawiają niebawem. Mówią, że ten pański rodak, który mieszka we Francji, ten finansista, Tomás Ferriol, pokrywa obecnie większość kosztów... Wie pan coś o tym?

– Nie.

Rozmawiali przez chwilę. Greta Lenz wyjęła z torebki puderniczkę Elizabeth Arden i przypudrowała sobie nos. Przyglądała się Falcó z zainteresowaniem, ale był do tego przyzwyczajony. Kobietom zwykle podobały się jego eleganckie maniery, regularne rysy i sympatyczny, śmiały uśmiech, skalkulowany co do milimetra, wypróbowany tysiące razy, uśmiech, który posyłał im jak wizytówkę. Już w bardzo młodym wieku pojął, kosztem kilku własnych, szybkich rozczarowań, podstawową prawdę: kobiety czują pociąg do dżentelmenów, lecz do łóżka wolą iść z kanalami. Pewne jak dwa dodać dwa równa się cztery.

– Masz ochotę na łyeczek anyżówki, kochanie? – zagadnął Lenz.

– Nie, dziękuję. – Zniżyła nieco głos, w którym pobrzmiwał wyrzut. – I myślę, że ty pijesz za dużo.

– Przesadzasz.

Mąż odszedł po kolejny kieliszek, a gdy kobieta odwróciła twarz, napotkała spokojny uśmiech Falcó.

– Wolfgang jest zachwycony Hiszpanią – powiedziała po chwili. – Czuje się tu wyśmienicie.

– Widzę... A pani?

– Ja mniej – oznajmiła z gestem pogardy. – Wszystko mi się wydaje brudne i szare. Mężczyźni są okrutni, pyszałkowaci, a kobiety zbyt smutne, z tymi ciągłymi mszami i różańcami... Kiedyś tu było weselej, w Madrycie,

Sewilli, Barcelonie. – Obrzuciła Falcó długim, zamyślonym spojrzeniem. – Gdzie to się spotkaliśmy ostatnio?

– W Zagrzebiu. W hotelu Esplanade. Na czyimś przyjęciu.

Szukała w pamięci, marszcząc brwi. Były bardzo wydepilowane, dwie wąskie kreski ledwie zaznaczone pociągnięciem brązowego ołówka. Oczy miała kasztanowe ze słomkowymi refleksami.

– To prawda. Był pan z pewną damą, hiszpańskim wojskowym i z tym włoskim pisarzem Malapartem... Gawędziliśmy przez chwilę na tarasie, ale nie było okazji, żeby porozmawiać dłużej.

– Tak jest. – Falcó zawiesił głos na krótką chwilę, starannie obliczoną, spoglądając beczelnie na jej dekolt. – Czego bardzo żałowałem.

Greta Lenz przyjęła ten sprawdzian z podziwu godną naturalnością. Że lustrowano ją w ten sposób, wyciągnął wniosek, musiało być równie oczywiste jak to, że mówiono jej „dzień dobry”. Ewidentnie była do tego przyzwyczajona.

– Nie wyglądał pan na przepełnionego żalem – odparła. – O ile mnie pamięć nie myli, kobieta, która panu towarzyszyła, była bardzo ładna... Greczynka albo Włoszka, czyż nie?

Falcó wytrzymał jej wzrok bez mrugnięcia okiem.

– Nie pamiętam żadnej kobiety.

– W Zagrzebiu?

– Nigdzie.

Teraz to Greta Lenz obserwowała ironicznie jego uśmiech. Już miała coś powiedzieć, lecz oboje dostrzegli powracającego męża, który torował sobie drogę wśród gości. W ręce trzymał nowy kieliszek. Przystanął, żeby zamienić z kimś kilka słów.

– Mieszka pan tutaj, w Salamance? – zagadnęła jakby od niechcienia.

– Tak. W Gran Hotelu.

Zmrużyła oczy w obłoku papierosowego dymu.

– Cóż za zbieg okoliczności – zauważyła. – My również.

O wpół do jedenastej Lorenzo Falcó opuścił gmach Kasyna. Godzina policyjna rozpoczynała się o jedenastej, ale hotel był niedaleko, więc nie musiał się spieszyć. Dziesięć minut spacerkiem, bo dym, alkohol i konwersacje sprawiły, że miał ochotę odetchnąć świeżym powietrzem. Przed chwilą połknął dwie kopiryny – częste migreny były jego piętą achillesową – które właśnie zaczynały przynosić mu ulgę. Odczuwał lekki żąb spotęgowany wilgocią od niedalekiej rzeki Tormes. Szedł nieśpiesznie między pogrążonymi w ciemnościach budynkami przy ulicy Zamora – noc była bezksiężycowa, miasto zaciemnione z powodu groźby ataków republikańskiego lotnictwa – a potem przez Plaza Mayor, z rękami w kieszeniach płaszcza, szalikiem założonym na piersi, kapeluszem naciągniętym na oczy. Nie napotkał nikogo po drodze, słyszał tylko echo własnych kroków. Noc była tak głucha, że musiał zgadywać, w którym miejscu arkad znajduje się wyjście. Zanim wszedł na schody, zatrzymał się na moment, żeby zapalić papierosa. Ogieniek zapalniczki przyciągnął uwagę grupy cieni, które wynurzyły się spod arkad.

– Kto idzie? – zapytał jeden z cieni.

– Hiszpania.

Tak brzmiała zwyczajowa odpowiedź w tamtych dniach. Metaliczny dźwięk – szcęk zarepetowanego karabinu – uzmysłowił Falcó, że ma do czynienia z patrolem. Nocna straż obchodząca rewir.

– Hasło! – zażądał ten sam głos.

Ton był władczy. Nieprzyjemny i arogancki. Jakiś podoficer wkurzony tym, że nie wyśpi się tej nocy, pomyślał Falcó. Albo, co gorsza, milicjant

z Falangi, którego świerzbi ręka i który rwie się do bohaterskich czynów.

– Nie znam hasła.

– To zgaś papierosa i ręce do góry.

Zwrot per ty nie pozostawiał cienia wątpliwości: falangiści. Falcó zachnął się w ciemności. Lufa karabinu dotknęła jego piersi. Wykonał posłusznie rozkaz, czyjeś ręce obszukały go bezceremonialnie. Snop światła z latarki oślepił go.

– Skąd idziesz?

– Z Kasyna.

– Dokąd?

– Do Gran Hotelu. Mieszkam tam.

Falcó usłyszał, że cienie szepczą coś między sobą.

– Jest godzina policyjna – odezwał się pierwszy głos.

– Jeszcze nie. Za jakiś kwadrans.

– A ten elegancki kapelusz?

– Czerwoni nie noszą kapeluszy.

– Dokumenty.

W świetle latarki milicjant obejrzał papiery Falcó. Zwykły dowód osobisty, gdzie pod zdjęciem figurowały fałszywe imię i nazwisko oraz fikcyjny adres w Sewilli. W kręgu światła mignęło mu jarzmo i strzały wyszyte na opasce założonej na sztruksową kurtkę. Obok stały jeszcze dwa cienie. Nieprzyjazne twarze, błysk karabinów. Zero sympatii. Zimniejsi niż noc, uznał.

– Masz legitymację członka Falangi?

– Nie.

– A innej organizacji Ruchu?

– Też nie.

– Zastrany paniczyk – skomentował jeden z milicjantów.

– Bawi się, kiedy inni walczą – dorzucił drugi.

Falcó miał ochotę zauważyć, że oni także znajdują się dokładnie dwieście kilometrów od frontu, ale ugryzł się w język. Na terenach zajętych przez zbuntowane wojsko najróżniejsze szumowiny i oportuniści czym prędzej wkładali niebieskie koszule i przyłączali się do tak zwanego Ruchu Narodowego. Przy dobrych plecach i łucie szczęścia członkostwo w falangistowskiej milicji na tyłach było znakomitym sposobem zabezpieczenia się przed wysłaniem na front. Zadekowania, jak mawiano. Ci domorośli patrioci mogli bezkarnie rozprawiać się z sąsiadami, denuncjować podejrzanych, szabrować ich domy, a nawet wpakować im kulkę w łeb pod jakąś latarnią nad przydrożnym rowem. Od pierwszych dni wojny władze wojskowe zezwalały tym typom na najbardziej brutalne represje. Nie mieli wiele wspólnego z falangistowskimi centuriami, które walczyły naprawdę, przelewając krew na północy albo wokół Madrytu.

– Pójdiesz z nami – oznajmił dowódca.

Falcó uśmiechnął się krzywo. Do siebie. „Pójdiesz z nami” znaczyło w wolnym tłumaczeniu: zabierzemy cię na odwach, porachujemy kości i pozbawimy wszystkich cennych rzeczy, jakie masz przy sobie. Nie był w stanie powstrzymać parsknięcia. Głupi amatorzy.

– Z czego się śmiejesz?

Odetchnął głęboko, zanim przemówił. Po czym wygłosił z największym spokojem:

– Śmieję się, bo choćbym nie wiem jak łamał sobie głowę, przychodzą mi na myśl tylko dwie możliwości. Jedna: wyciągnę teraz papierośnicę, zapalimy sobie wszyscy razem, a potem rozejdziemy się po przyjacielsku. Druga: pójdę z wami, jak proponujecie, a kiedy dotrzemy na miejsce, porozmawiam z waszym setnikiem i wspólnie zadzwonimy do towarzysza

Povedy, szefa SIIF, albo do kwatery głównej Caudilla, albo do dowódcy Marynarki Wojennej, albo do waszej pieprzonej mamusi... A jutro o tej porze będziecie wszyscy trzej śpiewać *Twarzą ku słońcu* w okopach pod Navalcarnero, ku chwale ojczyzny. I tam się okaże, czy rzeczywiście macie jaja.

Najważniejszy jest ton, uśmiechał się w duchu Falcó. Słowa nie mają takiego znaczenia jak ton, którym zostały wypowiedziane. Nastąpiła cisza, długa, gęsta, w której szykował się do walki, gdyby jego groźba spaliła na panewce. Trzech przeciwników to liczba nie do zlekceważenia, a ciemności były zbyt egipskie, żeby sięgnąć po ostrze brzytwy ukryte w taśmie kapelusza. W jego głowie rozegrał się z wyprzedzeniem zapierający dech w piersiach układ choreograficzny klasycznego baletu, niemal automatycznego, wyćwiczonego już tylekroć: raz, dwa, trzy. Łup. Rach. Ciach. Walnąć głową w tego od latarki – przy odrobinie szczęścia złamie mu nos, kopa w najbliższego – przy odrobinie szczęścia trafi go w krocze, a potem w trzeciego tym, co popadnie. Ciemność i kolba karabinu, jeśli uda mu się go przechwycić, powinny załatwić sprawę. A jeśli coś nie wyjdzie, pryśnie w miasto spowite mrokiem. Noc była jeszcze młoda.

– Za kogo ma się ten skurwiel? – wycedził jeden z falangistów.

– Zamknij japę – warknął dowódca.

Ponownie zapadła cisza, niemal tak długa jak poprzednia. Snop światła jeszcze raz dotknął twarzy Falcó. I nagle zgasł, a Lorenzo poczuł w dłoni swój dowód.

– Może pan iść. To o papierosach było na poważnie?

Z amerykańskiego baru w Gran Hotelu widać było hol. Lorenzo Falcó opierał łokieć o kontuar, a stopę o metalową rurkę, sięgając od czasu do

czasu po kieliszek i pociągając mały łyk. W trójkątnej popielnicy z reklamą Cinzano leżały cztery niedopałki. Bar był przyjemny, w przedwojennym międzynarodowym stylu. Na ścianach oprawione zdjęcia aktorów – Douglas Fairbanks, Paul Muni, Loretta Young – poza tym wysokie, skórzane, wygodne stołki, wystrój z drewna i chromowanego metalu.

– Myślę, że poproszę cię o następne *hupa-hupa*, Leandro.

– Na pana miejscu odczekałbym jeszcze chwilkę, don Lorenzo. Wypił pan już dwa, a nic po panu nie widać.

– Nie pisnę więcej ani słówka. Ty tu rządzisz.

Leandro, barman, był spokojnym typem o szpakowatych włosach i melancholijnej twarzy ze śladami po ospie. Na tym etapie łączyła ich już zażyłość; tak zwykle się działo z barmanami, kelnerami, recepcjonistami, szatniarzami, kwiaciarzami, pucybutami i przedstawicielami innych podrzędnych zawodów przydatnych w ułatwianiu życia. Bitwy – i tego też nauczył się Falcó bardzo szybko – wygrywa się dzięki kapralom i sierżantom, nie generałom. Co do Leandra, jego specjalnością był *hupa-hupa*, drink na bazie martini, wódki i wermutu z kilkoma kroplami soku pomarańczowego. Od czasu powstania narodowego, już to ze względów patriotycznych, już to z czystej ostrożności dyrekcji hotelu, wódkę zastąpiono galicyjskim orujo. Falcó smakowało tak nawet bardziej. Z orujo zamiast wódki.

Dochodziła północ, gdy zobaczył, że do holu wchodzi Lenzowie. Mąż miał rozpięty płaszcz i kapelusz zsunięty na tył głowy, kroczył z pewnym trudem, wspierając się na żonie. Wychodząc z drzwi obrotowych, o mało nie potknął się o dywan. Ona była w futrze narzuconym na suknię wieczorową i wyglądała na poirytowaną. Szli w stronę windy, gdy Greta Linz spojrzała w stronę baru i dostrzegła Falcó. Nie okazała najmniejszym

gestem, że go rozpoznaje, i zniknęła mu z pola widzenia, podtrzymując męża.

– Zrób mi jeszcze jednego *hupa-hupa*, Leandro. I ty też się czegoś napij.

Przysłuchując się z przyjemnością odgłosom szejkera, którym barman potrząsał z wirtuozerią, Falcó zapalił kolejnego playersa. Ostatniego.

– Masz coś do palenia?

– Tylko tytoń z Kanarów, don Lorenzo. I bibułkę.

– Zawsze byłem pechowcem.

Barman napełnił mu kieliszek, a resztę zawartości szejkera wlał do swojego. Falcó podniósł drinka i spojrzał nań pod światło.

– *Arriba España*, Leandro.

– Zawsze *arriba*, don Lorenzo.

– Niech dadzą w dupę Leninowi i Stalinowi. I Douglasowi Fairbanksowi.

– I komu pan tylko zechce.

– To wszystko przez Rosję.

– Na pohybel.

Stuknęli się kieliszkami i wypili, Falcó uśmiechnięty nad krawędzią szkła, barman nieodmiennie poważny. Ten pierwszy trzymał jeszcze przy ustach kieliszek, kiedy do baru weszła Greta Lenz.

Pocałowali się dopiero, gdy Falcó zamknął drzwi swojego pokoju i przekręcił klucz – mąż to mąż, nieważne jak pijany. Do tego momentu wszystko działo się z chłodną naturalnością: krótka i banalna rozmowa w barze, Leandro dyskretnie krzątający się w najdalszym rogu, a następnie, bez zbędnych słów i umawiania się, porozumiewawcze spojrzenie, kobieta dokończyła drinka, zsunęła się z wysokiego stołka i ruszyła w stronę windy,

podczas gdy Falcó, nieruchomy przy barze, obserwował oddalającą się dobrą wróżbę jej bioder pod zwiewnym materiałem wieczorowej sukni, solidność barczystych teutońskich pleców, proste, jasne włosy obcięte nad ramionami. Trzy minuty później, odliczone na zegarku zapiętym na lewym nadgarstku, Falcó położył na kontuarze dwa banknoty pięciopesetowe i wymieniwszy szybkie spojrzenie z nieporuszonym barmanem, odszedł do swojego pokoju. Zdążył zdjąć marynarkę, muszkę i kołnierzyk koszuli, gdy zapukała do drzwi. I pozostali tu, zacieśniając braterskie więzi między nowymi Niemcami a pełną wigoru młodą Hiszpanią.

Greta Lenz była całkiem zepsuta, stwierdził Falcó już w pierwszej fazie działań. Bardzo w tym niemiecka. I rzeczywiście niezwykle wprawna w tych sprawach, jak insynuował Admirał, który najwyraźniej wiedział, co w trawie piszczy. Operowała językiem z zadziwiającą biegłością, czerpiąc z tego autentyczną radość, aż musiał uruchomić dodatkowe rezerwy, żeby nie dopuścić, by historia zakończyła się w tym momencie przedwcześnie eksplozją. Pomyślał intensywnie o generale Franco, czekającym go zadaniu, trzech falangistach spotkanych wieczorem – to ostudziło jego zapał i przywróciło kontrolę nad sytuacją. Oprócz zachłannych ust miała kolosalne cielsko. Jedno z ramiączek sukni zsunęło się, odsłaniając ramię i obfity biust: swobodny, drżący, szczodry, z ciemnymi sutkami, sztywnymi, słusznymi rozmiarów. Prawdziwa walkiria o wymalowanych paznokciach stóp i dłoni, której skóra – musiała wylać na siebie pół flakonika – pachniała Soir de Paris. Przed wizytą u niego pozbyła się, doświadczona i przewidująca, stanika, majtek, podwiązki i pończoch, w opinii Falcó techniczny detal ułatwiający sprawy. Cenny, gdyż pozwalający na szybkie przejście do sedna. Popieścił jej piersi, podczas gdy ona połykała co tylko dało się połknąć z męskiego organu. Pod satyną sukienki potężne, muskularne ciało przybierało chwalebne kontury.

– Masz dzień płodny czy bezpłodny? – zagadnął uprzejmie.

– Nie bądź idiotą.

Uspokojony w tym względzie, podciągnął jej sukienkę na biodra. Tam także rozpościerał się fantastyczny pejzaż. Niewielka czerwona bruzda, kędzierzawa, między silnymi, białymi udami. Poniżej solidne kolumny nóg. Przenośna Walhalla, uznał po namyśle. Szeroko, ciepło i wygodnie. Idealnie. Pamiętam gorsze noce.

– Zaczekaj – powiedział.

Zręcznie – owoc lat praktyki – zaczął rozbierać się jedną ręką, nie przestając pracować drugą: buty, skarpetki, spodnie, koszula. Metodycznie. Bez zbędnego gestu. Gdy dotarł do ostatnich guzików koszuli, Greta odsunęła się nieco. Klęczała przed nim w sukience zwiniętej w satynową przepaskę wokół bioder i wpatrywała się w niego z zadowoleniem.

W kasztanowych tęczęwkach pobłyskiwały słomkowe ogniki.

– Jesteś niezły, Hiszpanku – powiedziała. – Jesteś całkiem niezły.

– Dziękuję.

On także ukląkł i włożył jej palce w szparkę. Uśmiechała się.

– Nazwij mnie dziwką.

– Dziwka.

Obsceniczny uśmiech stał się szerszy.

– A teraz nazwij mnie świnią.

– Świnia.

Chciał przewrócić ją na plecy na dywan, ale wymknęła mu się z rąk ze śmiechem. Odwróciła się i stanęła na czworakach. Germańskie piersi dyndały, wielkie i ciężkie. Brakowało tylko muzyki Wagnera.

– Weź mnie od tyłu – rozkazała.

3. LEWANTYŃSKA MISJA

Siedziba Służby Informacyjno-Śledczej Falangi mieściła się w gmachu przy ulicy Consuelo nieopodal wieży Clavero. W holu stał wartownik w niebieskiej koszuli, z koalicijką i pistoletem u pasa, drugi był na schodach prowadzących na piętro. Te same schody wiodły do podziemia okrytego w owych czasach ponurą sławą oraz do tylnych drzwi, którymi o świcie wyprowadzano z lochu więźniów ze skrepowanymi rękami – związkowców, komunistów, anarchistów i innych ludzi związanych z Republiką – rozstrzeliwanych kilka godzin później na wzgórzu La Orbada albo pod cmentarnym murem. Ich zwłoki tutejsi lekarze sądowi, nieskłonni do komplikowania sobie życia ryzykownymi niuansami, opisywali eufemizmem „zmarły od broni palnej”.

– Dobrze wyglądasz w mundurze – skomentował Admirał, gdy wchodzili po schodach. – Powinieneś częściej go nosić.

– Mam alergię na mundury. – Falcó przesunął palcem po kołnierzyku białej koszuli ściśniętym nienagannym czarnym krawatem. – Dostaję wysypki.

– Jakoś to zniesiesz. – Admirał wyjął z kieszeni chusteczkę i wysiąkał tubalnie nos. – W dzisiejszych czasach to prawdziwie opatrnościowy strój. Poza tym tobie akurat granat, czapka, złożone guziki i dwa galony z pętelką na mankietach nadają szacownego wyglądu... Od czasu do czasu powinieneś wyglądać szacownie, dla odmiany.

– Jest pan dla mnie jak ojciec, admirale. Zawsze podnosi mnie pan na duchu.

– A tam w środku postaraj się nie pajacować. Poveda to niebezpieczny typ.

– To zupełnie jak pan.

– Ten ptaszek jest niebezpieczny inaczej.

Ángel Luis Poveda wstał, by ich powitać w swoim gabinecie. Nad jego głową królował portret José Antonia Primo de Rivery, założyciela Falangi. Poveda był korpulentnym mężczyzną w średnim wieku o delikatnych dłoniach, wygolonej twarzy, kręconych, szpakowatych włosach. Nosił okulary. Na stole zapełnionym papierami stała mała flaga Hiszpanii, a obok niej czerwono-czarna flaga partii. Astra kaliber 9 mm Largo, model zwany Sindicalista, czyli Związkowiec, służył jako fanfaroński przycisk do papieru.

– Porucznik marynarki Falcó – dokonał prezentacji Admirał, podczas gdy ściskali sobie ręce. – Ángel Luis Poveda.

– Bardzo mi miło. Zechcą panowie usiąść.

Mówił z wyraźnym akcentem andaluzyjskim. Pokojowy wygląd Povedy, pomyślał Falcó, kłócił się z jego życiorysem. Falangista od samego początku – w żargonie partyjnym mówiono o takich „stara koszula” – właściciel posiadłości wiejskiej w prowincji Sewilli, osiemnastego lipca przystąpił do wojskowego powstania. Jego pierwszym patriotycznym czynem była własnoręcznie dokonana egzekucja pięciu pracowników folwarku: zabił ich wszystkich strzałem w głowę *pour décourager les autres*, jak to ujął wobec francuskiego dziennikarza, który przeprowadził z nim później wywiad. Jako że założyciel Falangi jeszcze przed wybuchem wojny znalazł się w republikańskim więzieniu w Alicante, Poveda należał do egzekutywy partii i to jemu właśnie wojskowi powierzyli dokonanie

najbardziej widocznych represji w strefie narodowej, by armia i Gwardia Cywilna zachowały w miarę możliwości czyste ręce. Ze swojego biura przy ulicy Consuelo szef SIIF koordynował zarówno działania parapolicyjne na tyłach frontu, jak i ruchy falangistowskiej piątej kolumny operującej w czerwonej strefie.

– Czy pan Falcó wie, na czym polega zadanie? – zapytał Poveda Admirala.

– Nie wie zupełnie nic.

Falangista zlustrował wzrokiem Falcó. Jego oczy za okrągłymi szklami okularów były małe i nieufne. Usiadł za stołem i bębnił palcami w zieloną teczkę jakiegoś dossier. Gest był z pewnością znaczący. Falcó nie musiał pochylać się nad teczką i odczytywać nazwiska na naklejce, domyślił się od razu, że zawiera materiały na jego temat.

– Ma pan interesujący życiorys – odezwał się Poveda po chwili.

– Pan także, o ile mi wiadomo – odparł Falcó, czując natychmiast na sobie pełen dezaprobaty wzrok Admirala.

Poveda wpatrywał się w niego w milczeniu przez kilka sekund. Na jego twarzy pojawił się grymas, który nie przerodził się w uśmiech. Nie odwracając się, wskazał kciukiem na portret założyciela Falangi za swoimi plecami.

– Co pan o nim wie?

Falcó ukrył zaskoczenie, powstrzymując chęć spojrzenia na Admirala. Takiego pytania kompletnie się nie spodziewał.

– Widziałem go kiedyś w Jerezie – odpowiedział po krótkim namyśle. – Jego i jego braci.

– Rozpoznałby go pan?

– Oczywiście.

– Mam na myśli nietypowe sytuacje. Niecodzienne.

- Na przykład?
- W nocy, po ciemku...
- Sądzę, że tak, jeśli tylko zobaczę jego twarz.

Gospodarz gabinetu przyglądał mu się w milczeniu taksującym wzrokiem.

- Co jeszcze wie pan o nim?

– To co wszyscy, jak myślę. Że jest adwokatem, synem generała Primo de Rivery... Że jest wykształcony, przystojny, podoba się kobietom, zna języki obce. Że podziwia bardziej Mussoliniego niż Hitlera, że jest szczerym faszystą i trzy lata temu założył Falangę Hiszpańską. Wiem też, że został uwięziony przez Republikę w marcu, a gdy w lipcu wybuchło powstanie narodowe, przebywał w czerwonej strefie i jest tam do dziś. W więzieniu w Alicante.

- Czy sympatyzuje pan ze sprawą Falangi?

Falcó wytrzymał jego wzrok bez mrugnięcia.

- Sympatyzuję z wieloma sprawami.

Poveda obrzucił spojrzeniem teczkę z aktami, po czym wycelował w nią palec.

– O ile zauważyłem, głównie ze swoją własną... Z własną sprawą, jakakolwiek jest.

- Głównie tak.

Admirał odchrząknął. Wyjął chusteczkę, wydmuchał nos i odchrząknął raz jeszcze. Prawe oko piorunowało falangistę.

– Polityczne sympatie porucznika Falcó nie mają tu nic do rzeczy – powiedział z irytacją. – Jest całkowicie oddany Ruchowi Narodowemu, to świetnie wyszkolony i cenny oficer, niebywale skuteczny... Od

osiemnastego lipca wykonuje ważne zadania, narażając się na największe niebezpieczeństwo. Dlatego został wyznaczony do tej misji. To wystarczy.

– Oczywiście. – Poveda przytaknął. – Ale zawsze warto wiedzieć, gdzie jest nasza pięta achillesowa.

Falcó wyjął papierośnicę i zapalił papierosa. Zamknął zapalniczkę z metalicznym chrzęstem.

– Moja jest w tym, że nie lubię, jak ktoś mi następuje na odcisk.

– Powiedziałem: basta! – uciał Admirał, po czym spojrzał na Povedę. – Przejdźmy wreszcie do sedna... Wyjaśni mi pan czy mam to zrobić ja?

Falangista odchylił się na oparcie fotela, przeniósł wzrok na pistolet przyciskający papiery, a potem na Falcó.

– Uwolnimy José Antonia – wypalił.

Od dziesięciu minut Falcó obawiał się, że to właśnie usłyszy. A szczególnie bał się wyjaśnienia roli, która miała przypaść mu w udziale.

– Kto? – zapytał.

– My, Falanga. Hiszpania godna i przyzwoita. Miejsce naszego założyciela jest tu, w Salamance. Powinien być z nami, gdy dla Hiszpanii wstaje nowy świt. Winien stać na czele partii.

Wziął do ręki wojskową mapę leżącą na stole i rozłożył ją przed gośćmi. Obejmowała odcinek wybrzeża z Kartageną i Alicante.

– Złe języki twierdzą, że generałowi Franco jest na rękę, że José Antonio przebywa w zamknięciu – ciągnął. – W ten sposób nie przyćmiewa osoby Generalissimusa. Jednakże ci, którzy wysuwają takie insynuacje, nie mają najbledszego pojęcia o tym, co naprawdę myśli Caudillo. I udowodnimy to... Sztab główny przyjął z entuzjazmem nasz plan tej śmiałej operacji mającej na celu uwolnienie naszego wodza i sprowadzenie go tutaj. – Popatrzył na Admirała, jakby prosząc go o potwierdzenie. – Zaoferowali nam wszelką pomoc.

– To prawda. – Admirał potaknął, nie spuszczać Falcó z oka. – Dlatego tu jesteśmy.

Poveda wskazał kilka punktów na mapie.

– Mamy ludzi w czerwonej strefie. Odważnych i zaufanych. Planujemy desant małego, doborowego oddziału falangistów, który dołączy do nich.

– Napad? – zainteresował się Falcó.

– Tak. Na więzienie w Alicante.

– Ewakuacja?

– Morzem.

Admirał pokiwał głową.

– W operacji uczestniczą nasi przyjaciele z Niemiec i z Włoch – powiedział, pochylając się nad mapą. – Szczegóły są jeszcze dopracowywane. Więzień i jego oswobodziciele zostaną przejęci w okolicy przylądka Santa Pola – pokazał.

– Na czym polega moja rola?

Poveda posłał mu swój prawie uśmiech. Już drugi. Nie szafował nimi.

– Pan będzie głównym łącznikiem. Przejdzie pan do czerwonej strefy i nawiąże kontakt z naszą piątą kolumną w Kartagenie. Tam mieści się baza i planowane są wszystkie działania. Przekaze pan naszym ludziom instrukcje i będzie nadzorował przygotowania. Potem przedostaną się do Alicante i napadną na więzienie. W noc ataku dołączy do nich oddział desantowy.

– Gdzie to będzie?

Admirał pokazał punkt na mapie.

– Prawdopodobnie tutaj – powiedział. – Pod osłoną rozległych lasów sosnowych. W porośniętej sosnami kotlinie zwanej El Arenal.

– Jaką będziemy mieć broń?

– Granaty ręczne, pistolety i karabiny maszynowe – odrzekł Poveda. – Mamy wspólników na terenie więzienia. Funkcjonariuszy i strażników. Ludzi zjednanych dla naszej sprawy... Zna pan Kartagenę?

– Tak.

– Alicante?

– Też.

– Doskonale. Jak powiedziałem, pan będzie koordynatorem i łącznikiem. Ma pan przygotować całą operację.

– Dlaczego nie powierzycie tego jakiemuś falangiście?

Poveda popatrzył na Admirala, a następnie na Falcó.

– Wy w SNIO macie środki, kontakty i doświadczenie. Nasi towarzysze w terenie są jeszcze bardzo zieloni. Zatem to pan będzie koordynował fazę przygotowawczą... Dowódca naszego oddziału szturmowego przejmie komendę dopiero podczas ataku na więzienie. Nie licząc operacji wojskowej, za wszystko będzie odpowiedzialny pan.

Falcó uśmiechnął się, wypuszczając powoli z ust kółko dymu.

– Także za całą akcję, jeśli coś pójdzie źle... Tak sądzę.

– Oczywiście.

– Kto będzie dowodził oddziałem szturmowym?

– Towarzysz całkowicie godny zaufania, który właśnie wraca z Alto del León ... Bohater wojenny. Nazywa się Fabián Estévez, pozna go pan dziś wieczorem lub jutro, gdy dotrze do Salamanki. Zaplanowaliśmy panom spotkanie w celu omówienia szczegółów. – Spojrzał na zegarek. – Ja nie będę mógł wziąć w nim udziału, ponieważ wyjeżdżam za chwilę do Sewilli.

– Co mam zrobić, kiedy odpłyną z oswobodzonym więźniem, jeśli wszystko pójdzie dobrze?

– Może pan wybierać: zabrać się z nimi albo wracać na własną rękę. Pana zadanie będzie zakończone.

Falcó pokiwał głową, rzucając szybkie spojrzenie w stronę Admirala. Oczekiwał od niego jakiegoś słowa albo chociaż gestu. Czegoś, co podsumowałoby rozmowę. Ale szef SNIO miał nieprzeniknioną twarz i nie odezwał się. A to milczenie było niepokojące.

Dobrze się siedziało w słońcu w ogródku kawiarni Novelty. Pod arkadami placu, tuż obok ratusza, gdzie z balkonu zwisała flaga narodowa, Lorenzo Falcó słuchał Admirala. Była pora aperitifów, więc zamówili wermut i oliwki. Przy sąsiednich stolikach roiło się od wyglansowanych butów i oficerskich mundurów w kolorze khaki, skórzanych kamizelek na niebieskich koszulach, czerwonych beretów karlistowskich requetesów, furażerek i czapek z pomponem legionistów. Gdy opuścili gabinet Povedy, Falcó zamierzał wrócić do hotelu, który znajdował się o krok, by się przebrać, lecz Admirał nie pozwolił mu. Chcę wyjść gdzieś z tobą, póki jesteś w mundurze, oświadczył. W Salamance zupełnie nie widuje się ludzi z marynarki, więc zrobimy jej trochę reklamy. Niech widzą, że my, marynarze, także przyczyniamy się do wyzwolenia Hiszpanii spod jarzma marksistowskich barbarzyńców, liberalnej masonerii i innej zarazy.

– Ja jestem tylko przypadkowym marynarzem.

– Ty na razie jesteś tym, kim ci każe być.

A teraz, półgłosem, półsłówkami, popijając wermut i pykając pustą fajkę, Admirał przekazywał Falcó dodatkowe informacje. Mieli dawnego funkcjonariusza zakładu karnego w Alicante, zastępcę dyrektora, którego powstanie zaskoczyło w strefie narodowej, gdy odwiedzał rodzinę. Przebywał w więzieniu w Salamance za socjalistyczne przekonania. Z pewnością zostanie rozstrzelany, ale wcześniej może im się przydać,

informując o tym, jak wygląda więzienie w Alicante. I rysując szczegółowy plan.

– Skoro mają go rozstrzelać, nie sądzę, żeby chciał współpracować – zauważył Falcó.

– Ma rodzinę. Można przycisnąć go od tej strony.

– Kiedy go zobaczę?

– Jutro, kiedy będzie tu już ten falangista. Pójdziecie razem.

– A co wiemy o tym Fabianie Estevezie?

– Jego szefowie dają za niego głowę. Jest młody, podobno z jajami. Nie taki jak ci dekownicy, co przybiegają, żeby pomóc zwycięzcy. Studiował prawo, sprzedawał gazetę Falangi w robotniczych dzielnicach, w jednej ręce gazeta, a druga na kieszeni z pistoletem. Legitymacja partyjna numer trzydzieści coś... Brał udział w powstaniu w Toledo, a kiedy tam nie wyszło, bronił się w zamku pod generałem Moscardó, dopóki ich nie wyzwolili. Potem nie został kawiarnianym herosem jak tyłu innych, tylko zgłosił się na ochotnika na front i walczył jak tygrys w Sierra de Guadarrama.

– Brzmi nieźle.

– I owszem. Jego rola to nie myśleć, tylko rozpieprzyć więzienie w drobny mak. To na pewno zrobi dobrze. Reszta należy do ciebie.

Falcó milczał przez chwilę. Próbował dopasować do siebie części układanki, ale niektóre wymykały mu się.

– Dlaczego ja? – zapytał w końcu.

– Jesteś moim najlepszym człowiekiem.

Przez moment mierzyli się wzrokiem. Znali się od czasu, kiedy Falcó handlował na własną rękę i Admirał musiał wybierać między zlikwidowaniem go a pozyskaniem. Wreszcie po całonocnej rozmowie przy wódce i cygarach w rumuńskim porcie Konstanca – nieopodal statku, gdzie

Falcó miał załadować transport dwudziestu rosyjskich karabinów maszynowych Maxim – Admirał postanowił zjednać go dla służby młodej Republice, a potem, w przeddzień osiemnastego lipca, zwerbował go do powstania przeciwko tejże Republice. Z pełną świadomością, że gdyby stanął po drugiej stronie, bez trudu przekonałby go do przyłączenia się do niej. Jedyne komentarz Falcó, gdy usłyszał o planowanym puczu, brzmiał: „Jesteśmy za czy przeciw?”.

– Nie zapytałem, jak ci poszło ze Schröterem – zmienił temat Admirał.

– Dobrze.

– O czym rozmawialiście?

Zezowate, dwukolorowe oczy Admirala spoglądały na niego z ciekawością. A także chyba z odrobiną podejrzliwości, wydało się Falcó.

– O zadaniu, chociaż niewiele – odparł. – Potwierdził, że Kriegsmarine weźmie udział... Wypytywał o moje młode lata, kiedy robiłem interesy z białymi Rosjanami i te rzeczy. Najwyraźniej on też pływał wtedy po Morzu Czarnym na jednym z tych statków pod międzynarodową banderą.

– Cóż za zbieg okoliczności.

– Na to wygląda.

Admirał okazał zainteresowanie niepozbawione ironii.

– To było wtedy, kiedy cię ranili w czasie odwrotu do Sewastopola i jak idiota o mało nie dałeś się złapać czerwonym?

– Ludzie dużo gadają. – Falcó uśmiechał się tak niewinnie, że przekonałby każdego prokuratora. – I opowiadają historie wyssane z palca.

Admirał odwzajemnił uśmiech znad cybucha fajki.

– To najmniej znana część twojej biografii szarmanckiego szubrawca. Nie dziwię się, że budzi ciekawość.

Falcó wykonał nieokreślony gest.

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy... Kiedy wyrzucili mnie z Akademii, rodzice wysłali mnie na drugi koniec świata, do krewnych, po rozum do głowy. I cóż, nie nabrałem go za wiele. Zna pan tę historię aż za dobrze.

– Taa. Ale niekiedy patrzę na twoją buzię grzecznego chłopczyka i zapominam. Mnie też robisz w konia od czasu do czasu.

– Obraża mnie pan – rzekł Falcó z uśmiechem.

– Stul dziób albo przyłożę ci tak, że nakryjesz się nogami. Przysięgam, że wrzucę cię kiedyś do lochu w kajdanach.

– A kto będzie wtedy wykonywał czarną robotę?

– Stul dziób, powiadam.

– Rozkaz, panie admirale.

W prawym oku Admirala pulsowało dziwne światełko. Falcó nachylił się lekko w stronę szefa.

– Czy jest coś, czego mi pan nie powiedział, a co powinienem wiedzieć?

Ów milczał przez chwilę. Zaprzeczył, a potem odezwał się półgłosem:

– Caudillo osobiście interesuje się tą sprawą... Rozmawiałem wczoraj z nim i jego bratem Nicolasem w kwaterze głównej i dał mi to wyraźnie do zrozumienia. Chce ściągnąć tutaj znamienitego więźnia. Za wszelką cenę. Najwyraźniej Mussolini, który sympatyzuje z Falangą, naciska na niego.

– Jakże szlachetna postawa – zauważył z ironią Falcó. – Zwłaszcza że ma potem oddać mu władzę...

Admirał kontemplował ostatnią oliwkę, jaka została na talerzu. W zamyśleniu.

– Tego akurat już nie jestem pewien. Generał Franco pochodzi z Galicji.

– Tak jak pan.

– Mniej więcej. – Admirał uśmiechnął się.

– Jest z tych, co to kiedy ich mijasz na schodach, nie wiesz, czy wchodzi, czy schodzą.

Uśmiech Admirala stał się szerszy.

– Z Caudillo nie wiesz nawet, czy wchodzi, czy schodzi, czy stoi.

Falcó sięgnął po wykałaczkę, nabił oliwkę i włożył do ust. Nad plac nadciągnęła chmura.

– Z panem też nie wiadomo, admirale.

Gdy mieli już wstawać, zobaczył z daleka Cheskę Prieto. Szła przez plac wzdłuż arkad, przy których mieściła się kafejka, minęła stoliki, a Falcó powiódł za nią wzrokiem, zaintrygowany. Miała na sobie miękkie, beżowe poncho z aksamitnymi wyłogami, bardzo eleganckie, na głowie kapelusz o wąskim rondzie, niemal męski, przybrany piórem. Admirał przechwycił spojrzenie Falcó. Zauważył, że wyprostował nogi i znieruchomiał.

– Znasz ją?

– Przedstawiono nas sobie wczoraj w Kasynie. Znam jej szwagra.

– A męża?

– Mgliście. – Falcó podniósł się, poprawiając węzeł krawata. – Proszę mi wybaczyć.

Admiral przyglądał mu się ze swojego miejsca, pykając pustą fajkę. Wyglądał na rozbawionego.

– To gruby zwierz, chłopcze.

– Jak gruby?

– Wiem o jej dwóch amantach... Jeden to pułkownik lotnictwa, kuzyn generała Yagüe, a drugi to markiz de coś tam.

– Aktywni?

– Na ten temat nie posiadam informacji. Ale Pepín Gorguel, jej mąż, jest w gorącej wodzie kąpany. I nosi przy sobie pistolet.

– Jest na froncie pod Madrytem – oświadczył Falcó. – Ratuje ojczyznę.

Wyglądził granatową kurtkę i nasunął czapkę z daszkiem na oczy. Uśmiechał się.

– Jak wyglądam, admirale?

Szef otaksował go wzrokiem.

– Nawet w mundurze wyglądasz na alfonsa – ocenił.

– Powodziłoby mi się lepiej, gdybym zmienił profesję.

– Spadaj.

Przyśpieszył kroku i dogonił ją u wylotu pasażu. Początkowo wyglądała na zdziwioną. Zagadnął ją niewymuszonym tonem, zdjął czapkę i włożył pod pachę, po czym uściśnął dłoń w rękawiczce z delikatnej skórki, którą mu podała. Cóż za szczęśliwy traf, jakiż piękny słoneczny dzień i tak dalej, i tak dalej. Falcó rozwijał okolicznościowy rytuał konwersacyjny z nienaganną kurtuazją, a kobieta sprawiała wrażenie zadowolonej ze spotkania. Świetliste oczy w kolorze zielonego zboża uśmiechały się, jaśniejąc w przedpołudniowym słońcu. Pięknie kontrastują, uznał Falcó, ze śniadą cerą i śmiałym nosem przydającymi jej wyglądu eleganckiej Cyganki, która dotarła tu ze świata tawern, gdzie tańczyła jej prababka, a dziś już wysublimowanej przez kilka pokoleń pięknych kobiet kochanych w malarskich pracowniach, na dziedzińcach hacjend wykładanych *azulejos* i w luksusowych salonach Sewilli. Pomyślał o pułkowniku lotnictwa i markizie, wspomnianych przez Admirala, a potem o mężu dowodzącym kompanią na madryckim froncie i poczuł ukłucie, w którym mieszała się zazdrość, chęć współzawodnictwa i pożądanie.

– Dokąd pani zmierza, Chesko?

– Do Pomocy Patriotycznej. Mam tam coś do zrobienia.

– Jakże chwalebne... Przyczynia się pani do zwycięstwa Krucjaty Narodowej?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się kpiarsko, jakby pytanie ją uraziło. – Czyż nie jest to powinnością każdej Hiszpanki?

– Ma pani rację. Chętnie jej potowarzyszę.

– Nic nie stoi na przeszkodzie.

Ruszyli powoli w stronę ulicy Bordadores. Przyglądała się jego mundurowi.

– Pan też, jak widzę, przyczynia się do zwycięstwa Krucjaty.

– Poniekąd.

– A wszakże najbliższe morze znajduje się trzysta kilometrów stąd.

– Cóż... W dzisiejszych czasach odległości już tak bardzo się nie liczą.

– Och. – Od czasu do czasu odwracała głowę, żeby popatrzeć na niego z uznaniem. – Tak czy owak, ten mundur leży na panu jak ulał.

– Nie noszę go zbyt często.

– Tak przypuszczałam. Wczoraj uznałam, że pana żywioł to smoking. A mój szwagier to potwierdził.

– Stary dobry Jaime... Co pani o mnie powiedział?

– W największym skrócie, że jest pan opojem.

– A w szczególności?

– Że pochodzi pan z zacnej rodziny. Że jest pan bezczelnym kobieciarzem. Że wyrzucili pana ze wszystkich szkół i instytucji, do których pan trafił. Że rodzice wysłali pana za granicę, żeby się go pozbyć, i nie wiadomo, czym się pan później zajmował, choć podejrzewa się, że były to mętne sprawy... Natomiast czego Jaime nie powiedział, to że jest pan oficerem marynarki wojennej.

– Jestem nim tylko chwilowo. Dopóki toczy się wojna.

– W takim razie to rzeczywiście nie potrwa długo. Wszyscy mówią, że Madryt padnie przed świętami.

– I wróci pani mąż.

Zielona błyskawica przecięła jej oczy. Przelotnie. Nie sposób stwierdzić, czy pod wpływem rozbawienia, czy gniewu.

– Zawsze pan taki jest?

– Jaki?

– Taki pyszałkowaty. Taki pewny siebie. Taki pewien wszystkiego.

– Bywają takie dni.

– I dziś to jeden z nich?

Spojrzał na nią z miną grzecznego chłopczyka. Prosto w oczy.

– Zależy od pani.

– Pochlebia mi pan.

– Taki był mój zamiar.

Przystanęli na moment. Przechyliła głowę w zamyśleniu, przytuliła torebkę do siebie i ruszyli dalej.

– Chcę się z panią spotkać, Chesko.

Wciąż wpatrywała się w ziemię przed noskami swoich szpilek.

– Właśnie spotyka się pan ze mną.

– Chcę spotkać się z panią później. Gdy pani wyjdzie z Pomocy Patriotycznej. Dzisiaj. Proszę dać się zaprosić na obiad.

– Niemożliwe. Jestem już umówiona.

– To spotkajmy się wieczorem.

– Też niemożliwe. Idziemy z koleżankami na *Nobleza baturra* do Coliseum... Uwielbiam Imperio Argentinę i Miguela Ligeró.

– Widziała już pani ten musical. Cała Hiszpania oglądała go dwadzieścia razy.

Kiedy wreszcie podniosła głowę, Falcó dostrzegł ironię w szmaragdowych tęczęwkach.

– A co proponuje mi pan w zamian?

– Kieliszek w jakimś miłym miejscu. – Po sekundzie namysłu postanowił posunąć się dalej. – Barman z Gran Hotelu przyrządza niebiańskie drinki.

Pocisk padł za daleko.

– Oszalał pan?! Nie mogę pokazać się z panem w barze w Gran Hotelu.

– Jeśli pani woli, mogę być w mundurze, jak teraz. To nada całej sprawie szacownego wyglądu.

– Pan nie wygląda szacownie nawet w mundurze, panie Falcó. Wręcz przeciwnie.

– Niech pani mówi do mnie Lorenzo, bardzo proszę.

– Nie zamierzam do pana mówić w żaden sposób. – Pokazała na gmach, w którym mieściła się siedziba Pomocy Patriotycznej. – Jesteśmy na miejscu.

Falcó nie dał za wygraną. Potrafił interpretować spojrzenia kobiet. Potrafił interpretować ich milczenie.

– Nad rzeką, przy akwedukcie, jest przyjemna kawiarnia – oznajmił z zimną krwią. – A pogodę mamy piękną. Moglibyśmy przejść się tam i popatrzeć na zachód słońca.

– Och! – Teraz patrzyła na niego z pogardą. – W dodatku jest pan romantykiem.

Ponownie przybrał minę grzecznego chłopczyka. Zauważył, że nie obserwuje jego oczu, lecz usta. I niekiedy ręce.

– Proszę tak nie myśleć – odparł. – Są po prostu takie dni. Albo chwile.

Kobieta wybuchnęła szczerym, niemal srebrzystym śmiechem.

– Nie męczy pana to ciągle uwodzenie kobiet?

– Nie boli panią twarz od bycia tak piękną?

Spoważniała nagle, ale oczy koloru zielonego zboża śmiały się jeszcze.

– Proszę posłuchać, panie Falcó...

– Lorenzo.

– To bardzo przypomina zabawę w kotka i myszkę, panie Falcó.

– Kotek ma dla myszki propozycję, której nie pożałuje...

Przez sekundę obawiał się, że go spoliczkuje. Ale ona tylko wbiła w niego wzrok i trzymała go tak długo, że uznał rzecz za straconą. W końcu przycisnęła torebkę mocniej do siebie i wykonała głową dziwny ruch, jakby usłyszała właśnie daleki dźwięk, który próbuje zidentyfikować.

– Niech pan przyjdzie do tej kawiarni jutro w południe – powiedziała beznamiętnym tonem.

– Będę tam... O której pani przyjdzie?

– Nie powiedziałam, że przyjdę.

Potaknął, akceptując reguły.

– To prawda. Nie powiedziała pani tego.

4. NIEWINNI KACI

Rejonowy zakład karny w Salamance był przewidziany na stu osadzonych, ale od osiemnastego lipca zgromadzono ich tu ponad tysiąc. I to rzucało się w oczy. Ścisk był ogromny. Sądy wojenne i następujące często po nich egzekucje przerzedzały cele, ale wolne miejsca zapełniały się w okamgnieniu. Nowa Hiszpania narodowa i katolicka gorliwie wyrywała lewacki chwast, stosując na przykład tak zwane deportacje: oddział falangistów albo requetesów stawiał się z pisemnym rozkazem przeniesienia określonych więźniów do innego zakładu, do którego ci nigdy nie docierali, lądując w przydrożnym rowie, na łące albo w studni. Praktykę tę nazywano też spacerkiem. Lorenzo Falcó wiedział o tym wszystkim, przekraczając zewnętrzny mur i przyglądając się budkom, z których sterczały lufy karabinów Gwardii Cywilnej.

– Smutne miejsce – stwierdził Fabián Estévez.

Falcó przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Poznali się trzy godziny temu w gabinecie Admirala. Obaj byli ubrani po cywilnemu. Estévez miał kwadratową szczękę i spojrzenie zarazem żywe i nieobecne, zachmurzone latami napięcia i życia w konspiracji, do których w ostatnich miesiącach doszły różne udręki i wojna. Włosy, czarne, pokryte brylantyną, zaczesywał do tyłu nad szerokie czoło z zakolami, co pogłębiało jego podobieństwo do lidera partii José Antonia Primo de Rivery. Od razu mu się spodobał. Był wykształcony, wstrzemięzliwy, małomówny. Z respektem wysłuchał wskazówek Admirala, przedyskutował z Falcó szczegóły operacji

i wydawał się całkowicie akceptować wszystko, czego od niego oczekiwano. Jednym z detali, którym zaskarbił sobie sympatię Falcó, było to, że nie nosił niebieskiej koszuli, lecz zwykłą białą, z dzianinowym krawatem. Nie chełpił się stanowiskiem i stopniem – był dowódcą centurii w oddziałach szturmowych – i nie pisał ani słówka o udziale w obronie zamku w Toledo i w zaciętych walkach toczonych pod Madrytem.

– Trzeba uzdrowić Hiszpanię – rzucił Falcó, żeby go wybadać, i spojrzął na niego kątem oka.

– Wolę uzdrawiać ją na froncie. Tu cuchnie odwetem i hańbą.

– Obawiam się, że to dopiero początek. Jak donoszą radio i prasa, czerwoni uciekają i poddają się masowo.

– To kłamstwo. Jadę stamtąd... Biją się zażarcie. Bronią każdego skrawka swojego terytorium, a kiedy się wycofują, walczą bardzo odważnie.

Falcó nie spuszczał z niego zaciekawionych oczu.

– Nie skończy się przed świętami?

– Jasne, że nie. To czysta propaganda.

– Czyli będzie długo i krwawo?

– Niech pan tylko pomyśli. Najlepsza piechota świata przeciw najlepszej piechocie świata.

Przyjął ich dyrektor więzienia i poprowadził korytarzem, gdzie długi rząd okien oświetlał ciągnące się wzdłuż przeciwległej ściany schody z żelazną kładką i dwa piętra drzwi do cel. Gmach nie był ogrzewany i panował w nim dojmujący ziąb. Dobiegały ich dalekie głosy, szcęk zamykanych krat, ich kroki odbijały się złowrogim echem. Po drodze szef koszarniaka zreferował im dossier człowieka, do którego przychodzili: członek Partii Socjalistycznej, były zastępca dyrektora więzienia w Alicante, zaskoczony przez powstanie w strefie nacjonalistycznej

w trakcie odwiedzin rodziny. Próbował uciec do Portugalii, ale zatrzymano go w Bejarze. Siedział w celi z piętnastoma innymi aresztantami, oczekując na sąd wojenny, który ustali ich winę.

– Jego matka mieszka w Albie de Tormes, to wdowa po deputowanym z ramienia socjalistów. Jest pod obserwacją, rzecz jasna... Brat zaciągnął się do Falangi, podejrzewamy, że chce się chronić.

Więzień nazywał się Paulino Gómez Silva. Czekał w pomieszczeniu o szarych murach, którego jedyne umeblowanie stanowiły stół, trzy krzesła i portret Caudilla na ścianie. Dyrektor zostawił ich samych i zamknął drzwi. Gómez Silva był drobny, wychudzony, miał zapadniętą twarz i przestraszone oczy krótkowidza. Był ubrany w popielaty garnitur, brudny i wymięty, buty bez sznurówek i koszulę bez kołnierza, bardzo wytartą na nadgarstkach. Usiedli, a Fabián Estévez bez zbędnych wstępów rozpiął płaszcz, wyjął z wewnętrznej kieszeni plan złożony na czworo i rozłożył go na stole.

– Poznaje pan to?

Więzień rzucił okiem na plan, po czym podniósł wzrok na gości. Był zdziwiony i podejrzliwy.

– Kim panowie są?

– To pana nie obchodzi. Niech pan odpowie na zadane pytanie. Poznaje pan to miejsce?

Gómez Silva zamrugął skonfundowany.

– No pewnie. To więzienie w Alicante.

– Niech pan opisz nam je z najdrobniejszymi szczegółami, pokazując wszystko na planie.

– Nie mam okularów. Rozbili mi podczas aresztowania.

– Proszę się przybliżyć. Będę wskazywał.

Usłuchał i udzielił im szczegółowych objaśnień, odpowiadając na każde pytanie. Brama główna, brama wewnętrzna, odległości, mury, dziedzińce, korytarze, cele. Gdy mówił, drżały mu ręce i niestarannie ogolona broda, z której sterczały siwe włoski. Palce, w które ujął zaoferowanego przez Falcó papierosa, były zakończone długimi i brudnymi paznokciami. Przez jego oczy zbitego zwierzęcia przemknął błysk wdzięczności.

– Długo bez papierosa? – zainteresował się Falcó.

– Trzy miesiące.

– Musi być ciężko.

Więzień zerknął kątem oka na Fabiana Esteveza, potem spojrzął na drzwi.

– To nie najcięższa rzecz tutaj.

– No tak.

Falangista wyjął notesik i ołówek i notował: wejście, trzy kompleksy budynków, osiem dziedzińców, kaplica, kraty, wysokość murów. Zapisywał wszystko drobnym, starannym pismem, rysował szkice. Od czasu do czasu więzień spoglądał na Falcó z niemym pytaniem w oczach. Kiedy wypalił papierosa, szpieg poczęstował go następnym.

– Myślę, że to wystarczy – oznajmił Estévez, chowając notes.

– Nie oczekują panowie niczego więcej ode mnie?

– Nie.

Falcó i falangista wstali. Gómez Silva nie ruszył się z krzesła, patrząc na nich z konsternacją.

– Czy to mi w jakiś sposób pomoże?

– Z pewnością – skłamał Falcó.

– Od trzech miesięcy czekam na rozprawę. Obawiam się, że zabiorą mnie i wywiozą bez sądu jak tylu innych.

– Może pan spać spokojnie. Pańska sprawa będzie rozpatrzona w trybie całkowicie zgodnym z prawem. Gwarantujemy to panu.

Gómez Silva jeszcze zachowywał nadzieję. Albo próbował ją zachować. Papieros drżał mu w palcach.

– Jestem oddany Ruchowi Narodowemu, proszę o tym nie wątpić. Uznałem moje błędy polityczne... Mój brat działa w Falandze...

Gdy Estévez stukał w drzwi, Falcó opróżnił papierośnicę i całą jej zawartość włożył w rękę więźnia, który popatrzył na niego z wdzięcznością. Dyrektor odprowadził ich przez dziedzińce i korytarze do wyjścia.

– Jeszcze jedno – oznajmił Estévez, kiedy się żegnali. – Ze względów najwyższej wagi więzień powinien zostać odizolowany od swoich kolegów z celi na jakiś czas... Nie powinien komunikować się z nikim.

– Zobaczą, co mogę zrobić. Widzieli panowie, że nie narzekamy na nadmiar wolnego miejsca. A będzie coraz gorzej.

– Moje rozkazy popiera szefostwo Falangi i sztab generalny Caudilla. Nie można dopuścić, żeby ten człowiek rozmawiał z innymi osadzonymi. Nic z tego, co zostało tam powiedziane, nie może wyjść na zewnątrz.

Dyrektor zmarszczył brwi.

– Jaki okres ma pan na myśli?

– Co najmniej cztery tygodnie.

Na twarzy dyrektora pojawił się wyraz ulgi.

– Och, w takim razie nie ma problemu. Właśnie wczoraj dostałem jego akta. Za trzy dni ma rozprawę. A z jego kartoteką...

Nie rozmawiali w samochodzie, wracając do miasta. Ani o losie Paulina Gomeza Silvy, ani o niczym innym. Siedzieli z tyłu – kierowcą był żołnierz w cywilu, młody i obojętny – Estévez studiował notes, Falcó wyglądał

przez okno. Kiedy wysiedli przy ulicy Toro, stanęli naprzeciw siebie w milczeniu z rękami w kieszeniach płaszczy. Falcó miał na głowie kapelusz, Estévez nie. Niewielu falangistów nosiło takie nakrycie.

– Kiedy pan wyjeżdża? – zapytał Estévez.

– Jutro.

– Łądem?

– Tak.

– Przejście granicy jest niebezpieczne.

– To nie będzie pierwszy raz.

– No tak. Powiedziano mi.

Estévez uśmiechnął się blado, co przydało mu jeszcze bardziej młodzieńczego wyglądu. Ten uśmiech był smutny jak u osoby, która zbyt wiele widziała w za krótkim czasie. Melancholijny typ, pomyślał Falcó, z przeszłością i przyszłością wypisanymi na twarzy. Z tych, co nie przeżywają, skonkludował.

– Co jeszcze panu powiedziano?

– Wystarczająco. Jak pewnie panu o mnie.

– Warto wiedzieć, z kim się idzie w bój.

– Właśnie.

Sięgnął po papierośnicę, kiedy przypomniał sobie, że jest pusta. Jego rozmówca patrzył ponad jego głowę, jakby błędził myślami daleko stąd. Poprzedniego dnia Admirał opowiedział Falcó, że podczas obrony zamku w Toledo, kiedy czerwoni przedarli się do ruin północnej fasady i zatknęli na nich flagę, Estévez był jednym z pięciu ochotników, którzy uzbrojeni wyłącznie w pistolety wspięli się na mury po drabinkach powiązanych sznurami i przepędzili wroga.

– Jak powiedziałem na naradzie z pańskim szefem, towarzysze, z którymi ma się pan skontaktować, to pierwsza klasa – odezwał się falangista po chwili. – Solidni i odważni.

– Nie mogą być inni, skoro działają w takim miejscu – zauważył Falcó.

– Wiedzą, czym ryzykują. Może pan całkowicie ufać rodzeństwu, o którym wspomniałem. Ginesowi i Caridad Monterom... Znam ich osobiście.

Mówił z pewnością i przekonaniem, w których pobrzmiwała wiara, bez wahania ani wątpliwości. Ton nieco naiwny, dumął Falcó, owoc lojalności między ludźmi wyszywającymi na koszulach jarzmo i pęk strzał w zamierzonych czasach albo w rzadkich miejscach, gdzie bycie falangistą nie stanowiło jeszcze przepustki do lepszego życia i wyrównywania rachunków, lecz oznaczało konieczność konspiracji, niepewność, niebezpieczeństwo. Rytuał wybranych i wierzących, starych koszul, śniących o bohaterskich czynach; teraz wchłonęli ich oportuniści i kanalie. Historia stara jak świat.

– Zobaczmy się na plaży – powiedział Falcó. – Zadbam, żeby wszystko było w porządku, gdy pan wyląduje.

– Liczę na to.

– Co nastąpi niebawem, jak sędzę.

– Na to też liczę. – Rozejrzał się wokół siebie niemal bezradnie. – To nie miejsce dla mnie. – Napotkał spojrzenie Falcó i uśmiechnął się blado i smutnie jak przed chwilą. – Pan może to zrozumie... Ja jestem żołnierzem.

Zapadło milczenie tak długie, że aż niezręczne. Stali naprzeciw siebie, jakby chcieli odwlec moment pożegnania. Gdy spotkamy się następnym razem, pomyślał Falcó, nie będziemy mieć czasu na zwierzenia.

– Powodzenia, Fabianie.

– Powodzenia.

Uścisnęli sobie ręce. Mocny uścisk z obu stron. Potem Estévez odwrócił się na pięcie i ruszył w górę ulicy, a Falcó odprowadził go wzrokiem. Z rękami w kieszeniach długiego, ciemnego płaszcza, z odkrytą głową, melancholijny falangista szedł owiany aurą otaczającą herosów, męczenników i niewinnych katów. Którzy, jak wynikało z doświadczeń Falcó, byli najgroźniejszymi katami.

Kopiryna zaczynała działać, odpędzając ból głowy, a ponadto wywoływała poczucie optymistycznej jasności umysłu. Pejzaż zasługiwał na kontemplację. Za akweduktem zaczynało się zakole, w lustrze rzeki perłowo i srebrzyście odbijał się zachmurzony błękit nieba. Odwieczna Salamanka w koronie wież, kopuł i dzwonnicy, eklezjastyczna i uniwersytecka – a od kilku miesięcy także wojskowa i patriotyczna Salamanka, której studenci walczyli na froncie, a wykładowcy denuncjowali się nawzajem – rozpościerała się na przeciwnym brzegu w odcieniach ochry i beżu. Z daleka zobaczył Cheskę Prieto, szła przez most w stronę kawiarni, zaparkowawszy dwuosobowego renault cabrio, które prowadziła. Miała na sobie płaszcz w szaro-zieloną kratę z krótką pelerynką, szary beret, buty na średnim obcasie, na ustach dyskretną czerwień, brwi zaznaczone kreską. Makijaż dobrany idealnie. Z każdego ruchu przebijały spokój i pewność siebie, pewność urody i pozycji społecznej. Podążała na spotkanie jak większość kobiet na pierwszą schadzke: bardziej z ciekawości i chęci przyjęcia wyzwania niż z pragnienia.

– Wciąż jeszcze nie wyjaśnił mi pan, co porabia oficer marynarki wojennej w Salamance.

Nie będzie łatwo, uznał Falcó po kwadransie rozmowy. Miał na myśli pierwszą kampanię, rzecz jasna. Wiedziała o nim sporo, w każdym razie o jego przeszłości podanej do wiadomości ogółu. Niechybnie jej szwagier, który tego ranka wrócił na front, oświecił ją w tym względzie. W naturalny sposób wzmogło to jej ciekawość, a zarazem rezerwę. Skłoniło do przyjęcia bardzo kobiecej taktyki opartej na łagodnej zaczepności obronnej. Badanie przeciwnika i analiza jego reakcji; nic nowego w prastarym podręczniku życia. Jednakże jak każda kobieta obdarzona inteligencją zdecydowała się na podjęcie ryzyka, pozostawiając w okopach niestrzeżone miejsca: zapraszała do skorzystania z tych luk na odpowiedzialność śmiałka.

– Ależ tak, powiedziałem to pani.

– Nieprawda. Niczego się od pana nie dowiedziałam. Poza tym doszły mnie słuchy, że wyrzucono pana z marynarki jeszcze w latach młodości.

– Powstanie wiele zmieniło. Potrzebowali ludzi. Przyjęli mnie ponownie.

– Według mojego szwagra musieli być bardzo zdesperowani, żeby pana powtórnie przyjąć. Nie był pan modelowym kadetem, powiedział mi, pękając ze śmiechu. Wspominał o uganianiu się za spódniczkami i o niesubordynacji.

– Co jeszcze o mnie mówił?

– Że później krążył pan po Ameryce i Europie, zamieszany w mętne interesy.

– Pani szwagier to żartowniś.

– Bynajmniej. Te kilka miesięcy na froncie odebrały mu chęć do żartów.

Na stole stały karafka białego wina i dwa kieliszki. Wypiła łyk ze swojego, zamyślona. Na lewej ręce błyszczała złota obrączka i prosty pierścionek z małym diamentem.

– Zapewne nie wie pan o tym, ale nasze drogi skrzyżowały się wcześniej dwukrotnie – powiedziała po chwili.

– Niemożliwe. Zapamiętałbym panią.

– Mówię poważnie... Pierwszy raz na grillu w Palace w Madrycie. Byłam z przyjaciółmi, pan jadł kolację przy sąsiednim stoliku, ktoś, kto pana znał, wymienił pana nazwisko.

– I jak mnie opisał?

– Sympatyczny globtroter, nie można mu ufać. Dokładnie tak brzmiały jego słowa.

– No cóż... A gdzie widziała mnie pani po raz drugi?

– Naprzeciwko kasyna w Biarritz, w parku. Jakiś rok temu. Był pan w niebieskiej marynarce, panamie i białych spodniach, szedł pan pod rękę z kobietą.

– Mam nadzieję, że to była ładna kobieta.

– Owszem. I tym razem komentarz, który usłyszałam, nie brzmiał pochlebnie. Wygłosił go Pepín, mój mąż... Zna go pan?

Falcó potaknął, mając się na baczności. Zapuszczali się na delikatny teren.

– O tyle, o ile.

– Tak mi się wydawało. – Uśmiechnęła się niemalże z okrucieństwem. – Tamtego dnia w Biarritz nie sprawiał wrażenia, że bardzo pana ceni.

– Nie można zawsze wygrywać. Nie ze wszystkimi.

– Jasne. Choć pan nie wygląda na takiego, który przegrywa.

– Robię, co mogę.

Teraz Chesca patrzyła na niego inaczej. Jakby szukała szczelin w budowli. Założyła nogę na nogę, a Falcó pomyślał, że prawdziwa dama

powinna umieć zakładać nogę na nogę, palić i mieć kochanków z niewymuszoną elegancją. Od niechcenia. A ona bez wątpienia umiała.

– Czy uroda to niezbędny warunek? – zapytała znienacka.

– Słucham?

– Mam na myśli kobiety pańskiego życia.

Falcó wytrzymał jej wzrok bez mrugnięcia okiem. Aż za dobrze wiedział, że gdyby go odwrócił, ryba urwałaby się z haczyka i plusnęła w wodę, machając ogonem.

– Nie przypominam sobie żadnej kobiety, która miałaby jej tyle co pani.

– To powiedział mi pan już wczoraj. Na pewno ma pan na podorędziu więcej odpowiedzi.

Zastanowił się. Przez całe dwie sekundy.

– Jako że wszystkie wymagają tego samego wysiłku, lepiej, żeby były go warte – powiedział w końcu.

– Chce pan powiedzieć, że za tę samą cenę pragnie otrzymać najlepszy produkt?

– Mniej więcej.

– A gdzie pan umieszcza kobiety inteligentne?

– Inteligencja i uroda powinny iść w parze.

– A jeśli tak nie jest?

– Wówczas wolę urodę.

Wyciągnęła raz jeszcze dłoń w stronę kieliszka, ale nie dotknęła go.

– Zawsze jest pan tak brutalnie szczery?

– Tylko wobec kobiet zarazem pięknych i inteligentnych.

Zobaczył, że kładzie powoli rękę na stole. Tę z dwiema obrączkami.

– Panie Falcó...

– Lorenzo, błagam. Już mówiłem. Lorenzo.

- Nie prześpi się pan ze mną.
- Teraz?
- Nigdy.
- Proszę przyznać mi przynajmniej prawo do podjęcia próby.
- W pańskie prawa się nie wtrącam. – Wciąż trzymała dłoń na stole przed jego oczami. – Ale jestem kobietą zamężną.
- To nie musi stanowić przeszkody. Wręcz przeciwnie.
- Wręcz przeciwnie...? Woli pan, gdy jesteśmy zamężne?
- Zależy. Często kobieta zamężna ma coś do stracenia. Bardziej się pilnuje. Jest ostrożniejsza.
- Jednym słowem nie komplikuje panu życia?

Nie odpowiedział na to pytanie. Nie musiał. Sięgnął po papierośnicę leżącą na stole, otworzył i poczęstował Cheskę. Wzięła papierosa, ale pokręciła głową, kiedy włożywszy sobie drugiego do ust, podsunął jej płomyk zapalniczki.

- A gdzie plasuje pan uczucia...? Gdzie miłość i przywiązanie?
 - Jedno nie wyklucza drugiego. – Falcó zapalił swojego papierosa i spojrzał na nią przez pierwszy obłok dymu. – Chodzi o to, że nigdy nie miałem potrzeby postępowania tak, jak postępujecie wy, kobiety... Prawie wszystkie zakochujecie się wcześniej.
 - Dla ochrony?
 - Dla usprawiedliwienia.
 - Boże święty. Cóż za tupet. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś odmalowywał cudzołóstwo z tak zimną krwią.
- Położyła niezapalonego papierosa na stole, jakby się go brzydziła, i wstała.
- Idzie pani?

- Naturalnie.
- Odprowadzę panią do samochodu.
- Proszę się nie fatygować.
- Nalegam.

Zostawił na stole suty napiwek i powstał, nie patrząc na zdeorientowaną kelnerkę. Kroczyli w niezręcznej ciszy przez tysiącletnią kamienną budowlę. Akwedukt był pusty. Salamanka wznosiła się na drugim brzegu, monumentalna, czysta.

– Nie będzie mnie przez jakiś czas – powiedział. – Wybieram się w podróż.

– Jest mi wszystko jedno, gdzie pan będzie przebywał.

– Nie. Nie jest pani wszystko jedno.

Zatrzymał się, ona także. Jej twarz wydawała się beznamiętna, lecz wargi były nieco rozchylone, a podbródek leciutko drżał. Z nagłą jasnością umysłu, idąc za impulsem – czasem taka rozgrywka przypominała szachy – Falcó podniósł rękę, ostrożnie, i przyłożył dwa palce do jej szyi, jakby mierzył temperaturę albo puls na tętnicy. Pozwoliła mu na to, nieruchoma. A gdy dostrzegł, że przez zielone oczy przebiega iskierka czułości i ciepła, roztopiając ich lód, przybliżył usta do jej ust.

– Wyjeżdżam jutro – powiedział cicho, odsuwając się. – Mam nadzieję, że będziesz tu, gdy wrócę.

– Skurwysyn – powiedziała.

– Tak.

Leandro, barman z Gran Hotelu, przestał potrząsać szejkerem i wlał jego zawartość do kieliszka Lorenza Falcó. Ów podniósł go, obejrzał pod światło, po czym uniósł jeszcze wyżej i stuknął w szklanek Admirala, który pił szkocką z lodem bez wody.

- Pańskie zdrowie.
- Twoje, bo będzie ci bardziej potrzebne.

Pili bez pośpiechu, w milczeniu.

– Dobra – skomentował Admirał z ukontentowaniem, klaszcząc językiem. – Nie jak ten zajzajer, który fałszują w Oporto.

Byli w cywilu, jak zwykle, i zajmowali dwa stołki przy kontuarze najbliższej drzwi. O tej porze w barze znajdowali się stali bywalcy: umundurowani wojskowi, jakaś niebieska koszula, korespondenci zagraniczni i właściciele ziemscy pachnący kosami; ci ostatni szczęśliwi, że po pięciu latach republikańskiej poniewierki znów mają fernali pod butem albo gnijących w dąbrowach i przydrożnych rowach.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zagadnął Admirał. Już od dłuższej chwili zamierzał zadać to pytanie.

Falcó spojrzał na zegarek. Jego bagaż czekał w pokoju: plecak, ubranie, buty terenowe, papierosy i kopiryna. A także browning z trzema magazynkami, nóż sprężynowy, książka z szyfrem numerycznym i druga z alfabetycznym. Brzytwę ukryje wewnątrz paska.

- Za osiem godzin ma przyjechać po mnie samochód.
- Wstanę o świcie i przyjdę cię pożegnać.
- Niech pan się nie fatyguje.
- To żadna fatyga. Chcę się upewnić, czy naprawdę znikniesz mi z oczu... Kto cię zabiera?
- Paquito Araña. Przez Sewillę do Grenady, a potem będę radzić sobie sam.

- Już wrócił z Francji?
- Wczoraj.

– Dobry chłopak... Wiedziałeś, że chociaż ciota, był rewolwerowcem Lerroux w Barcelonie? Że to on załatwił Chiqueta z El Raval i nie tylko jego?

– Tak. Wiedziałem.

– Dobrze się spisał wtedy w pociągu w Narbonne. To znaczy, obaj się dobrze spisaliście. Tamta kobieta... – nie dokończył i pociągnął łyk whisky.

– Nie ma różnicy – stwierdził Falcó po chwili.

– Wiem.

Uśmiechnął się nad brzegiem kieliszka.

– To tylko stare przesady, nie uważa pan? Kiedy znajdują swoje miejsce, zabijają i umierają tak jak mężczyźni.

– Czasem nawet lepiej.

Znów zapadła cisza. Potem Admirał zapytał, gdzie zamierza przekroczyć granicę.

– W okolicy Guadix.

– Bądź ostrożny. Jeśli złapią cię nasi, mogą pomyśleć, że przechodzisz na stronę wroga, i wpakują ci kulkę w łeb, nie dając czasu na wyjaśnienia. Zwłaszcza jeśli trafisz na Marokańczyków: „Ty być czerwony, ja cie zastrzela”... Sam wiesz.

– Na tym odcinku front jest stabilny – powiedział Falcó. – I znam kilka fajnych miejsc.

Admirał przyglądał się grupie przy stoliku w głębi. Wstawali i żegnali się. Jeden z nich miał zielony mundur Gwardii Cywilnej.

– Popatrz no, kogo tu mamy: Lisardo Queralt. Rzeźnik z Oviedo.

Falcó odwrócił się, żeby na nich popatrzeć. Pułkownik Queralt poddał torturom i zastrzelił kilkudziesięciu górników, tłumiąc powstanie w Asturii w trzydziestym czwartym, a jego krwiożercze zapędy bynajmniej nie szły

w parze z wartością bojową. Podczas powstania narodowego pułk pod jego dowództwem poniósł całkowitą klęskę pod Navalperal de Pinares i został zdziesiątkowany. Pułkownika za to odwołano, ale miał chody w kwaterze głównej, a ze względu na całkowity brak skrupułów idealnie nadawał się do kierowania represjami wewnętrznymi. Nicolás Franco, brat Caudilla, mianował go zatem szefem policji i służby bezpieczeństwa. Bezpieki, jak mawiano.

– O, cóż za niespodzianka... Chłopaki, które biegają wolno albo tak im się wydaje. Dzik i jeden z jego warchlaków.

Przystanął przy nich z trójgraniastym kapeluszem w dłoni w drodze do drzwi. Był korpulentny, miał posępną, nieprzyjemną twarz, świdrujące oczy, grube i blade wargi. Falcó wiedział, że Queralt i Admirał znali się od dawna i była to burzliwa znajomość. W grę wchodziły spór o kompetencje, zawiść i grubiaństwo pułkownika. Ale Nicolás Franco protegował obu, co chroniło jednego przed drugim. Przynajmniej na razie.

– Wiem, coś ty za jeden – pułkownik warknął w twarz Falcó. – Wiem wszystko.

– Co na przykład? – zagadnął z rozbawieniem Admirał.

– Na co się szykuje ten twój ogar. Mam na niego taaaką teczkę. – Rozstawił kciuk i palec wskazujący na dziesięć centymetrów. – Handel bronią i kilka trupów na koncie. Wiem wszystko.

– Chyba raczej prawie wszystko. – Admirał uśmiechnął się drwiąco.

Falcó patrzył na Queralta z zaciśniętymi ustami. Ów spojrział złowrogo na Admirala.

– Bawcie się w szpiegów, póki możecie – rzucił na odchodnym. Falcó powiódł za nim wzrokiem.

– Ten skurwiol dokucza mi bardziej niż gwóźdź w bucie – mruknął Admirał.

– A co on takiego wie?

– Nie przejmuj się tym.

Falcó odstawił pusty kieliszek na blat.

– Jak to mam się nie przejmować?! To ja pakuję się w czerwoną strefę.

Czy on wie o moim zadaniu?

– Być może.

– Być może?! To sprawa publiczna czy co? Najpierw Falanga, teraz policja. Czy ktoś jeszcze nie wie o moim zadaniu w Alicante?

Admirał rozglądał się na boki.

– Mów ciszej, do diabła.

– Wszystko jedno, czy będę szeptał, czy krzyczał. Bo już się widzę, ze zdjęciem włącznie, na pierwszej stronie „El Adelanto”.

– Przesadzasz. To normalne, że niektórzy ludzie zostali poinformowani.

– Czerwoni też?

– Basta! – Zgromił go wzrokiem. – Nie strój min obrażonego łobuza. Wiesz, jak to działa, każdy wtrąca swoje trzy grosze... Bardziej martwi mnie co innego.

– Bardziej niż to, że czerwoni czekają już na mnie z orkiestrą?

Admirał zagrzechotał kostkami lodu.

– Krążą słuchy o połączeniu służb specjalnych i policji w najbliższych miesiącach. Pod jednym dowództwem. A ponieważ szefem zostanie najpewniej Queralt, mamy przerypane.

Falcó zastygł z otwartymi ustami.

– Ale kanał.

– Nie gadaj.

– Co się stanie z panem? Ze SNIO?

Admirał wyjął z kieszeni fajkę Dunhill i pojemniczek z tytoniem, powoli, oszczędnymi ruchami nabijał cybuch, ugniatając tytoń palcem wskazującym.

– Błatego pojęcia nie mam – odrzekł. – Zatem mam nadzieję, że pójdzie ci dobrze. Bardzo by nam się przydał punkt w tym wyścigu, żeby pokazać, kto tu rządzi, i przy okazji wkurzyć tamtych.

Falcó westchnął ciężko. Chciałbym już być daleko stąd, w czerwonej strefie, pomyślał. Zostać panem własnego szczęścia, czynów i losu. Na polu operacyjnym sprawy były przynajmniej jasne: wszyscy są zadeklarowanymi wrogami i można traktować ich jako takich. Zabijanie i umieranie stawało się proste. Nikt cię nie zmuszał do dzielenia włosa na czworo.

– Niech pan postawi mi jeszcze jednego, panie admirale. – Wzruszył ramionami. – Przynajmniej tyle.

– Powiedziałaś, że to ty zapraszasz. Dlatego zamówiłem szkocką.

– Zmieniłem zdanie.

Gdy barman potrząsał szejkerem, Falcó zobaczył Gretę Lenz idącą przez hol w stronę swojego pokoju. Wiedział, że mąż jest daleko, w Burgos, w podróży służbowej. Miał wrócić dopiero następnego dnia.

– Leandro, ta *hupa-hupa* jest dla tego pana.

– Nie pijam takich pedalskich drinków – burknął Admirał.

– To niech pan zamówi szkocką. Ja muszę wyjść.

Podniósł się ze stołka, posłał Admirałowi pożegnalny uśmiech i ruszył w stronę holu, poprawiając węzeł krawata. Przez moment pomyślał o Chesce Prieto, lecz pięć sekund później nie pamiętał o niej i naciskał już guzik windy.

5. ZABIĆ NIE JEST TRUDNO

Zabić nie jest trudno, pomyślał Lorenzo Falcó. Trudno wybrać moment i sposób. Zabić człowieka to jak gra w oczko albo w siedem i pół, bo jedna karta za dużo albo za mało może zaprzepaścić wszystko. Zabić pod wpływem impulsu albo w afekcie potrafi każdy dureń. Tak jak zabić z poczucia bezkarności – przypadek bardzo częsty w czasach takich jak te. Natomiast zabić adekwatnie, nienagannie, profesjonalnie, to już inna sprawa. Wyższa szkoła jazdy. Do tego potrzeba sporej dawki intencji, wyczucia, zimnej krwi oraz wyszkolenia i pewnej wprawy.

Niezbędna była też cierpliwość. Dużo cierpliwości. Żeby zabić albo żeby nie zabić. Od długiej chwili Falcó trwał nieruchomo, przyklejony do filaru mostu. Księżyc w pierwszej kwadrze oświetlał przez chmury dno wąwozu porośnięte szuwarami i jego zbocze po drugiej stronie, skąd wybiegała droga do Guadix. Nad głową Falcó, jakieś dziesięć metrów wyżej, dwóch mężczyzn paliło i gawędziło. Widział z dołu ich sylwetki i żarzące się w ciemności ogniki papierosów tam, gdzie kończyła się kamienna balustrada. Nieco dalej dostrzegął zarys daszku budki wartowniczej i ciemne kształty worków z piaskiem.

Popełnił błąd. Zamiast pozostać w rejonie okopów nacjonalistów, gdzie mógłby bez problemu przemknąć się na teren wroga, Falcó przeszedł w bród rzekę Darro i maszerował przez całą noc wzdłuż drogi, mając ją po lewej ręce i oddalając się od niej od czasu do czasu, ale nigdy nie tracąc jej z oczu. Dwie godziny przed świtem, przekonany, że ma daleko za sobą

przednie linie republikańców, wyszedł na drogę, a tu natknął się na most i niespodziewany posterunek wojskowy. O mało nie wpadł na wartowników. Z tego, co widział i słyszał, było ich dwóch. Rozpoznał tutejszy akcent. Rozmawiali o rzeczach banalnych, o zimnie, wojnie, straconych zbiorach, o tym, ile czasu zostało do końca warty. Być może byłoby stosunkowo łatwo wspiać się ostrożnie na most i zabić ich, ale Falcó wolał zachować cierpliwość. Coś mogłoby pójść nie tak, poza tym miał jeszcze sporo czasu.

Plecak ciążył mu na barkach w tej pozycji, ale postanowił go nie zdejmować. Nie chciał robić hałasu. Chociaż z drugiej strony, gdyby został zmuszony do walki, musiałyby się go pozbyć. W jednej kieszeni skórzanej kurtki narzuconej na niebieski kombinezon – miał na sobie strój republikańskiego żołnierza i wyposażył się w fałszywe dokumenty, które go uwierzytelniały – spoczywał naładowany, ale zabezpieczony pistolet z jednym nabojem w komorze, w drugiej – nóż sprężynowy, którego ostrze długie na piędź zwalniało się naciśnięciem przycisku. Nie zamierzał jednak zaczynać w taki sposób swego zadania, szukając dodatkowych kłopotów. Ci na górze prędzej czy później odejdą. Porzuci wówczas kryjówkę, pokona wąwóz, nadłoży drogi i podąży w stronę Guadix.

– Zostawiam ci karabin – odezwał się jeden z cieni. – Idę pod krzaczek.

Powinienem był to przewidzieć, pomyślał Falcó, przeklinając własną głupotę. Mógł wpaść na to wcześniej. To już drugi jego błąd tej nocy. Marny początek. Pod mostem cuchnęło ekskrementami. Na pewno ci z góry wykorzystywali to miejsce jako latrynę. Kiepski adres na bazę. Tak czy owak, na nic lamenty, podsumował. Żołnierz schodził już zboczem, słyhać było jego kroki i szelest ubrania w krzakach. Starając się nie powodować hałasu, Falcó zsunął z ramion plecak i postawił go ostrożnie na ziemi. Oddychał głęboko, napełniając płuca tlenem. Wyciągnął z kieszeni prawą

rękę ściskającą nóż. Przytrzymał go drugą ręką, by stłumić dźwięk otwierającego się ostrza, i zwolnił sprężynę.

Cień był już przed nim, widział zarys barków i głowy w bladej księżycowej poświacie. Człowiek bez twarzy. Zapewne rozpinał pas i rozporek, kiedy Falcó wyłonił się z ciemności. Przez moment poczuł zapach potu i brudnej odzieży, ziemi i smaru, i wyobraził sobie nieogoloną twarz, wyraz zdumienia w oczach, gdy zobaczył, jak materializuje się przed nim czarny śmiercionośny kształt. Lewą ręką poszukał ust przeciwnika, by je zakneblować i odsłonić gardło, prawą zadał cios, głęboki, idący z boku nieco w górę, który uciąłby w zarodku każdy dźwięk, jaki mógłby wydać tamten. Zakończył ruch gwałtownym skrętem nadgarstka, tnąc horyzontalnie, i poczuł śmiertelny spazm ciała, słabe tchnienie krzyku, który nie wydobył się z ust, bo wypływał przez ranę, i ciepły – dokładnie trzydzieści sześć i pół stopnia, o ile żołnierz nie miał gorączki – strumień krwi, który pociekł natychmiast po rękoności noża, dłoni i ręce Falcó aż po łokieć.

Podtrzymał upadającego, ściskając go mocno, żeby nie runął z hałasem, wciąż zasłaniając ręką jego usta, by zdławić rzeźnię. Pozwolił mu osunąć się powoli po kamiennym filarze, aż ów legł na ziemi – ręka umierającego poruszała się jeszcze konwulsyjnie, jakby w niej właśnie zgromadziło się uchodzące życie – następnie Falcó wstał powoli, znowu oddychając głęboko, podczas gdy serce odzyskiwało normalny rytm. Po kilku sekundach pochylił się raz jeszcze, tym razem by wytrzeć nóż i rękę śliską od krwi o ubranie trupa.

– W porządku, Luciano? – zapytał głos z mostu.

– Tak – odpowiedział ochryple, by utrudnić identyfikację. I zaczął wspinać się na zbocze, ściskając w dłoni nóż.

W budce wartowniczej znalazł naczynie z wodą i umył się, doczyścił kurtkę i nóż. Znalazł też garnek z potrawką z królika i butelkę wina, którymi zamierzał zaspokoić głód i pragnienie. Odzyskał plecak. Oba ciała zawlókł do wąwozu i ukrył w sitowiu. Nie przejmował się nimi zbytnio; front znajdował się bardzo blisko i z obu stron czyniono wypadki na linię wroga. Afrykanie z frankistowskich oddziałów zapuszczali się głęboko i nie mieli skrupułów przed użyciem noża. Czerpali z tego przyjemność. Pójdzie na ich konto.

Jadł powoli, z apetytem, jako że nie miał nic w ustach od poprzedniego wieczoru. Własne zapasy: pół kręgu sera, chleb i puszkę mleka skondensowanego zachował na później. Spojrzał na zegarek – patka philippe’a zamienił w Salamance na tani metalowy – wyjął z kieszeni mapę i kompas, w świetle naftowej lampy ustalił swoje położenie i zaczął planować dalszą drogę. Zamierzał dotrzeć do Guadix, a tam wsiąść w wąskotorówkę, która niegdyś jeździła na trasie Grenada–Murcja, a obecnie wyruszała z Guadix. Kiedy oddali się nieco od linii frontu, będzie mógł pójść szosą, a łut szczęścia, na który liczył, sprawi, że może jakiś kierowca ciężarówki albo samochodu zechce podrzucić go do miasta. Jak głosiły dokumenty ze zdjęciem i stosownymi pieczęciami, Lorenzo Falcó był wszakże teraz kapralem republikańskiej artylerii Rafaelem Friasem Sanchezem, przydzielonym do baterii obrony przeciwlotniczej w Kartagenie, podążającym do swojej jednostki.

Zaczynało świtać, kiedy Falcó opuścił budkę i ruszył na przełaj przez pola. W dwie godziny pokonał jakieś dziesięć kilometrów i gdy słońce stało już wysoko na niebie, wrócił na szosę. W pewnym momencie wydało mu się, że słyszy strzały z dział dobiegające z oddali, z pofałdowanych zboczy gór o ośnieżonym grzbiecie wznoszących się majestatycznie po jego prawej ręce. Jakiś czas później dwa dwupłatowce przecięły niebo ze wschodu na

zachód, a jeden z nich skręcił nad drogę i obniżył lot. Był to fiat CR.32 i Falcó zaniepokoił się na widok czarnego krzyża frankistowskich sił powietrznych na białym ogonie, lecz znajdował się na otwartym terenie i nie miał gdzie się schronić. Szedł więc dalej, napięty jak struna, podczas gdy samolot leciał w jego kierunku coraz głośniejszy i coraz niżej. Po krótkiej chwili zobaczył, że przelatuje obok niego zaledwie trzydzieści metrów nad ziemią, i że pilot – postać w skórzanej czapce i okularach ochronnych – przypatruje mu się przez moment, po czym maszyna nabiera wysokości i wraca do towarzysza.

Gdy dwa małe punkciki zniknęły za horyzontem, Falcó przystanął, zdjął plecak i rozpiął kurtkę. Kombinezon był cały mokry od potu. Przysiadłszy na przydrożnym kamieniu, wyjął wytartą papierośnicę ze skręcanymi papierosami – ta szylkretowa i playersy także zostały w Salamance – i zapalaki; zapalając skręta, zobaczył, że za paznokciami ma jeszcze krew w postaci cienkiej obwódki, brudnej, brunatnej. Przez dłuższą chwilę wyskrobywał ją ostrzem noża.

Wagon, który niegdyś określano jako trzeciej klasy – obecnie klasy zostały oficjalnie zniesione na terytorium Republiki – był prawie pełen. Trząsał się, a wszystko w środku wibrowało. Siatki na bagaże uginały się pod ciężarem tobołków, koszy i tekturowych walizek, kołysząc się nad głowami żołnierzy ubranych na niebiesko lub oliwkowo, z mauzerami, z koalicyjkami, w furazerkach. Czterech czy pięciu grało w karty, inni palili albo przysypiali. Wśród pozostałych pasażerów przeważały kobiety w czerni okutane wełnianymi chustami i mężczyźni odziani w sztruks lub zgrzebne płótno. Na głowach kaszkiety lub berety, żadnego kapelusza. Pociąg pędził na północny wschód – zostawił już za sobą stację w Bazie – przez suche pola i płowe wzgórza porośnięte niskimi zaroślami; przez okna, w których niedopasowane kawałki tektury zastępowały szyby, wpadał

powiew zimnego i nieprzyjemnego powietrza ze skrawkami sadzy z lokomotywy gwizdzącej na początku składu.

Lorenzo Falcó rozgniół butem niedopałek, podniósł kołnierz kurtki i spróbował usadowić się jakoś na twardej drewnianej ławce i zdrzemnąć. Ze spokojną rezygnacją, rutynową na tym etapie życia, przypomniał sobie inne, wygodniejsze pociągi w innych, lepszych czasach, gdzie mężczyźni wydawali się – albo byli – bardziej eleganccy, a kobiety były – albo wydawały się – piękniejsze, gdy mijał je w korytarzu pulmanów i wagonów sypialnych. Falcó zgromadził w swym umyśle bogatą kolekcję obrazów i momentów uchwyconych i zatrzymanych jak w albumie fotograficznym: śniadania w luksusowych wagonach restauracyjnych w drodze z Lizbony lub Berlina, drinki na skórzanych stołkach baru w Train Bleu, wręcz bardziej wyrafinowanego niż ten w paryskim Ritzu; kolacje na srebrnej zastawie w Orient Expressie z perspektywą kolejnego noclegu w apartamencie z widokiem na wschód słońca nad Bosforem w stambulskim Pera Palace... Wszystko to, pociągi, zielone granice, cudzoziemscy współpasażerowie, miasta i pejzaże, mieszało się w jego pamięci z transatlantykami, hotelami, lotniskami, fragmentami podniecającego i niebezpiecznego, bynajmniej nie zwyczajnego życia. Życia, które dostarczało – a pociąg, w którym dziś jechał, i cel jego podróży dowodziły tego niezbicie – tyleż samo wstrząsów, co powodów do zadowolenia, tyleż samo chwil spędzanych w miejscach obskurnych, co drogich i eleganckich. Życia, które kiedyś zapewne wystawi mu nieubłagany rachunek: puk, puk, puk, panie Falcó, pora płacić. Koniec podróży. Koniec balu. Pragnąc uczynić ów koniec, gdy trafi mu się zła karta, możliwie jak najszybszym i najbardziej bezbolesnym, Falcó przechowywał w fiolce z kopiryną maleńką ampułkę cyjanku potasu. Wystarczy włożyć do ust i rozgryźć. Klik i aniołki wędrują do nieba albo

gdzie im pisano. Śmierć powolna i na raty podczas przesłuchania nie leżała w jego życiowych planach.

Zagadnęła go kiedyś o to pewna kobieta. Zawsze to kobiety pytały o takie rzeczy. Po co to robisz. Dlaczego żyjesz w ten sposób, balansując na krawędzi, na ostrzu noża. I nie mów mi, że to dla pieniędzy. Pytanie padło pewnego nie tak całkiem odległego dnia, o brzasku, w jednym z owych eleganckich i luksusowych miejsc, których ta kobieta była naturalnym uzupełnieniem; a może to raczej owym miejscom zawdzięczały doskonałość niektóre z nich, wybranki losu, umieszczone przez biologię i okoliczności dokładnie w scenerii, dla której zostały stworzone. W tym przypadku chodziło o pokój hotelu Grande Bretagne w Atenach. Jedli śniadanie przy otwartym oknie wychodzącym na plac Sintagma po nocy, podczas której żadne z nich nie spało więcej, niż to było niezbędne. Po co, nalegała, obserwując go znad parującej filiżanki z kawą. Falcó przyglądał się jej tęczęwkom przejrzystym jak strumień – była Węgierką, piękną, inteligentną i spokojną – a następnie wspaniałemu ciału wyglądającemu spod rozchylonego białego szlafrocza, początek ud, powyżej narodziny okrągłych, jędrnych piersi, oczy jeszcze ze śladami makijażu z poprzedniego dnia, gładka skóra pachnąca metodycznie gmatwaną pościelą, splątanymi ciałami, ciepłą wilgocią, podzielaną, wyczerpującą. Usłyszawszy pytanie, spojrział na nią z wystudiowanym spokojem, rozkoszując się doskonałym widokiem, jaki roztaczała przed nim, i po chwili milczenia, wzruszając ramionami, ujął wszystko w kilku słowach. Mam do dyspozycji tylko jedno życie, powiedział. Krótki moment między dwiema nocami. A świat jest fantastyczną przygodą, której nie mam zamiaru zmarnować.

Na stacji w Purchenie wsiadło trzech pasażerów. Dwóch uzbrojonych milicjantów – anarchista w espadrylach i z chustą FAI na szyi oraz typ w granatowej kurtce i srebrzystej czapce Gwardii Szturmowej, obaj o rękach wieśniaków, z koalicyjkami, bagnetami i mauzerami – prowadziło młodego mężczyznę z rękami związanymi z przodu, w koszuli z podwiniętymi rękawami i marynarce zarzuconej na ramiona. Usiedli naprzeciwko Falcó z karabinem między nogami, umieszczając chłopaka pośrodku. Przez moment ich spojrzenia się skrzyżowały. Miał zmierzwiłone włosy, jednodniowy zarost i zaschniętą strużkę krwi między nosem a górną wargą, spuchniętą pod prowizorycznym opatrunkiem. Koszulę też pokrywały plamy krwi. Czując, że na niego patrzą, jakby w jego wnętrzu ożyła resztką dumy, młody podniósł nieco głowę i na jego ustach pojawił się mechaniczny, przelotny uśmiech, a raczej jego zarys. Oczy miał nieobecne. Falcó odwrócił wzrok, ponieważ nie miał najmniejszej chęci, by zwracać na siebie uwagę chłopaka ani nikogo innego.

W głębi wagonu kilku żołnierzy śpiewało piosenkę, smutną, andaluzyjską, *cante jondo* z klaskaniem. Pociąg turkotał miarowo. Siedzący obok Falcó człowiek w szarej baranicy i berecie nasuniętym na oczy zapytał konwojentów, co zrobił więzień.

– To faszysta – odpowiedział gwardzista. – Złapaliśmy go wczoraj w Oluli.

– Jego ojciec miał ziemię i fabrykę konserw – uzupełnił drugi tonem, który zdawał się wszystko wyjaśniać.

– A co z ojcem?

– Rozstrzelany trzy miesiące temu, z drugim synem. Szukaliśmy tego, bo się ukrywał.

– Dokąd go zabieracie?

– Do więzienia w Murcji. Na razie...

Człowiek w baranicy wyjął papierośnicę ze skręconymi już papierosami i poczęstował milicjantów. Potem zapytał, czy może dać jednego więźniowi.

– Pewnie, jeśli chce – pozwolił gwardzista.

Przytrzymując papierosa obiema rękami, młody pochylił się ku zapalniczce mężczyzny w baranicy. Gdy wrócił do poprzedniej pozycji, jego wzrok ponownie spotkał się ze wzrokiem Falcó. W spojrzeniu była bezkresna pustka, stwierdził ów, zanim odwrócił oczy. Posępny, jałowy pejzaż. Bez skrawka światła. Znużenie pozbawione nadziei.

– Bardzo szybko rzuci palenie – zauważył anarchista.

Zażądano od niego dokumentów następnego dnia, gdy wysiadł w Murcji i czekał na peronie na ekspres do Kartageny. Była to rutynowa kontrola, lecz Falcó wiedział, że przypadkowe wydarzenia często prowadzą do poważnych problemów. Sprawiają, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Epizod stanowił dobrą okazję do sprawdzenia jakości fałszywych dokumentów. Czekał w napięciu, z dłonią na kolbie pistoletu w kieszeni kurtki, szukając wzrokiem dróg ucieczki, podczas gdy jeden z milicjantów patrolujących peron oglądał legitymację wojskową – Wojska Powietrzne, siły DCA – kaprała Rafaela Friasa Sancheza, kawalera, syna Andresa i Marceli, urodzonego w Guadix, zamieszkałego w Kartagenie. Milicjant przyjrzał się bacznie godłu – dwa skrzydła zwieńczone czerwoną gwiazdą – i fotografii, tylko rzucając okiem na stronę wypełnioną na maszynie, podbitą i podpisaną przez dowódcę Zgrupowania Południe, poświadczającą, że kapral Frías podróżuje za pozwoleniem dowództwa; Falcó wywnioskował z tego, że ten smętny, wychudzony gość z pistoletem, w kaszkiecie i z opaską Komunistycznej Partii Hiszpanii, jest analfabetą.

Przeszedłszy pomyślnie tę pierwszą kontrolę, udał się do kiosku z prasą, zakupił „El Liberal” i „Mundo Gráfico”, po czym usiadł przy stoliku w bufecie, z plecakiem pod nogami, między plakatem z reklamą fosforanów sodu Salud a podziękowaniami dla milicji ludowej. Zamówił dwa jajka sadzone z bułeczką i spałaszował z apetytem, przeglądając gazetę i magazyn. „Madryt opiera się faszystowskiej agresji”, brzmiał największy nagłówek na pierwszej stronie. „Rząd, ewakuowany do Walencji z powodów strategicznych, wznawia działalność”... „Zaciekle walki na froncie aragońskim”... „Zorganizowany lud zwycięsko walczy w całym kraju”... Okładkę „Mundo Gráfico” zajmowała w całości fotografia przepięknej kobiety w mundurze milicyjnym składającej pistolet campo-giro pod czujnym wzrokiem domniemanego instruktora. „Gwiazda filmowa Pepita MontebLANco pracuje jako kierowca w Unii Republikańskiej”, głosił nagłówek. Falcó uśmiechnął się w duchu. Pepita MontebLANco – w rzeczywistości nazywała się Josefina Lledó – i on mieli krótki romans po kolacji sylwestrowej w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym w apartamencie hotelu María Cristina w San Sebastián, gdzie kręcono film, w którym grała elegancką damę z wyższych sfer. Życie, skonkludował, to dziwna karuzela. Ciąg absurdalnych fotografii.

Bolała go głowa. Zmęczenie i napięcie dawały o sobie znać. Kawa nie była całkiem paskudna mimo wojennych restrykcji – podejrzewał, że to zmieni się na gorsze z upływem czasu – więc zamówił kolejną filiżankę i popił kopirynę. Siedział potem nieruchomo, nie czytając i nie paląc, z pustym umysłem, w oczekiwaniu, aż lek zadziała. W takiej pozycji dostrzegł ciemne mundury dwóch gwardzistów z mauzerami przewieszonymi przez ramię.

– Dokumenty – rzucił jeden z nich.

Był starszy i nosił wąsy, co w społeczności ogolonych twarzy wskazywało na pewność siebie i rzetelny rodowód republikański. Spod daszka srebrzystej czapki spoglądały oczy ciemne i podejrzliwe, dobrze współgrające z mundurem. Od kiedy spora część Gwardii Cywilnej przyłączyła się do buntowników, ci ze Szturmowej, zazwyczaj wierni prawowitemu rządowi, ponosili ciężar utrzymywania porządku publicznego w czerwonej strefie, oczywiście pod warunkiem że nie interweniowała któraś z niezliczonych lokalnych milicji wyrastających jak grzyby po deszczu. A owi dwaj gwardziści, oszacował jednym spojrzeniem Falcó, nie wyglądali na analfabetów jak poprzedni milicjant. Byli zawodowcami.

– Skąd jedziesz, towarzyszu?

– Od rodziny, z Guadix... Zmarła moja matka. Przepustka na sześć dni.

– Wyrazy współczucia.

– Dzięki.

Gwardzista oglądał papiery, czytał uważnie dokument podróży.

– Dokąd jedziesz?

– Tam jest napisane.

– Tak, ale chcę usłyszeć to od ciebie.

Rytm serca Falcó przyspieszył. Nadał swojemu głosowi niewymuszone, naturalne brzmienie.

– Jednostka obrony przeciwlotniczej La Guía koło Kartageny.

– Nazwisko bezpośredniego przełożonego?

– Kapitan milicji Segismundo Contreras Vidal.

– Co tu robisz?

– Czekam na ekspres. Najwyraźniej ma opóźnienie.

Gwardzista spojrział na gazetę i magazyn leżące na stoliku obok pustej filiżanki po kawie.

- Masz broń?
- Regulaminowy pistolet. – Wyjął bez wahania z kieszeni browninga.
- Nie wolno podróżować z bronią, nawet regulaminową.

Falcó schował pistolet.

- Ja mogę.

Z wewnętrznej kieszonki kurtki wyciągnął specjalne pozwolenie. Gwardzista przyglądał się uważnie jemu, nie pozwoleniu. Falcó bez trudu czytał w jego myślach. Otrzymanie takiego dokumentu nie leżało w zasięgu pierwszego lepszego, zatem prawdopodobnie miał przed sobą kogoś wpływowego. Ze znajomościami.

- Działasz w jakiej organizacji, towarzyszu?

Falcó pokazał na gumową okładkę pozwolenia. Za dokument wsunięta była legitymacja z szarej tektury z nadrukiem sierpa i młota i ze zdjęciem członkowskim przytwierdzonym zszywaczami. Admirał i sekcja fałszerzy SNIO odwalili kawał dobrej roboty, pomyślał.

- W Amelii.

Amelią nazywano AML, Agrupación de Milicias de Levante, o zdecydowanie komunistycznym charakterze. Jej członkowie, zdyscyplinowani, twardzi, cieszyli się dużą estymą w rejonie. Przynależność do AML mogła wyjaśniać, że Falcó przebywał pod Kartageną, a nie na froncie.

- Czemu nie pokazałeś nam tego wcześniej z innymi papierami?
- Nie widziałem takiej potrzeby.

Gwardzista przyglądał mu się jeszcze przez chwilę. Potem oddał dokumenty i podniósł do daszka czapki zaciśniętą pięść.

- *Salud*, towarzyszu.
- *Salud*.

Odeszli w stronę wyjścia z peronu. Falcó schował legitymacje i przepustkę, rozluźnił mięśnie twarzy wygarbowanej latami napięcia, kłamstw i przemocy. Puls wrócił do stałych sześćdziesięciu uderzeń na minutę. Mało brakowało, pomyślał. A cholerna kopiryna nie zadziałała. Wstał po szklankę wody. Nic z tego, musi zażyć drugą.

Wbrew poetycznej nazwie ulica Balcones Azules, Błękitnych Balkonów, leżała u stóp Molinete, chińskiej dzielnicy w centrum Kartageny, wzgórza zabudowanego ruderami, zwieńczonego odrapaną wieżą wiatraka, do której wspinały się uliczki z tawernami, kabaretami i lupanarami. Na balkonach pośród doniczek z bazylią i geranium suszyło się pranie.

Lorenzo Falcó zszedł po wąskich schodach na parter pensjonatu, w którym właśnie wynajął pokój, i po chwili już był na ulicy. Miał na sobie sztruksowe spodnie, białą koszulę i skórzaną kurtkę – pistolet zatknął z tyłu za pas, z sześcioma nabojami w magazynku i jednym w komorze – na głowę wcisnął beret. Pozostało jeszcze sporo czasu do zachodu słońca, ale już widać było kobiety stojące w bramach, mężczyzn, którzy przechadzali się powoli, obserwując je, grupy marynarzy i milicjantów zmierzające ku labiryntowi uliczek prowadzących na szczyt. Szedł bez pośpiechu między nimi w górę wzgórza. Domy uciech zaczynały otwierać podwoje, na nadprożach widniały ich nazwy: El Trianón, El Gato Negro, La Puñalá. Wszedł do tego ostatniego, rozpadającego się kabaretu z estradą w głębi, i oparł się o kontuar. Na ścianie zobaczył namalowaną niezdarnie Betty Boop w furazerce, z republikańską flagą w ręce, a obok plakat o treści: „Towarzyszu, traktuj dobrze wybraną przez siebie towarzyszkę. To może być twoja córka, siostra albo matka”.

Uśmiechał się jeszcze, zamawiając anyżówkę. Klientów było niewielu: czterech osiłków z pancernika Jaime I, którego nazwa widniała na otoku ich czapek, perorowało przy stole z dzbankiem z dwiema szijkami pełnym

wina, nawołując do likwidacji zdrajców; kilku cywili popijało w samotności albo gawędziło z kobietami. Ta stojąca za barem była w dojrzałym wieku, korpulentna, miała na sobie podomkę w chińskie kwiaty. Postawiła przed Falcó kieliszek, skosztował i podniósł na nią wzrok jakby od niechcienia.

– Za słodka. Wolę bardziej wytrawną... Nie miałabyś przypadkiem anyżówki Romerito?

Mierzyła go wzrokiem przez trzy sekundy. Potem pokręciła głową.

– Takiej nie mam.

– Szkoda. To nowa marka.

– Jeszcze tu nie doszła. – Przetarła kontuar wilgotną ścierką. – Spróbuj w knajpce z ośmiornicami przy ulicy Paraíso. Na końcu schodów, prawie na rogu.

– Dzięki.

– Należą się dwa reale.

– Psiakrew – skomentował Falcó, wkładając rękę do kieszeni. – Droższa od szampana.

Matrona spoglądała na niego bardzo poważnie.

– Robimy rewolucję ludową, towarzyszu. Bogactwem trzeba się dzielić.

– Widzę.

– No właśnie.

Wyglądała, jakby straciła zainteresowanie klientem, ale Falcó zauważył po chwili, że podchodzi do jednej z kobiet siedzących w lokalu, zamienia z nią kilka słów, a tamta obrzuca go wzrokiem. Dopił anyżówkę i wyszedł, zapytał o ulicę Paraíso i zszedł po schodach prowadzących do zaułka, gdzie natychmiast poczuł zapach ośmiornic. Knajpka była nieduża, gwarna, pełna ludzi. Wszedł, usadowił się w końcu baru przy ścianie i odczekał

dwadzieścia minut. Wreszcie zobaczył w progu kobietę, która patrzyła na niego w La Puñalá. Mogła mieć lat trzydzieści z okładem i mimo swej profesji zachowała pewien urok. Czarne włosy spięte w kok, wargi pomalowane na intensywną czerwień, oczy podkrążone od zmęczenia. Skierowała się prosto ku niemu.

– Jak masz na imię, przystojniaku? – zagadnęła z mechanicznym, zawodowym uśmiechem.

– Rafael.

– Chodź się zabawić, Rafael.

Poszedł za nią, znów w górę po schodach, jak dziesiątki mężczyzn każdego dnia w tej dzielnicy. Zagłębili się w uliczkę, gdzie staruszka w czerni siedząca przed skrzynką z drobnym towarem mamrotała monotonnie „tytoń i guma do żucia, tytoń i guma do żucia”. Przeszli przez sień wąskimi, obskurnymi schodkami, których drewniane stopnie trzeszczały przy każdym kroku, po czym kobieta otworzyła drzwi, za którymi ciągnął się ciemny korytarz zakończony pokojem. Przed wejściem Falcó wysunął pistolet z za pasa i włożył go do prawej kieszeni kurtki, odbezpieczył kciukiem i trzymał palec na spuście. W pokoju zobaczył zasłane łóżko, stolik z popielniczką, bidet, dzbanek z wodą i dwa złożone ręczniki. Na łóżku siedział młody człowiek, paląc papierosa. Kobieta zamknęła drzwi za plecami Falcó, zostawiając ich samych, a młody uśmiechnął się z pewną nieśmiałością.

– Znalazł pan anyżówkę Romerito?

– Ani kropli.

Młody uśmiechnął się szerzej.

– Nazywam się Ginés Montero. Witamy w Kartagenie.

– Dzięki.

– Możemy mówić sobie na ty? Tutaj tak będzie bezpieczniej.

Falcó potaknął.

– Jak uważasz.

Młody wyglądał sympatycznie. Kręcone włosy, piegowate ręce, dołek w podbródku. Nosił okrągłe szylkretowe okulary. Miał na sobie popielatą marynarkę i koszulę rozpiętą pod szyją, bez burżuazyjnego krawata. Falcó dał mu jakieś dwadzieścia pięć lat. Chłopak przypominał nieco drugoplanowych aktorów z amerykańskich komedii romantycznych. Najlepszy przyjaciel bohatera głównego.

– Jak mam do ciebie mówić, towarzyszu?

– Rafael – powiedział Falcó. – Ale daruj sobie towarzysza.

– Jak tam chcesz. Przywozisz instrukcje?

– Tak. – To słucham.

Przez bity kwadrans Falcó relacjonował szczegółowo to, co miał do przekazania. Stan przygotowań, zadania każdego uczestnika operacji. Lądowanie łodzi i atak na więzienie w Alicante. Działania koordynujące, za które odpowiadała grupa z Kartageny.

– Nie zostało nas wielu – powiedział Montero. – W ciągu ostatniego miesiąca straciliśmy trzech kolegów... Dwóch nie żyje. Trzeci wytrzymał przesłuchania, nikogo nie sypnął, siedzi w więzieniu San Antón, a przynajmniej był tam jeszcze trzy dni temu... Przedwczoraj, po nalotach, czerwoni wpadli do więzienia, w ramach odwetu zabrali kilkanaście osób i je zabili. Nie wiemy jeszcze, czy był wśród nich.

– Ilu was zostało zdolnych do działania?

– Moja siostra Cari, Eva Rengel i ja... Jest jeszcze czwarty, Juan Portela, ale o nim porozmawiamy później. Tak czy owak, do tego, co jest do zrobienia, wystarczy nasza trójka. – Popatrzył z respektem na Falcó – No i ty, rzecz jasna.

– Kto to jest Eva Rengel?

– Najlepsza przyjaciółka mojej siostry. Falangistka od samego początku, jedna z niewielu kobiet, które wpisały się tu do sekcji żeńskiej. Wspaniała dziewczyna, odważna, godna zaufania... Zaplanowaliśmy, że obie spotkają się z tobą jutro w kinie Sport. Na seansie popołudniowym ruskiego filmu *Matka*. Poznacie się jakby przypadkiem.

Wyjął z kieszeni bilet i podał go Falcó. Ów schował go do portfela.

– Co wiecie o Alicante?

– José Antonio żyje normalnie, szykuje się do obrony w procesie, który ma się niedługo rozpocząć, grywa w piłkę na dziedzińcu więziennym. W tej kwestii nic nowego.

– Przekazano mu, co planujemy?

Montero pokręcił głową, gasząc papierosa w popielniczce.

– To się zrobi dopiero w ostatniej chwili, dla jego własnego bezpieczeństwa. Mógłby się sprzeciwić, żeby nie narażać życia towarzyszy... A jak to widzą w Salamance?

– Myślą, że może się udać. Wciągnęli Niemców. Ich marynarka nam pomoże.

– Myślałem, że pomogą Włosi.

– Najwyraźniej kwatera główna ma większe zaufanie do Kriegsmarine.

– To dobre wieści.

– Tak sądzę.

Montero przypatrywał mu się z uwagą. W jego oczach krótkowidza błyszczały podziw i respekt. Ktoś zdolny do przekroczenia linii wroga i pojawienia się w Kartagenie jak Falcó był bez wątpienia wyjątkowym gościem. Agentem specjalnym.

– Niezbyt dużo wiem o tobie – rzekł.

– Nie ma wiele do opowiadania. Nie musisz wiedzieć.

– Powiedziano mi tylko, że nie jesteś falangistą, ale że znasz się na rzeczy. Że masz poparcie z samej góry. Ale chciałbym...

– To ci wystarczy – uciął Falcó. – Gdzie mieści się konsulat niemiecki?

– W biurze handlowym, pod Muralla del Mar. Jeszcze tam jest. Chociaż mówią, że lada dzień Hitler i Mussolini uznają rząd Franco, a wtedy będzie musiał zwinąć się w try miga.

– Muszę skontaktować się z konsulem. To możliwe?

– Tak, byle zachować ostrożność.

Falcó wyjął papierosy i zapalił, nie częstując rozmówcy.

– Jak wygląda tu sytuacja?

Bombardowania nacjonalistycznego lotnictwa bardzo wkurzają ludzi, streścił Montero. Zwłaszcza kiedy są ofiary cywilne. Za każdym razem czerwoni biorą odwet. Milicjanci wyciągają więźniów i zabijają ich na cmentarzu albo w polu. Komuniści zachowują jakiś porządek i dyscyplinę, za to anarchiści – a każdy szumowina zapisuje się do FAI i odmawia podporządkowania się komukolwiek – są niebezpieczni nawet dla Republiki. Sporo zwykłych przestępców wypuszczonych, kiedy otwarto więzienia, chodzi pod bronią i nie wybiera się na żaden front.

– Ludzie przyzwoici są na froncie i walczą – zakończył. – Zostali tylko ci, którym różne rzeczy uszły płazem, ci, co zajęli fabryki i warsztaty. No i jeszcze chłopaki z Floty. Wymordowali swoich dowódców i oficerów, nie wypływają w morze nawet po tuńczyka. Sformowali tak zwane oddziały proletariackiego odzysku, które wdzierają się do domów pod pretekstem szukania faszystów i rabują wszystko, co ma jakąś wartość... Noce, kiedy byle łachudra może załomotać do drzwi uczciwego człowieka, są straszne.

– A ty jak przeżyłeś do tej pory?

Młody obrzucił go badawczym spojrzeniem, próbując ustalić, czy w pytaniu kryje się wyrzut. Po chwili odprężył się.

– Kiedy wybuchła wojna, nie miałem jeszcze legitymacji i nic nie było na mój temat w kartotece Falangi, jak czerwoni wpadli tam z rewizją... Jestem praktykantem w szpitalu, leczę kobiety w tej dzielnicy. Uznano mnie za personel niezbędny na tyłach, bo w tym wojennym burdelu choroby weneryczne sięją spustoszenie... Jestem więc dosyć bezpieczny.

– A twoja siostra?

– Zapisała się do Młodzieży Socjalistycznej i pracuje w Telefonice przy placu San Francisco.

– Gratulacje. Dobre miejsce, żeby podsłuchiwać rozmowy.

– Znakomite, bardzo nam się przydaje. – Spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi. – Muszę już iść... Gdzie zamieszkałeś?

– Tu niedaleko, w La Obrerze.

Montero uśmiechnął się.

– Kiedyś to był pensjonat El Príncipe. – Jeszcze raz zerknął na zegarek. – Przekażę konsulowi, że chcesz go zobaczyć jutro rano. A po południu spotykasz się z moją siostrą Cari i Evą w kinie. Od tego momentu ty przejmujesz dowództwo do czasu przybycia towarzyszy, na których czekamy. Takie mam rozkazy.

– Nie masz nic przeciwko temu? – Falcó przyglądał mu się z ciekawością. – Żebym to ja, jak mówisz, objął dowództwo.

– Jestem żołnierzem. – Młody wzruszył ramionami. – Przywykłem do otrzymywania rozkazów i wypełniania ich bez zbędnych pytań.

Falcó wyczuwał, że tak właśnie jest. A wręcz był tego pewny. Ginés Montero przypominał w tym Fabiana Esteveza, falangistę, który miał tu wylądować za kilka dni. Może Montero był bardziej niedoświadczony, a Estévez bardziej ogorzały od bitewnego ognia, ale dostrzegł podobieństwo między nimi, coś z konspiracji i odwagi, decyzji politycznej i wiary w sprawę, dla której ryzykowali życie. Paradoksalnie upodobało

ich to do przeciwników, w każdym razie do niektórych z nich, tych najlepszych. Falcó widywał ich zaraz po wybuchu powstania, strzelających do siebie na ulicy: falangistów, socjalistów, komunistów, anarchistów, zabijających się z podziwu godną wytrwałością. Młodzi, odważni i zdecydowani, jedni i drudzy, często znali się nawzajem, siedzieli w tych samych ławach na uczelni i pracowali obok siebie w fabryce, chodzi na te same potańcówki, do tych samych kin i kawiarni, mieli tych samych przyjaciół, a nawet te same dziewczyny. Widział, jak mordują się z pełną świadomością, wet za wet. Czasem z nienawiścią, czasem z zimnym szacunkiem dla przeciwnika, którego zna się i szanuje, mimo że stoi po drugiej stronie. Albo on, albo ja, taka była idea. Motyw. Albo oni, albo my. Jaka szkoda, podsumował w myśli. Jaka szkoda, że ktoś zażegł stos, na którym miała spłonąć, albo wręcz już płonęła najlepsza młodzież z jednej i z drugiej strony.

Odpędził od siebie te myśli, rozgniatając niedopałek w popielniczce. To nie jego sprawa, powiedział sobie. Niech tam się zabijają i umierają, z tych albo innych powodów. Z głupoty, podłości albo szlachetnych motywów. Wojna, którą toczył Lorenzo Falcó, była inna, a przeciwnicy ściśle określani: po jednej stronie on, po drugiej wszyscy inni.

Ginés Montero poszedł sobie, uściskawszy mu rękę, a Falcó został jeszcze przez chwilę, dumając nad jego spojrzeniem, zarazem stanowczym i prostodusznym, zza szkieł okrągłych okularków. Nad nieśmiałym uśmiechem tego młodego człowieka, na którego zapadł już wyrok skazujący, obojętnie, czy przeżyje, czy umrze, podobnie jak na całe jego pokolenie. W tym momencie zapukano do drzwi i w progu stanęła kobieta, która go tu przyprowadziła. Falcó wyjął z portfela dwa banknoty pięciopesetowe i położył je na stoliku pod popielniczką.

– Dzięki za wszystko – powiedział.

Idąc w stronę drzwi, zwrócił uwagę na zmęczoną twarz kobiety, ale też na dekolt czarnej bluzki odsłaniający początek piersi, między którymi lśnił medalik Matki Boskiej z Góry Karmel zawieszony na złotym łańcuszku. Jak na kurwę z Molinete była niczego sobie, zauważył w duchu. Niemal powyżej średniej. Chyba odczytała jego spojrzenie, bo wskazała na banknoty.

– Chcesz usługę, za którą zapłaciłeś? – zagadnęła z zawodową obojętnością.

Falcó uśmiechnął się z wahaniem, zerkając na zegarek.

– Śpieszę się. Może kiedy indziej.

– Mogę ci go obciągnąć... Gdyby ktoś mnie pytał, powinnam wiedzieć, jakiego masz drağa.

6. ŚMIECH POWRÓCI WIOSNĄ

Do kina Sport wchodziło się z rozległego placu obsadzonego palmami. Lorenzo Falcó wysiadł z tramwaju pękającego w szwach – przejazd odbywał się za darmo, przynajmniej jakaś korzyść z życia w strefie rewolucji proletariackiej – i nie patrząc na oddalający się wehikuł, z którego pałaka sypały się skry, ruszył przez plac w stronę wejścia. W połowie drogi, instynktownie sprawdzając, czy nikt go nie śledzi, zatrzymał się przy fontannie, by zawiązać sznurówkę, i rozejrzał się dyskretnie dokoła. Nie zauważywszy nic podejrzanego, poszedł dalej.

Dzień był owocny. Konsul niemiecki, agent okrętowy Sánchez-Kopenick we własnej osobie czekał na niego punktualnie o jedenastej przy tylnych drzwiach gmachu położonego pod Muralla del Mar i rozmawiał z nim długo w cztery oczy. Był to osobnik jasnowłosy, brzuchaty i sympatyczny, o zaaferowanej minie, mówiący stale przyciszonym głosem, człowiek, który na dzień dobry wyjawiał, że szykuje się do wyjazdu z Kartageny, ponieważ w ciągu najbliższego tygodnia jego rząd, powiedział, oficjalnie uzna rząd generała Franco. Nie zamierza zatem czekać na to, aż o trzeciej nad ranem zapukają do niego milicjanci, żądając wyjaśnień. A jako że mieli oni zwyczaj podcierania sobie dupy paszportami dyplomatycznymi – podcierania dupy, tak właśnie się wyraził – był już prawie spakowany. Żona wyjechała wcześniej z dziećmi, on sam wyruszy za kilka dni. Tyle czasu miał do dyspozycji Falcó, by skorzystać z usług, które jego biuro mogło mu wyświadczyć.

– W pańskiej sprawie wszystko odbędzie się zgodnie z ustaleniami – dodał konsul. – Desant, operacja morska jako przykrywka i cała reszta... Tymczasem może pan w razie potrzeby przekazywać informacje za naszym pośrednictwem.

Falcó uśmiechnął się w duchu. „Za naszym pośrednictwem” znaczyło, że jego meldunki zostaną przesłane do Berlina, a dopiero stamtąd do centrali w Salamance. To samo będzie w drugą stronę. Tym sposobem niemiecki wywiad nie straci ani szczegółu. Wczoraj przez pół nocy szyfrował meldunek dla Admirala kluczem opartym na książce z szyframi, którą od niego dostał, choć doskonale wiedział, że złamanie szyfru to będzie pikuś dla specjalistów z Abwehry. Jeśli chodzi o Niemców, równie dobrze mógłby nie tracić czasu. Pozytywny aspekt był taki, że chodziło o zupełnie nowy szyfr, całkowicie różny od tych, którymi posługiwali się zarówno republikanie, jak i nacjonaści, znanych zazwyczaj obu stronom.

– Powinien pan przesłać to – powiedział, wręczając wiadomość Sanchezowi-Kopenickowi. Ów rzucił na nią okiem. Dwie kartki wyrwane z zeszytu, pokryte literami i cyframi zapisanymi ołówkiem.

– Przekażę natychmiast. – Włożył je do kieszeni. – Sądzę, że wie pan, iż nie powinien tutaj wracać, chyba że do przesłania będzie coś bardzo ważnego... Wiadomości dla pana będą przekazywane za pośrednictwem Radia Sewilla, proszę więc nabyć radioodbiornik i słuchać tej stacji codziennie o dziesiątej wieczorem. Po słowach „wiadomość dla przyjaciół Felixa” zostanie nadany zaszyfrowany tekst dla pana.

– Wiem. Wyjaśniono mi to, zanim wyjechałem.

– Dobrze... Czy coś jeszcze mógłbym dla pana zrobić?

– Miał mi pan wręczyć pieniądze.

– Prawda. Proszę wybaczyć.

Weszli do gabinetu, gdzie nad zgaszonym kominkiem wisiał portret kanclerza Hitlera. Konsul otworzył sejf i wyjął grubą kopertę z banknotami Republiki.

– Tu wszystko można tym załatwić – zauważył. – Wielka rewolucja, wielkie zwycięstwo proletariatu i wielki nowy świat, ale jak tylko usłyszają brzęk monety, wszyscy krzyczą: „moja!”... Wprost nie do wiary, jak szybko komuniści i libertarianie pokochali ten podły metal.

– Jak wszędzie, podejrzewam.

– Nie, tego, co tu się dzieje, to pan nie podejrzewa. Tłumy marynarzy, żołnierzy i milicjantów idą w wyścigi, kto jest bardziej na lewo i zabije więcej faszystów, ale na tyłach myślą tylko o tym, żeby zapchać sobie kałdun... Dwadzieścia tysięcy peset musiałem zapłacić tym z Krajowej Konfederacji Pracy, żeby wypuścili mojego szwagra, którego chcieli zabrać na spacer, bo jest bratem starszym w bractwie organizującym procesje w Wielki Tydzień... Po drugiej stronie też tak to działa?

– Mniej więcej... Tam mogą wpakować ci kulkę w łeb za to, że jesteś nauczycielem, ale pomijając te szczegóły, taryfa pozostaje ta sama.

Sánchez-Kopenick spojrzał na niego z ciekawością, a Falcó uznał, że próbuje umieścić go w jakiejś znajomej przegródce, bez większego powodzenia. Co do samego konsula, Falcó zasięgnął informacji jeszcze przed rozpoczęciem misji. Zawsze warto wiedzieć, z kim ma się do czynienia. W odróżnieniu od konsula z Alicante, który był ponoć zaprzysięgłym nazistą, ten nie miał sprecyzowanych przekonań politycznych. Był światowcem, przedsiębiorcą działającym w Hiszpanii, pracującym przy okazji dla niemieckiego wywiadu.

– Znalazł pan dobrą kwaterę? – zainteresował się konsul, podczas gdy Falcó przeliczał pieniądze.

– Tak. Dyskretny pensjonat.

Konsul wskazał na okno. Za pustym masztem – wywieszać tu flagę Rzeszy byłoby prowokacją – roztaczał się piękny widok na nabrzeże, latarnie morskie i morze.

– Mam nadzieję, że nie w pobliżu portu czy Arsenалу... Coraz więcej jest faszystowskich nalotów, a bomby spadają, gdzie popadnie.

– Niemieckie? – zasugerował Falcó nie bez złośliwości.

– Włoskie savoia, chociaż mają nacjonalistyczne znaki... Od kiedy zaczęły się naloty, w całym mieście przygotowano schrony. Jest ich sporo niedaleko stąd, przy ulicy Gisbert. Jeśli alarm zaskoczy pana na ulicy, niech pan biegnie do najbliższego.

Falcó powstał. Kopertę z pieniędzmi schował do lewej kieszeni kurtki.

– Jeszcze jedno – odezwał się konsul. Wyglądał na zakłopotanego. Wymuszony uśmiech. Stosowny do okoliczności. Falcó zapiał zamek błyskawiczny i spojrzał na niego.

– Słucham.

Wahał się jeszcze przez moment.

– Jeśli coś się pokręci, niech pan nie szuka schronienia tutaj... Mógłby pan nas skompromitować.

– Proszę się o to nie martwić. Jestem przyzwyczajony do radzenia sobie na własną rękę.

Konsul pokiwał głową. W jego dyplomatycznym uśmiechu widoczna była ulga.

– Tak – przyznał. – To rzuca się w oczy.

Sala kina Sport miała kiepską wentylację. Dekoracja parteru i łóż nosiła ślady dawnej świetności, ale czuć było kurz zasłon i stęchliznę. Na podłodze pod drewnianymi siedziskami zalegały niewymiecione papierki, rozgniecione pety i łuski słonecznika. Gdy Falcó wszedł na widownię,

seans miał się właśnie zacząć. Ludzi było niewiele. *Matka*, sowiecki melodramat rewolucyjny, oparty na powieści Gorkiego pod tym samym tytułem – „Wzruszający hołd dla kobiet sprzeciwiających się faszyzmowi”, głosiła reklama – najwyraźniej nie przyciągał ludowych mas. Naliczył może tuzin widzów. Zasiadł na numerowanym miejscu w pustym rzędzie w chwili, gdy gasły światła i rozjaśniał się ekran.

Nikt przy nim nie usiadł. Akcja filmu toczyła się bez niespodzianek, Falcó nie zwracał na nią większej uwagi, skupiony raczej na otoczeniu. Film opowiadał smutną i bohaterską historię Pelagii, matki, w której budziła się świadomość rewolucyjna w obliczu niedoli syna podczas strajków robotniczych w tysiąc dziewięćset piątym. Zakończenie, co było do przewidzenia, dramatycznie kiczowate. Apoteoza proletariatu. Kiedy pojawił się napis „Koniec” i zapaliły się światła nad chwalebą przyszłością Związku Radzieckiego rysującą się na horyzoncie, Falcó wciąż siedział sam w pustym rzędzie. Nikogo z prawej ani z lewej. Nieliczni widzowie wychodzili. Wstał zaniepokojony i ruszył w stronę wyjścia.

– Popatrz no, przecież to Rafael! Co za miłe spotkanie!

Miał przed sobą dwie młode kobiety. Ubrane, w tych czasach żałobnej czerni, jak kobiety wyzwolone i wojownicze, a zarazem z poprawnością, którą w innej epoce uznano by za burżuazyjną. Czarnowłosa i jasnowłosa. Zaczepiły go w holu za kurtyną, obok afisza z zapowiedzią następnych tytułów: *Noc w operze* i *Szarża lekkiej brygady*.

– Co za miłe spotkanie! – powtórzyła pierwsza.

Podeszły przytulone, czarnulka uścisnęła energicznie jego dłoń. Była swobodna, żwawa. Ani ładna, ani brzydka.

– Nie poznajesz mnie? Jestem Cari... No wiesz: Caridad Montero.

– Jasne, że poznaję – oznajmił spokojnie Falcó. – Bardzo się cieszę, że cię widzę.

Mocny uścisk. Spięta, zauważył. Kontakt wymagający największej ostrożności.

– Nie widziałyśmy cię w kinie... Też oglądałeś ten film?

Zauważył pewne podobieństwo do brata. Panienska z dobrego domu ze szczyptą plebejskości. Falujące kasztanowe włosy były modnie przycięte. Miała na sobie dyskretny płócienny płaszcz w mysim kolorze i półbuty ze skarpetkami.

– Jaki szczęśliwy traf! Ależ się ucieszy Ginés, kiedy się dowie, że tu jesteś! – Odwróciła się ku koleżance. – Znasz Rafę Friasa? To nasz bardzo dobry znajomy.

– Bardzo mi miło – odezwała się tamta.

– To Eva Rengel – przedstawiła ją szatynka. – Moja najlepsza przyjaciółka.

Najlepsza przyjaciółka dorównywała niemal wzrostem Falcó, który mierzył metr siedemdziesiąt dziewięć. Była ciemną blondynką o kasztanowych oczach i zgrabnej figurce pod angielskim trenczem męskiego kroju, spiętym paskiem w talii. Opalona, bardzo krótkie włosy. Mało kobieca w obejściu. To wszystko nadawało jej pewien nieokreślony i sympatyczny wygląd zdrowego chłopca. Sportowca. Mogła mieć dwadzieścia pięć, może dwadzieścia osiem lat. Łatwo ją sobie było wyobrazić w grubym swetrze i z nartami, w stroju kąpielowym na szczycie trampoliny albo w ubiorze amazonki, pokonującą konno przeszkody.

– Nie pozwolimy ci tak po prostu odejść – zapowiedziała Cari Montero. – Chodźmy na kawę albo na co masz ochotę.

Ujęła go pod ramię naturalnym gestem i poszli całą trójką do małej kawiarenki na rogu placu Risueño, gdzie wypili wstrętą zbożówkę, podczas gdy Cari Montero zasypywała Falcó stosownymi pytaniami, by kelner w razie potrzeby mógł potwierdzić, że toczyli wyłącznie banalną

rozmowę typową dla młodych znających się od dawna. Błahą pogawędkę z fałszywymi aluzjami do rodziny i zmyślonymi wspólnymi wspomnieniami.

– Nie miałbyś ochoty na spacer, Rafa? Wieczór jest przyjemny, o ile tylko nie zepsuje go faszystowskie lotnictwo. Przylatują zwykle o tej godzinie.

– To dobry pomysł.

Eva Rengel spojrzała na niego z pogardą.

– Że samoloty przylatują o tej godzinie?

– Żebyśmy poszli na spacer. – Uśmiechnął się.

Blondynka miała leciutki akcent, którego nie potrafił rozpoznać. Zauważył, że w odróżnieniu od większości kobiet nie nosi kolczyków, nie ma nawet przekłutych uszu. Jej paznokcie były bardzo krótkie, obłamane albo obgryzione, a palce prawej dłoni – poplamione od nikotyny. To nie były ładne ręce.

– Spacer to wspaniały pomysł – powtórzył.

Zapłacili za kawy i ruszyli w stronę portu. Teraz szedł pośrodku, mając dziewczynę przy jednym i drugim boku. Nie spieszyli się. Czterech przechodzących milicjantów z pistoletem u pasa popatrzyło na niego z żartobliwą zazdrością. Jeden z nich zagwizdał z podziwem, a Falcó mrugnął do niego porozumiewawczo. Odeszli ze śmiechem.

– Brat rozmawiał ze mną dziś rano – oznajmiła Cari. – Wszystko jest gotowe, czekamy tylko na wyznaczenie daty. Powiedział też, że przejmujesz dowodzenie.

– Takie są rozkazy.

– Więc je wypełnimy. Ginés powiedział jeszcze, że nie jesteś towarzyszem. Że nie należysz do Falangi.

– To prawda.

– Sympatyzujesz?

– Też nie.

Eva Rengel spoglądała na niego z ciekawością.

– To dziwne, że powierzyli ci to zadanie – zauważyła.

– Sprawa waszego przywódcy jest ważna. Dla różnych ludzi. Uwolnienie go interesuje nie tylko was.

Przechodzili obok budynku pozbawionego szyb, z oknami zakrytymi gazetami i tekturą, z fasadą podziurawioną metalowymi odłamkami. Lej bomby znajdował się pośrodku ulicy, przysypany ziemią, kamieniami i deskami.

– Co robiłeś przed powstaniem? – zainteresowała się Cari Montero. – Działałeś w jakiejś partii albo związku?

– W PHK.

– A co to takiego?

– Partia Hydrauliczno-Kontemplacyjna.

– Żarty sobie stroisz.

– Naprawdę. Patrzyłem na wodę przepływającą pod mostem.

– Dowcipniś. Słyszałaś, Evo? Przysłali nam dowcipnisia.

O tej porze stragany targu przy ulicy Gisbert były już zamknięte. Schyleni nad ziemią ludzie grzebali w odpadkach, w resztkach ryb i warzyw. Dzieci, starsze kobiety, wynędniali mężczyźni.

– Zaczyna się głód – zauważyła Cari. – Fabryki zostały przejęte, pola porzucone, nikt niczego nie wytwarza. Rozstrzelano wielu właścicieli, nie ma kto płacić pensji. Czynszu też nikt nie płaci, bo to kapitalistyczny wyzysk... Co więksi spryciarze zapisują się do partii albo związku i z tego żyją, pozostali radzą sobie, jak mogą. Wszędzie panuje chaos i na pewno będzie coraz gorzej.

Minęli targ. Niebo na zachodzie zaczynało przybierać liliowy odcień.

– Wiesz już, kiedy zacznie się operacja? – zagadnęła Cari.

– W ciągu trzech albo czterech dni. Zawiadomią nas.

– A możesz nam już coś powiedzieć?

Falcó wykonał nieokreślony gest, niezobowiązujący do niczego.

– Jeszcze nie powinno się za wiele mówić.

– Wiesz, że można nam ufać. – Cari wyglądała na urażoną. – Nie wiem, gdzie byłeś osiemnastego lipca, ale my tu działamy od bardzo dawna z moim bratem i innymi towarzyszami... Wiele informacji, które otrzymałeś, zebrałyśmy właśnie my. Byłyśmy nawet w Alicante, obejrzeć więzienie i okolice.

Odwracając się do Evy Rengel, Falcó napotkał jej milczący wzrok, w którym może nawet kryła się szczypta pogardy, jak uznał. Ta myśl sprawiła, że poczuł się nieswojo.

– Nie o to chodzi – odparł. – To kwestia czysto praktyczna. Wszystko po kolei.

– Sugerujesz, że jeśli nas aresztują, a będziemy wiedziały zbyt wiele, zaczniemy sypać prędzej niż mężczyźni? – nalegała Cari.

– Są mężczyźni i mężczyźni. Tam samo jak są kobiety i kobiety.

– Jasne. Ale sugerujesz, że w katowni okażemy się słabsze. W rękach oprawców.

– Mylisz się. Niczego nie sugeruję.

Wciąż czuł na sobie cenzorski wzrok Evy Rengel. A niech idzie do diabła, pomyślał. Jedna i druga. Był świadkiem przesłuchań kobiet, i to nie było to samo co w przypadku mężczyzn. W życiu. Nie chodziło o hasła na wiecu, kawiarniane pogawędki, teorię o równości płci. Widział, jak torturowano je jak zwierzęta, bez względów i bez litości. Dobrze znał te

mechanizmy. Najczulsze miejsca. Metody. Horror, którego nie była w stanie wytrzymać żadna kobieta, chyba że dla syna albo ukochanego.

– Jest coś, co nas niepokoi – odezwała się nagle Cari. – Ginés wspominał ci chyba o tym. O Porteli.

Falcó potaknął.

– Wymienił tylko nazwisko i dodał, że jest z waszej grupy... O co chodzi?

– Dzieje się z nim coś dziwnego. I zbiegło się z aresztowaniem innych towarzyszy.

– Myślicie, że jest jakiś związek?

Cari zachmurzyła się. Wygląda zabawnie ze zmarszczoną brwią i zatroskaną miną, pomyślał Falcó. Młodziej. Przez moment wyobraził ją sobie w rękach siepaczy i poczuł denerwującą czułość, którą natychmiast odpędził niewidzialnym kuksańcem. To nie jego sprawa. Nie może się angażować. Takie sentymenty prowadziły do błędów, a błędy zabijały. Zabijały tego, kto je popełnił, i innych.

– Ja jestem pewna, Ginés zgadza się ze mną. Eva też tak sądzi.

Falcó popatrzył na blondynkę. Jej oczy były spokojne i zdecydowane. Wyrażały niemą aprobatę.

– I uważacie, że ten Portela nie powinien być poinformowany o naszych planach?

– Już jest – oznajmiła z ubolewaniem Cari. – Przynajmniej po części. I to właśnie nas martwi. Może grać na oba fronty. Przekazywać informacje czerwonym.

Falcó wahał się, wążąc za i przeciw. Czynniki ryzyka. Ów Portela stanowił dodatkowy, niespodziewany czynnik.

– Dlaczego nie zgłosiliście tego wcześniej?

– Od dłuższego czasu nie mamy kontaktu z drugą stroną. A nasze podejrzenia są świeże.

– Nasza pewność – poprawiła ją Eva Rengel.

Falcó odwrócił się do niej.

– Wyglądasz na bardzo pewną, że tak jest.

– Mam powody.

Zastanawiał się jeszcze przez moment.

– Co planujecie?

– Mój brat opowie ci dziś wieczorem – odrzekła Cari. – Bo zjemy razem kolację, jeśli możesz przyjść do domu.

– Czy to nie będzie podejrzane? – zapytał powątpiewająco.

– Oczywiście, że nie. Jesteś starym znajomym, spotkałyśmy cię w kinie, nic bardziej normalnego, że zapraszamy cię na kolację. Ty, Eva, my.

– Czemu ona? – Falcó wskazał na przyjaciółkę. – Czy to uzasadnione?

– To pomysł mojego brata, całkiem niegłupi... Poznałeś ją w kinie, interesujesz się nią, podoba ci się. Ty podobasz się jej.

– To brzmi wiarygodnie?

– Że podobasz się Evie? Zapytaj jej.

Spojrzenia Falcó i dziewczyny skrzyżowały się. Też się uśmiechała, zauważył. Ktoś mógłby pomyśleć, uznał zaskoczony, że szykujemy jakiś sztubacki dowcip. Nikt nie powiedziałby, że możemy trafić za niego pod ścianę, wszyscy troje.

– Nie masz nic przeciw temu? – zapytał Evę Rengel.

– Wręcz przeciwnie. – Wyglądała na rozbawioną sytuacją. – Myślę, że to dobry pomysł.

– Czyli ty i ja podobamy się sobie.

– Tak.

– Jak bardzo?

Wytrzymała jego wzrok o sekundę dłużej niż przewidywała norma.

– W granicach rozsądku – powiedziała.

Teraz Falcó wybuchnął śmiechem. Obserwował przez chwilę Cari, czekając na jej reakcję i nie przestając się śmiać.

– Taka wolna miłość, co? Jest wojna, rewolucja i te rzeczy. Korzystajmy z życia i kochajmy się, bo jutro umrzemy... I tak dalej.

Spostrzegł, że Eva Rengel napina się lekko.

– Przestań już. Zawsze żartujesz na ten temat?

– Na temat miłości?

– Na temat tego, że cię zabiją.

Falcó wykrzywił usta w okrutnym uśmiechu.

– Tylko wtedy, kiedy mogą mnie zabić.

A potem jego spojrzenie prześliznęło się po kształtach wymodelowanych przez płaszcz opięty paskiem. Naga szyja pod jasnymi, króciutkimi włosami, nad podniesionymi kłapami i kołnierzem, wyglądała na długą i silną. Mięsiste wargi wyraźnie zarysowane bez pomocy pomadki. A bliskość jej ciała ocierającego się o jego ciało, gdy szła, trzymając się jego ramienia – znów się odprężyła – była bardzo przyjemna, ciepła i zdecydowana, tak naturalna jak samo życie i ciało. Nie wyczuwał nieśmiałości w tej formie bycia blisko. Jeszcze te ręce o połamanych paznokciach i żółtawych plamach, którymi zdawała się nie przejmować ani odrobinę. Była dziewczyną pewną siebie, skonkludował. Musiała taka być, żeby robić to, co robiła. Co obie robiły. Tysiące mężczyzn zadrżałyby na samą myśl o podjęciu się czegoś podobnego.

Dochodzili już do wylotu ulicy Gisbert, do tunelu prowadzącego do portu, gdy rozległ się alarm przeciwlotniczy: nad ich głowami zawyła

syrena Szpitala Marynarki i natychmiast dołączyły do niej inne, rozproszone po całym mieście. Pod czerwonym światłem zmierzchu, na ulicy, która zaczynała się już ściemniać, pojawiły się grupki mieszkańców biegnących do schronów wykutych w skale.

– Też powinniśmy tam pójść – powiedział Falcó.

Przyśpieszając kroku, podążyli do najbliższego schronu. Znajdowało się tam jakieś trzydzieści osób: kobiety i mężczyźni w podeszłym wieku, matki z małymi dziećmi, kilku żołnierzy i marynarzy. Jako ostatni weszli dwaj milicjanci, niosąc niepełnosprawną staruszkę, która jęczała teraz cicho, leżąc na kocu rozłożonym na ziemi. Twarze były zmizerniałe, napięte, pełne oczekiwania. Gesty niepokoju. Cierpki, gęsty zapach potu, strachu, dymu z papierosów. Prawie wszyscy mężczyźni palili. Z oddali dobiegał pomruk, głuchy, przerywany; przybliżał się. Nagle bardzo blisko rozległ się huk, od którego zadrżały mury. Kilka kobiet krzyknęło, dzieci płakały.

– Sukinsyny faszyści – powiedział ktoś.

Falcó siedział z obiema dziewczynami u wylotu wąskiego korytarza prowadzącego do drzwi. Były spokojne, nawet gdy bomby spadały całkiem blisko. Wyjął papierosy i wszyscy troje zapalili.

– Co to masz za akcent? – zagadnął Evę Rengel.

– Prawie niewyczuwalny – stwierdziła Cari.

– Ja wyczułem.

Eva opowiedziała w kilku słowach. Jej ojciec był Anglikiem, inżynierem górnictwa, ożenił się z Hiszpanką. Kierował kopalnią w Linares, potem został przeniesiony do Kartageny i stanął na czele kopalni w La Unión. Żona zmarła podczas porodu, a dziecko wychowało się u rodziny ojca. Eva często jeździła do Hiszpanii; podobał jej się ten kraj i jego mieszkańcy. Ojciec zmarł na kilka tygodni przed wybuchem wojny, zostawiając jej niewielką rentę. Przyjechała do Kartageny, żeby objąć

spadek, wówczas wybuchło powstanie. Renta – ten przywilej bezproduktywnych burżujskich pasożytów – ulotniła się, kiedy znacjonalizowano bank. We władzach miasta nie było nikogo, kto by znał języki, a ona władała angielskim i francuskim. Postarała się zatem o posadę tłumacza.

– Dobre miejsce – uznał Falcó. – Znakomite.

– Owszem.

Huk bomb zdawał się oddalać, punktowany dalekim grzechotem artylerii przeciwlotniczej. Gdy na zewnątrz ucichło, Falcó spojrzął na wyjście.

– Idziemy?

– Tak.

Wyszli prosto w noc. Ulica prowadząca do tunelu była pogrążona w ciemnościach. Pod ich nogami chrzęściło szkło z rozbitych szyb. Falcó zagadnął Evę:

– Jak się w to wciągnęłaś?

Przeszli kilka kroków, dziewczyna się nie odezwała. Trzy czarne sylwetki zakłócające przestrzeń placu przed portem. Mrok skrywał wszystko, nie widzieli żadnego światła oprócz księżyca błyszczącego między chmurami. Za ich plecami, nad murem, syrena ogłosiła koniec alarmu.

– Miałam przyjaciółki sprzed wojny – przemówiła wreszcie. – Należały albo sympatyzowały. Kiedy zobaczyłam dokoła tyle barbarzyństwa, uznałam, że muszę coś zrobić... Cari poznałam w Telefonice, ona przedstawiła mnie bratu i innym. Tak wstąpiłam do sekcji żeńskiej Falangi.

– I nie boisz się? Nigdy?

– Nie boi się – wtrąciła Cari. – To najodważniejsza dziewczyna, jaką znam. Ginés też to mówi.

– Jasne, że się boję – zaproponowała Eva. – Boję się przez cały czas.

– To dlaczego to robisz?

Nie odpowiedziała. Szli obok ogrodzenia portu handlowego. Falcó orzekł, że są zbyt blisko i może ich zatrzymać jakiś patrol.

– Nie chcę, żeby mnie oskarżyli o dawanie znaków samolotom ogniem papierosa.

– Są do tego zdolni – zaśmiała się Cari.

– Dlatego o tym mówię.

Odeszli w kierunku muru i ratusza. Szpaler wielkich magnolii skrywał ich pod gęstymi, ciemnymi koronami.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego jesteś falangistką – przypomniał Falcó Evie.

Milczała przez chwilę.

– Widziałaś na własne oczy José Antonia? – nalegał.

– Raz, na wiecu w Madrycie.

– I?

– Podobało mi się, jak przemawiał. Rozsądny... Wykształcony.

– I przystojny.

– To też.

– I ty jesteś niczego sobie. – Cari zaśmiała się. – W niebieskiej koszuli byłbyś powalający.

– Wolę białe.

– Cóż... Szkoda.

Dotarli do placu przed ratuszem. Po lewej rysowały się sylwetki okrętów wojennych przycumowanych rufą do kei. Nie zauważyli śladów zniszczeń. Po drugiej stronie, w górnej części miasta, blask pożaru przecinał mury starej katedry.

– Kocham Hiszpanię – odezwała się wreszcie Eva. – Byłoby mi bardzo wstyd patrzeć na to, co się dzieje, z założonymi rękami.

– To motyw bardzo... – zaczął Falcó.

– Męski? – przerwała mu gwałtownie. Niemal agresywnie.

– Potężny – dokończył.

– Eva czuje to samo co ja – wtrąciła polubownie Cari. – Z tą różnicą, że mnie, tak jak mojego brata, rozpala gniew na to, co się dzieje. Krew się we mnie burzy, kiedy widzę, jak socjaliści, komuniści, anarchiści i separatyści rozszarpują Hiszpanię, a ona podchodzi do tego inaczej... Jest spokojniejsza niż ja. Chłodniejsza w miłości i nienawiści.

– To niebezpieczna przygoda. Może się zdarzyć, że nie zobaczycie jej kresu.

– Nie mów tak – zaprotestowała Cari, dając mu lekkiego kuksańca. – Śmiech powróci wiosną.

To był wers z *Twarzą ku słońcu*, hymnu Falangi. Wywołał uśmiech Falcó.

– Ja dowiem się, jaki jest mój kres, kiedy nadejdzie – oświadczyła Eva.

Cari znów ujęła ramię Falcó. Wyglądała na zadowoloną.

– I co, Rafa, czy jak tam naprawdę masz na imię... Podobają ci się moja przyjaciółka?

– Bardzo – przyznał z rozbawieniem. – Bardzo mi się podoba.

– To nie rób sobie złudzeń.

Nocny patrol przeszedł obok, nie zatrzymując ich. Snop światła z latarki omiótł ich twarze i zaraz zgasł. Cienie oddaliły się, stąpając ciężko i szcękając bronią.

– Marynarze z któregoś statku. – Cari spoważniała. – Idą szybko w stronę więzienia Arsenálu... Jacyś nieszczęśnicy zapłacą za dzisiejsze

bombardowanie.

7. PRZYJACIELE FELIXA

Po kolacji siedział obok Evy Rengel w domu rodzeństwa Monterów. Matka, tęgawa, miła kobieta podobna do córki, zebrała talerze i zamknęła drzwi, zostawiając ich samych. Cicho syczał piecyk gazowy. Pokój jadalny był typowy dla ludzi dobrze sytuowanych, choć bez zbytków: meble z ciemnego mahoni, na ścianach zdjęcia rodzinne. Na obrusie pomiędzy pustymi filiżankami po kawie, popielniczkami i opróżnioną do połowy paczką murattisów leżała rozwinięta mapa i plan, zeszyt szkolny i ołówek. Stała też butelka fundadora, syfon i lampki. Jako że obowiązywało zaciemnienie, kryształowy żyrandol pod sufitem był zgaszony, a drewniane okiennice balkoniku zamknięte. Dym z papierosów zasnuwał stożek światła z lampy biurowej postawionej na stole.

– To cela José Antonia. – Falcó, w koszuli z podwiniętymi rękawami, pokazywał wszystko, o czym mówił, na odręcznie narysowanym planie. – Żeby dostać się do niej, trzeba przejść przez ten dziedziniec i przez ten. Tu po prawej, widzicie...? Korytarzem.

– To jest krata? – Wskazał Ginés Montero. Plan odbijał się w szklach jego okularów.

– Tak. Tu jest druga. – Falcó dotknął palcem planu. – Podobno mamy mieć klucze.

– Możesz na to liczyć. Nasz towarzysz, który tam pracuje, dał nam słowo... Jak przejdziemy przez bramę główną?

– Przyjedziemy pierwszym samochodem w sześciu, powiemy, że przywozimy zatrzymanego. Mamy nakaz ze wszystkimi możliwymi pieczętkami, na wszelki wypadek: CNT, UGT, FAI... Kiedy otworzą, zaatakujemy pistoletami maszynowymi i granatami, reszta wejdzie za nami.

Montero spojrzał na siostrę i Evę, po czym pokiwał głową z aprobatą.

– Podoba mi się. Z tym że my mamy tylko skrzynkę granatów Lafitte, trzy pistolety Star dziewięć largo i ze sto nabojów.

– Przydadzą się, chociaż komandosi przywiozą więcej broni – uspokoił go Falcó. – Pistolety, amunicję i granaty dla wszystkich.

– Super.

Falcó złożył plan więzienia i schował do kieszeni kurtki przewieszanej przez oparcie krzesła.

– Jakies zastrzeżenia?

– Ty jesteś odpowiedzialny, począwszy od tego momentu – powiedział Montero. – Takie dostałem rozkazy.

– To nie ma większego znaczenia. Ja tylko koordynuję. Całą wstępną robotę odstawiliście wy.

– Weźmiesz udział w ataku? To znaczy, wejdiesz do więzienia?

– Jeszcze nie wiem.

– A jego brat Miguel? Zakładam, że jego też wyciągniemy.

Falcó pomyślał o Miguelu Primo de Rivera. Znał go z widzenia, podobnie jak pozostałych chłopaków; mieli jeszcze siostrę Pilar. Fernanda, najmłodszego, widywał niegdyś w Jerezie jako szczeniaka w krótkich spodenkach, kiedy jego bracia podpalali już pierwsze papierosy, próbowali tańczyć tango i flirtowali z panienkami. Fernanda zastrzelono w Madrycie. Miguel siedział razem z José Antoniem i niebawem miał zostać osądzony. Biorąc pod uwagę, jak wyglądały sprawy, wyrok śmierci był więcej niż prawdopodobny.

– Moje rozkazy go nie uwzględniają – powiedział.

– Ale to towarzysz – zaprotestował Montero.

– Trudno. Priorytetem jest uwolnienie José Antonia... Jeśli nadarzy się okazja, można będzie pomóc innym więźniom. Ale wyłącznie wówczas, gdy on będzie już bezpieczny poza terenem więzienia.

– Niektórzy z nich to falangiści – nalegał Montero. – Zostaną zamordowani, jeśli ich tam zostawimy.

– To nie moja sprawa. Moje instrukcje dotyczą jednego więźnia. Co do pozostałych, nie mamy wystarczających środków, żeby ewakuować ich wszystkich. Miejsce odpłynięcia znajduje się pół godziny jazdy samochodem stamtąd. Nie mamy transportu, a łódź jest zbyt mała, żeby wszystkich pomieścić.

– Możemy ich wypuścić i niech sobie radzą sami – zasugerowała Cari.

– Nie. Nawet gdybyśmy mieli czas i sposobność, żeby to zrobić, przyczepią się do nas jak rzep do psiego ogona. Będą ciężarem i utrudnią ucieczkę.

– Ty nie jesteś jednym z naszych – stwierdził Montero. – Są rzeczy, które...

Falcó popatrzył na niego twardo.

– Żadna z nich się nie liczy. Wy słyniecie z dyscypliny, prawda? To macie dobrą okazję, żeby to pokazać. Tak postanowiono i tak ma się stać.

Nalał sobie palec brandy do lampki i dolał odrobinę wody z syfonu. Rodzeństwo i Eva spojrzeli po sobie.

– Jest jeszcze jedno – powiedział Montero. – One chcą pójść z nami.

Falcó zmrużył oczy z zadowolenia, smakując brandy. Potem pokręcił głową i bardzo powoli odstawił lampkę na obrus.

– Mowy nie ma.

– Były tam już. Narazały się.

– To wystarczy.

– Mogą nam się przydać jako wsparcie. Nie muszą wchodzić do więzienia. I potrafią posługiwać się bronią.

– Potrafimy posługiwać się pistoletem i granatami – potwierdziła Cari. – Ginés nas nauczył. A Eva świetnie prowadzi.

Eva opierała łokcie na stole, podbródek na dłoniach. Między palcami trzymała dymiącego papierosa.

– Tak – oznajmiła. – Znam się na samochodach.

Falcó zastanowił się. Przywołał na myśl swoje osobiste doświadczenia. Wspomnienia. Zdarzało mu się zabijać mężczyzn z winy lub z powodu kobiet. Ułatwiały to. Nieważne, jak były odważne, zdeterminowane czy samodzielne. Zawsze, wbrew wszelkiej logice, odzywały się wówczas pradawne instynkty. Obojętne, czy mężczyznami powodowały próżność, chęć dominacji czy opieki, czy nawet bardziej szlachetne uczucia takie jak przywiązanie, współczucie, miłość. Znajdując się w sytuacjach ekstremalnych u boku kobiet, większość mężczyzn nie była w stanie powstrzymać się od tego, by je chronić. To odsłaniało ich samych. Czyniło podatnymi na ciosy. Ich w pierwszej kolejności, a w konsekwencji kobiety. Czyli wszystkich.

– Ilu ludzi będziemy mieć, nie licząc tych, którzy przyplyną?

Eva i Cari nie spuszczały z niego wyczekującego wzroku. Uciekł spojrzeniem, wypijając łyczek brandy.

– One dwie i jeden towarzysz mogą czuwać na plaży i dawać znaki łodzi – powiedział Montero.

– Jaki towarzysz?

– Z Alhamy, młodziutki, ale pewny na sto procent. Student, zwany Ricote. Ty i ja poprowadzimy komandosów... Co ty na to?

Falcó nadal unikał wzroku kobiet. Fakt, nie zbywało mu na ludziach, stwierdził.

– Zgoda – przystał po chwili. – Ale zostaną na plaży.

W pokoju dało się słyszeć westchnienie ulgi. Podnosząc wzrok, Falcó napotkał spojrzenie Evy. Patrzyła na niego dziwnie między kólkami dymu ze swojego papierosa.

– Ilu ma przypłynąć? – zagadnął Montero.

– Powiedziano mi, że około piętnastu... Wszyscy zahartowani w ogniu, sprawdzeni. Wybrani z falangistowskich centurii, które walczą na froncie.

– Godzina?

– Północ. Do Alicante jest dziewięć kilometrów. Będziemy mieć półtorej godziny na wszystko: desant, dotarcie do więzienia i powrót na plażę.

– Znasz to miejsce?

– Nie. Oglądałem je tylko na mapach takich jak ta.

Spojrzeni na mapę rozłożoną na stole, starą, wojskową, topograficzną. Na wąski pasek między gęstymi poziomiami a morzem.

– To tu, na północ od przylądka Santa Pola. Widzisz? To El Arenal. Rozległy las sosnowy w kotlinie i plaża z wydiami. Sosny dochodzą prawie do morza.

– Trzeba przejechać przez jakąś wioskę po drodze?

– Nie. Od szosy prowadzi droga gruntowa, prosto do lasu... To bardzo ustronne miejsce.

Falcó sięgnął po murattisa, postukał nim delikatnie w tarczę zegarka i zapalił od strony znaku towarowego. Zawsze tak robił, żeby spalić najpierw część ze znakiem. Palacza łatwo można zidentyfikować po niedopałkach. To wprawdzie nie była jego ulubiona marka, ale działał

automatycznie. Taki miał nawyk. Sam mógłby opisać siebie między innymi jako układ dobrze skoordynowanych nawyków. Pomagały zachować zdrowie i głowę na karku. W cel nieruchomy łatwiej jest trafić niż w ruchomy.

– Powiedziano mi, że będziecie mieć więcej ludzi.

– To prawda – powiedziała Cari. – Dysponujemy jeszcze zaufaną drużyną chłopaków gotowych na wszystko. Trzech towarzyszy z Murcji, mają ciężarówkę. Kuzyni Balsalobrowie i szturmowiec o nazwisku Torres.

– Nie chcieliśmy ich wcześniej wciągać, ale teraz jest to konieczne – dorzucił jej brat.

– Wiedzą, jaki jest cel zadania?

– Nie. Ale są zdyscyplinowani i stawiają się tam, gdzie im rozkażemy.

– Szturmowiec też jest zaufany?

– Całkowicie. Stara koszula.

Z dymiącym papierosem w ustach Falcó zapamiętywał wszystkie informacje. Poza planem więzienia niezbędnego komandosom nie miał przy sobie żadnego dokumentu związanego z operacją. Już od dawna nie zapisywał niczego, co nie byłoby absolutnie konieczne; co najwyżej robił luźne notatki, które niszczył natychmiast po zapamiętaniu ich treści. Nadmiar papieru w kieszeniach też mógł z łatwością zabić człowieka. W dniu, kiedy zawiedzie go pamięć, będzie musiał zmienić zawód. Albo da się zlikwidować jak idiota.

– Z piętnastką komandosów to daje dwadzieścia cztery, wliczając dziewczyny – stwierdził. – To nie za wiele.

– Nie mamy nikogo więcej. Dlatego potrzebujemy Evy i Cari... A i tak będzie nas dwadzieścia troje, nie dwadzieścia czworo.

– Czemu tak?

Odpowiedź nie padła od razu, ponieważ do pokoju wpadła matka Monterów, blada i rozdygotana. Jakieś auto stanęło na ulicy, powiedziała. Boże ty mój. Wsiadają z niego uzbrojeni ludzie.

– Idą tu?

– Nie wiem.

Falcó wyjął z kurtki pistolet i włożył go do tylnej kieszeni spodni. Zgasili lampę i papierosy. Matka modliła się na głos, Jezu Chryste, Matko Najświętsza, bezładnie i nedorzecznie, aż syn nakazał jej ciszę. Falcó podszedł do okiennic i uchylił je nieco. Nic nie zobaczył, więc wśliznął się na balkon, przykleił do ściany i spojrzał na ulicę. W ciemności dostrzegł samochód stojący przed domem. Był ciemnego koloru, na masce widniały białe litery Unii Braci Proletariatu. Obok niego cienie z karabinami.

– Bracia Proletariatu idą do domu naprzeciwko – usłyszał szept Montera za sobą. – Rewizja.

– Kto tam mieszka?

– Różni ludzie. Emerytowany wojskowy z córką zakonnica, którą wygnano z klasztoru, kiedy go podpalano, i z synem, który przeszedł na drugą stronę. Ojciec głosował na prawicę. Może to po niego przyjechali. O tej porze zaczynają się nocne wizyty.

Gdy mówił, w jego dłoni lśniła niklowana lufa rewolweru.

– Schowaj to – nakazał Falcó. – Jeśli cię zaświadzi ręka, jesteśmy ugotowani.

– Ty też sięgnąłeś po pistolet.

– Ale mam go w kieszeni.

Czuł zapach jego strachu, choć z zadowoleniem stwierdził albo wyczuł, że była to woń strachu spokojnego, niewzruszonego. Strachu osoby, która przywykła do niej i której nie paraliżował. Stali tak obaj, nieruchomi, przez kwadrans, może dłużej, podczas gdy kobiety czekały w napięciu

w jadalnym. Matka mamrotała modlitwy. Po chwili z bramy wyszła grupa cieni i podążyła w stronę samochodu. W jednym z balkoników zabłysło światło i wychyliły się dwie kobiety. Słysząc było krzyki i płacze. Szorstki głos z dołu rozkazał, żeby wróciły do domu i zgasiły światło albo pośle im kulkę. Balkonik pogrążył się w mroku.

– O co chodzi z numerem dwadzieścia cztery? – zagaił Falcó.

Wrócili do jadalnego. Matka wyszła, popłakując i nie zaprzestając modlitwy. Matko Boża. Co za szaleństwo. Niech Bóg ma ich w opiece. Lampa podświetlała od dołu poważne twarze Ewy i Cari.

– To Juan Portela – powiedział Ginés. – Jeden z naszej grupy. Nie ufamy mu.

Falcó wskazał gestem na dziewczyny.

– Wspomniały mi o tym... Do kiedy mu ufaliście?

– Do niedawna – odparła Cari.

– Wie coś o mnie?

– Nic.

– O Alicante?

– Też nie. Wie, że jest jakiś plan, nic więcej.

– To w czym problem?

– W ciągu ostatnich tygodni wpadło trzech towarzyszy, a on znał ich wszystkich.

Falcó skrzywił się. Paranoje były czymś zwyczajnym w tym świecie, co bynajmniej nie oznaczało, że wróg rzeczywiście depte ci po piętach. Należało znaleźć granicę między grą wyobraźni a prawdziwym zagrożeniem.

– Zakładam, że was też znał – mruknął.

Uwaga nie została dobrze przyjęta. Nastąpiła po niej chwila nieprzyjemnej ciszy.

– To wcale nie jest śmieszne – stwierdziła Cari.

Jej brat wstał. Podeszedł do kredensu i włożył rękę między mebel a ścianę.

– Eva zauważyła go dwa razy w ratuszu. W biurach, w których nie miał nic do roboty... Zaczęła dociekać i znalazła to.

Wyjął z kryjówki dwie kartki papieru, zszyte, zapisane pismem maszynowym, i podał je Falcó. Na obu widniał nagłówek Jednostki Specjalnej Bezpieczeństwa i Dozoru. „Jak poinformował mnie Juan Portela Conesa, lat trzydzieści dwa, kawaler, zamieszkały przy ulicy Salitre numer 7...” Dokument podpisany przez niejakiego Roblesa oraz podbity pieczętą policji zawierał streszczenie rozmowy, w której podano dane wielu działaczy prawicy. Z tekstu wynikało wyraźnie, że Portela ich wydał.

Falcó przestudiował raport. Pieczętąki wyglądały na autentyczne.

– Od kiedy to macie?

– Od trzech dni.

– Jak trafił w wasze ręce?

– Eva pracuje jako tłumaczka w ratuszu. Z racji tego ma dostęp do wielu rzeczy.

Falcó spojrział na dziewczynę z nieskrywanym szacunkiem.

– Igrasz ze śmiercią.

Uśmiechnęła się tylko z roztargnieniem. Wzięła kolejnego papierosa. Falcó sięgnął po pudełko zapalek i podał jej ogień. Pochyliła się nad płomykiem i jej dłonie musnęły jego dłonie.

– Zamurowało mnie, kiedy zobaczyłam ten papier – powiedziała z prostotą, wypuszczając dym.

– Nie zauważą jego braku?

– Mam nadzieję, że nie, bo słono bym za to zapłaciła... Zabrałam go, żeby ci pokazać, oddam, kiedy tylko będę mogła.

Powiedziała to spokojnie, nie przykładając do tego większej wagi. Kobieta z klasą, pomyślał. Wydawała mu się ładniejsza, teraz, bez płaszcza. Gdy zdejmowała go po wejściu do domu, zwrócił uwagę na zgrabne nogi i niebieską spódnice opinającą szerokie biodra krzepkiej samicy, ramiona pływaczki, pogodne kasztanowe oczy, nieprzekłute płatki uszu, długą, mocną szyję odsłoniętą przez dekolt bluzki pod króciutkimi jasnymi włosami. A jednak, ocenił w duchu skonsternowany, było w niej coś dwuznacznego, niejasnego. Może te pospolite dłonie o zaniedbanych paznokciach. I pewien twardy wyraz, niemal męski, podkreślony brakiem makijażu. Przez moment zastanowił się, czy aby Eva Rengel jest nie tylko odważną falangistką, ale i lesbijką.

– Jeden z ludzi wspomnianych w tym dokumencie należał do naszej grupy – wyjaśnił Montero. – Zatrzymali go i nie dotarł do więzienia... Przesłuchiwali go w czece u adoratek, potem zastrzelili na cmentarzu.

Falcó odchylił się na oparcie krzesła. Myślał.

– Co wymyśliliście?

Rodzeństwo i Eva popatrzyli po sobie.

– Juan Portela działa na dwie strony – podsumował Montero. – Może powinniśmy go unieszkodliwić, zanim posunie się dalej.

Falcó spojrział na niego kpiąco. Rozbawiło go to słowo.

– Unieszkodliwić?

– Nazywaj to, jak chcesz.

– To poważna sprawa. – Badał ich wzrokiem po kolei, upewniając się. – Chodzi o waszego towarzysza.

– To nie jest towarzysz. To zdrajca i donosiciel.

Falcó spojrział na Cari.

– Zgadzasz się? Na... unieszkodliwienie tego człowieka?

Nie odezwała się. Odwrócił się do Evy.

– A ty?

Też nie otrzymał odpowiedzi.

– Długo nie mogliśmy uwierzyć – stwierdził Montero, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Jak długo ten człowiek jest falangistą?

– Tyle co ja. I nigdy nie zawiódł.

– Ma w rodzinie kogoś zagrożonego albo aresztowanego?

– Z tego, co wiem, to nie. Jego ojciec jest apolityczny. Ale jednego z braci, kapitana artylerii, nacjonałiści zabili w Melilli, bo nie przyłączył się do powstania.

– Kiedy się o tym dowiedział?

– Miesiąc temu.

– Czy to pokrywa się w czasie z pierwszymi aresztowaniami waszych towarzyszy?

– Mniej więcej.

Falcó zgasił papierosa.

– Motyw dobry jak każdy inny – uznał.

Spoglądali przez chwilę na siebie w milczeniu.

– To ty zdecydujesz, co robimy – odezwał się wreszcie Montero. – Ty tu teraz dowodzisz...

– Nie widziałem go nawet na oczy – zaproponował Falcó.

– Mogę ci go jutro pokazać, jeśli chcesz.

– Gdzie?

– W barze El Americano przy ulicy Mayor. Chodzi tam na aperitif, potem gra w bilard przy del Aire. Pracuje niedaleko, w zakładzie krawieckim ojca. Porozmawiam z nim, ty mu się przyjrzyj, zapamiętasz... Umówię się z nim na później i załatwimy go. Ty i ja.

– I my też – powiedziała Eva z niespodziewaną stanowczością.

Falcó obliczał ryzyko i korzyści. Na tym etapie spisku Juan Portela mógł już powiedzieć czerwonym wszystko, co wiedział. Ale zabijanie go nie było właściwe. Jego śmierć mogła zaalarmować władze i przyspieszyć reakcję, co pomieszałoby im szyki. Dlatego „unieszkodliwienie” było odpowiednim słowem. Należało ustalić, co Portela wie, czego nie wie i co wygadał. Jeśli w grę wchodziła najgorsza opcja, brak działań przeciwko grupie mógł wynikać z tego, że czerwoni czekali, aż w sieci znajdzie się grubsza ryba. Nie wszystkie ich ruchy były owocem braku koordynacji i przepychanek milicji i najróżniejszych frakcji. Byli wśród nich także ludzie, którzy myśleli.

– Dałoby się złapać go żywcem i przesłuchać?

– Tak.

– Jest taka zasada wojskowa, bardzo pożyteczna – stwierdził Falcó po chwili namysłu. – Przygotować się na najbardziej prawdopodobny scenariusz, ale przedsięwziąć środki ostrożności, jakby miał się sprawdzić ten najbardziej niebezpieczny.

– To mi się podoba! – zawołała Cari.

– Mnie też – zawtórował jej brat.

– Więc połączmy prawdopodobne i niebezpieczne... A co ty o tym sądzisz, Evo?

Dziewczyna popatrzyła na niego bez wyrazu. Zgasła papierosa, zgniatając go w popielniczce bardzo dokładnie, aż nie pozostał żaden ślad żaru czy dymu.

– Zróbmy tak – powiedziała.

Falcó poczuł, że zaczyna go boleć głowa. Sięgnął z rezygnacją do kurtki po fiolkę z kopiryną.

– Dobrze. – Podniósł ręce w geście poddania. – Zrobimy to jutro.

„Madryt stawia opór zażartej faszystowskiej ofensywie”, brzmiał największy nagłówek w „El Noticiero”. A poniżej, w dwóch kolumnach: „W Kartagenie trwają bandyckie bombardowania ludności cywilnej”. Oparty o ścianę obok kontuaru w barze El Americano Lorenzo Falcó złożył gazetę i odłożył ją na ladę obok szklanki z piwem. Kupił sobie kaszkiet, w klapę kurtki wpiął znaczek Komunistycznej Partii Hiszpanii: nabyty w sąsiednim sklepie sierp i młot ze złotego i czerwonego metalu – symbol miał spowodować, przynajmniej taka była intencja Falcó, że wtopi się w pejzaż. Była pora aperitif, ładna pogoda, w barach i kafejkach przy ulicy Mayor roiło się od ludzi. Wielu z nich to byli młodzi mężczyźni w wieku poborowym, którym udało się uniknąć mobilizacji i zostać na tyłach dzięki zbawczej etykiecie „niezbędny personel”. Widział pracowników urzędów miejskich, ekspedientów i właścicieli pobliskich sklepów, nie brakowało mundurów. Przez El Americano, przed wojną elegancki lokal dla paniczów z klasy średniej i wysokiej, przewijały się wojskowe bluzy khaki, kombinezony niebieskie albo szare, skórzane płaszcze i kurtki z opaskami różnych grup i partii, wysokie czapki z daszkiem, berety z insygniami i furażerki. To wszystko okraszone koalicijkami i pistoletami, choć od najbliższego Afrykanina czy legionisty dzieliło ich trzysta kilometrów. Między butelkami wystawionymi na półkach wisiał portret Lenina, a obok Stalina. Uśmiechając się w duchu, Falcó pomyślał, że gdyby wysłać na front tych wszystkich malowanych żołnierzyków, samą swoją liczbą powstrzymaliby nacjonalistów. Przypomniał sobie piosenkę, którą śpiewano po tamtej stronie, lecz która pasowała także tutaj:

Gdy przyjedziesz na przepustkę

Pierwsze, co powita cię

To tabuny dekowników

Co w kawiarni grzeją się

Obok Falcó osobnik o szerniałych rękach i twarzy, odziany w kraciastą koszulę, espadryle i czerwono-czarną furażerkę anarchistów z przyszytą kulą z mauzera, z MP 28 opartym o bar, sączył wermut i sięgał od czasu do czasu po oliwkę. Dłonie miał pokryte odciskami i sękate, ręce robotnika. Niedopalony papieros prażył drewnianą ladę.

– Ile płacę? – zapytał milicjant kelnera.

– Na koszt firmy, towarzyszu – odpowiedział ów. – Ja też należę do FAI.

Falcó przyjrzał się twarzy kelnera: brew przecięta blizną po nożu, szpetny, kaprawe oczy, uśmiech fałszywy i służalczy. Za sam wygląd powinien dostać dwadzieścia lat i jeden dzień więzienia, uznał.

– Klawo – milicjant z wykałaczką w zębach podniósł broń i ruszył w stronę drzwi. – No to *salud*.

– *Salud*.

Było też kilka kobiet, zauważył Falcó. Siedziały przy stolikach albo przy barze, rozmawiając z mężczyznami. Większość z nich ubrana po cywilnemu, dwie w mundurach milicjantek, w tym jedna całkiem ładna: o mocno wydepilowanych brwiach, w furażerce założonej kokieteryjnie na bakier i z wielgachnym automatem Bergmann przy pasie. Gawędziła z grupą stojącą przy drzwiach.

– Nie powinien zostać przy życiu ani jeden – usłyszał, jak powtórzyła kilkakrotnie.

- Ale mają włoskie czołgi i szwabskie działa – zauważył ktoś.
- Wystarczy mieć jaja – odparła milicjantka. – Dopaść i rozbić.
- Jaja? – zainteresował się inny.

Nastroszyła się i odpaliła z feministyczno-proletariacką złością:

– Takie faszystowskie odzywki to możesz mieć do swojej pieprzonej mamusi.

– Przepraszam, towarzyszeko.

– W dupę mnie pocałuj, a nie towarzyszkuj.

Może na tym właśnie, powiedział sobie Falcó, polegała różnica między dwiema Hiszpaniami. Między jednym a drugim bestialstwem. Nie chodziło nawet o odwagę, bo tej – co nie ulegało wątpliwości – nie brakowało żadnej stronie. Tam miała miejsce planowa przemoc pod jedną komendą, systematyczna eksterminacja wszystkiego, co pachniało demokracją, wolnością i ateizmem, pod hasłem narodu zjednoczonego, religijnego i silnego ponad wszystko. Dlatego w Salamance zaczynało się mówić o krucjacie: wojnie totalnej, prowadzonej przez zawodowych wojskowych, którzy bez pardonu sięgali po krwawy terror jako ostateczną broń. Po stronie Republiki zaś odbywał się popis improwizacji, oportunistów i demagogii; szumowiny wypuszczone na ulicę po otwarciu więzień osiemnastego lipca, przeobrażone w milicjantów, wydające na alkohol i kobiety to, co zdobyły, rabując i mordując bezkarnie; uzbrojony lud, suweren chaosu, wyrównujący rachunki; zabójcza nienawiść nie tylko wobec frankistowskiego wojska, lecz także wobec członków własnej drużyny; partie i frakcje skaczące sobie do gardeł, niezdecydowane, czy wygrywać wojnę, czy robić rewolucję, niezdolne do skoordynowania wspólnego wysiłku, wymykające się spod kontroli rządzących i polityków oderwanych od rzeczywistości, podzielonych, nieudolnych i bezsilnych. Dlatego wygrają tamci, stwierdził obiektywnie Falcó. Faszyści, jak mówiła

milicjantka. Byli wyzbyci demokratycznych skrupułów, bardziej kryminalnie zdyscyplinowani, silniejsi. Wygrają, bez wątpienia, nawet gdyby to miało potrwać. A on miał nadzieję, że dożyje, by się o tym przekonać. Kiedy wszystko się skończy, zabraknie grobów.

Zobaczył w progu Ginesa Montero w płaszczu i z szalikiem. Falangista omiół wzrokiem otoczenie, prześlizgując się po Falcó, jakby go nie znał. Ruszył w kierunku drugiego końca baru, oparł się łokciami o kontuar i zamówił kawę. Falcó został na swoim miejscu, dopił piwo i poprosił o następne. Szpetny kelner podawał mu je, gdy do lokalu wszedł młody mężczyzna w marynarce, swetrze i krawacie, rozejrzał się, a ujrawszy Montero, ruszył w jego stronę i przystanął obok. Zamienili parę słów i wyszli na ulicę. Falcó położył na ladzie kilka monet i ruszył za nimi.

Podążali ulicą Mayor w stronę portu. Gawędzili w niewymuszony sposób. Juan Portela był wyższy od Montero i bardziej dystyngowany. Miał rzadziejące włosy, duże uszy, poruszał się powoli. Nie był brzydki. Jego ubranie miało elegancki krój kontrastujący z tym, co widziało się na ulicy. Kroczył z rękami w kieszeniach i z opuszczoną głową, słuchając, co mówi Montero. Naprzeciwko kasyna zatrzymali się i rozmawiali jeszcze przez moment, a Falcó, dla niepoznaki, przyglądał się z zainteresowaniem witrynie sklepu z rękawiczkami. Montero mówił, tamten przytakiwał. Potem się rozstali, Portela poszedł dalej, a Montero zawrócił i zatrzymał się obok Falcó przed tą samą witryną.

– Umówiłem się z nim na wieczór – wymamrotał.

Falcó ruszył z miejsca, nie odpowiadając. Portela odchodził w dół ulicy, Falcó poszedł za nim, choć tego nie było w planie. Uzgodnili, że Montero pomoże mu zidentyfikować donosiciela, i to wszystko, miał tylko zapamiętać jego twarz na później. Ale poczuł chrapkę na coś więcej i dał

się ponieść impulsowi. Nie po raz pierwszy. Człowieka można zabić na wiele sposobów, ale zawsze warto było zebrać wcześniej jak najwięcej informacji na jego temat. Jak się porusza, jak chodzi, jak się zatrzymuje. Fundamentalne. Jak patrzy, jak się zabezpiecza, na ile jest ufny, na ile podejrzliwy. Jakie ma zwyczaje i tiki. Falcó doskonale wiedział, że nic na świecie, nawet najpełniejsze i najbardziej szczegółowe akta na temat potencjalnej ofiary nie zastąpią oczu i instynktu wykonawcy wyroku. Dlatego zawsze, o ile to było możliwe, należało pokrażyć wokół zwierzyny, postudiować ją. Obwąchać jej ślad, z wyprzedzeniem, ze spokojem, szykując się do ataku. Koty, tygrysy i inne kotowate celują w tym. To zawodowcy. Umiejętność tak stara i naturalna jak życie i śmierć. W rzeczywistości, myślał Falcó, to najbardziej interesująca część zabijania. Najbardziej atrakcyjna. Reszta – cios, strzał, trucizna, sztylet – była zwykłą kwestią techniczną.

Kiedy wszedł do klubu bilardowego, podążając śladem Porteli, ten stał przy stole w głębi, gawędząc z szefem. W rękach trzymał kij. W sali było kilkanaście osób, wyłącznie mężczyzn, tu i ówdzie mundur, kłęby dymu z papierosów. Gęsta atmosfera. Lokal, ciemny, bez okien, oświetlały szklane abażury umieszczone na suknie każdego stołu. Słychać było uderzenia kijów o kule z kości słoniowej, uderzenia kul o siebie i szelest fiszek w liczydłach na ścianie.

Falcó spacerował między stołami, przyglądając się przebiegowi partii. Tym sposobem zbliżył się do stołu, przy którym stał Portela. Grali w trzydzieści jeden z szefem w roli sędziego i dwójką innych graczy: milicjantem z galonami sierżanta, niskim, opryskliwym, i cywilem, wysokim, niezgrabnym, w marynarce rozdartej na łokciu. Falcó zapytał, czy może się dołączyć, i nikt nie zaprotestował. Szef kazał im losować bile pikowe, ustawił pięć pionków na suknie i rozpoczęli grę. Zakłady szły

o pięć peset, a firma brała jedną pesetę od każdego; Portela zaczynał, Falcó był ostatni. Portela grał spokojnie i umiejętnie, bez pośpiechu. Delikatnie i po kilka razy przesuwał kij w palcach, zanim uderzył w wybraną bilę. Uważnie obliczał kierunek i siłę, pochylając się nad stołem, by ustawić kij pod podbródkiem w nienagannej pozycji, powtarzając raz po raz jego ruch w trójkącie utworzonym przez kciuk i palec wskazujący. Nie miał gminnego odruchu podążania ciałem za trajektorią kul. Grał dobrze. Zebrał punkty, zbijając odpowiednie pionki, przerwał dokładnie wtedy, kiedy należało, i wygrał pierwszą partię. Drugą wygrał wojskowy. Rozpoczęli trzecią, kiedy na zewnątrz rozległ się alarm przeciwlotniczy.

– Faszystowskie samoloty! – krzyknął ktoś.

Sala szybko opustoszała. Wszyscy, łącznie z wojskowym, opuścili lokal i ruszyli do najbliższego schronu. Pozostali tylko Portela, Falcó i szef. Ten ostatni czekał, coraz bardziej zdenerwowany, aż gracze dołączą do pozostałych. W ten sposób mógłby, jak uznał Falcó, zatrzymać sobie szesnaście peset niedokończonej partii.

– Sądzę, że pańska kolej – odezwał się Portela do Falcó z całkowitym spokojem.

Mierzyli się wzrokiem przez chwilę i Falcó spodobało się to, co widział. Na ustach Porteli błąkał się lekki uśmiezek. Ze szczyptą arogancji i pogardy.

– Może spaść bomba – wybełkotał szef.

– Pan niech robi to, co przewiduje regulamin – powiedział mu Falcó.

Uśmiech Porteli stał się wyraźniejszy. Bardzo powoli pocierał kapkę kredą, jakby nie słyszał wyjących za oknem syren. Dostosowując się do jego stylu, Falcó wyjął z kieszeni papierośnicę ze skrętami i poczęstował go.

– Dziękuję. Nie palę.

Falcó oparł swój kij o kant stołu, potarł zapałkę i zapalił papierosa. Wydmuchnął dym i spojrzał na bile i pionki.

– Zagrywa numer drugi z piętnastoma punktami – powiedział szef z rezygnacją w głosie. Był blady jak kość słoniowa bili.

Dwie kule leżały bardzo blisko siebie w tym samym narożniku, a pionek, który powinien zbić, nosił numer jeden i stał po przeciwnej stronie. Było to trudne uderzenie, ale czuł na sobie przerażony wzrok szefa i uważny Porteli, więc nie mógł się wycofać. Pochylił się nad krawędzią stołu, szukając najwygodniejszej pozycji i wyciągając kij.

– Wie pan, jaką ma pan bilę? – zapytał Portela, zobaczywszy, pod jakim kątem zamierza uderzyć.

– Doskonale.

– Powinien pan popatrzeć na jej numer, żeby ustalić, ile panu brakuje.

– Bardzo dobrze wiem, ile mi brakuje – odparł lodowato Falcó.

Na ulicy rozległ się daleki huk spadającej bomby, a potem drugi, bliższy. Szef podskoczył. Falcó tkwił nieruchomo z dymiącym papierosem w kąciku ust i zwężonymi oczami, studiując położenie bil.

– Pionek pierwszy? – zapytał Portela, do którego dotarło, co zamierza Falcó.

– Tak.

– O. To trudne zagranie.

– Zapewne.

– Będzie pan musiał bardzo skrócić ścięcie.

Falcó podniósł na moment wzrok i napotkał oczy Porteli. Ów obserwował go ze spokojnym zainteresowaniem. Nie wyglądał na zaniepokojonego spadającymi bombami. Kolejny grzmot rozległ się bardzo blisko, jakby bomba wybuchła przy ich ulicy.

– Na Boga – szepnął szef. Nie była to typowa formuła w tych dniach. Drżały mu ręce, które opierał o bandę.

– Spadaj pan stąd – rzucił mu pogardliwie Portela.

– Teraz już za późno, żeby iść do schronu – powiedział żałośnie szef.

– To leć pan do piwnicy, psiakrew.

Nie kazał sobie powtarzać. Chwycił swoje cztery pesety i popędził między stołami w stronę zaplecza, odwracając głowę i rzucając:

– Panowie są bohaterami.

Kiedy Falcó znów poczuł utkwiony na sobie wzrok Porteli, uderzył najsilniej, jak potrafił. Zagranie wyszło perfekcyjnie. Bila trafiła w środkowy punkt bandy, tu skręciła i poleciała prosto do pionka numer jeden.

– Trzydzieści jeden – powiedział.

Wyszli razem, kiedy odwoływano alarm. Bez słowa, jakby w milczącym porozumieniu, kroczyli ulicą, aż dotarli do podnóża schodów prowadzących do starej katedry. Nieopodal, między budynkami przy ulicy Cañon, spadła bomba, obsypując fasady śladami jak po ospie, wgniatając metalowe żaluzje sklepów i pokrywając ziemię rozbitym szkłem i urwanymi kablami trakcji. Niemal symbolicznie – los czasem płata takie figle, pomyślał Falcó – metalowe kulki podziurawiły dolny, fioletowy pas trójkolorowej flagi na nadprożu kiosku. Sąsiedzi oglądali straty, dzieciaki biegały w poszukiwaniu skręconych odłamków.

– Kieliszek wina? – zaproponował Falcó.

– Zgoda.

Tawerna była zwrócona bokiem do schodów. Marmurowy kontuar, wielkie, ciemne beczki, afisz korridy z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Pachniało brudnymi trocinami i podłym winem. Zamówili

dwa kieliszki czerwonego i gawędzili przez chwilę na błahe tematy. Żaden z nich nie wspomniał ani o bilardzie, ani o wojnie. Falcó zagadnął rozmówcę o to, co porabia w życiu, ów opowiedział, że pracuje w warsztacie krawieckim ojca, bardzo znanego przy ulicy Mayor. Interes dobrze prosperował przed wojną, teraz powodziło im się gorzej.

– W obecnych czasach ludzie nie dbają już tak bardzo o ubiór... Klientów nie brakuje, na szczęście. Ale zmniejszył się popyt na eleganckie stroje z dobrych materiałów. Są źle widziane.

– Za to można szyć mundury, nie?

– Dzięki temu trochę się odkuliśmy. To samo właściciel sklepu z kapeluszami, ten z wielką reklamą Borsalina na drzwiach... Kiedyś sprzedawał kapelusze, teraz furażerki i berety.

– To naturalne. Lud ma inne potrzeby.

Portela przyglądał się znaczkowi sierpa i młota w klapie Falcó.

– A pan czym się zajmuje?

– Jestem zmobilizowany.

– Pochodzi pan stąd?

– Z Grenady.

– Nie skarżę się – odezwał się Portela po chwili. – Tak pewnie musi być. Ale mam nadzieję, że to wszystko przejdzie i wrócimy do normalności.

– Jaką normalność ma pan na myśli?

– Żeby nie spadały bomby i ludzie ubierali się, jak chcą.

– Jak Pan Bóg przykazał?

Milczenie, które zapadło, było prawie nieprzyjemne. Portela opuścił wzrok i wpatrywał się w kieliszek wina. Po chwili podniósł głowę gwałtownym gestem.

– Mimo tego znaczka nie sądziłem, że jest pan z tamtych.

– Z których?

– Z tych, co odmawiają innym wolności wypowiedzenia się tak, jak przyjdzie im ochota.

– A z których jest pan?

Znów milczenie. Portela wyprostował się niemal wyzywająco.

– Wdział pan przy bilardzie, z których jestem.

Falcó patrzył na niego bez słowa. Portela wzruszył ramionami jakby z rezygnacją.

– Zawsze uważałem, że są rzeczy, które czynią ludzi braćmi.

– Mówi pan o odwadze?

– To jedna z nich.

– Ponad ideologiami?

– Być może.

Falcó upił łyk wina.

– Nawet faszystów i antyfaszystów?

Czuł utkwiony w sobie świdrujący wzrok, inny niż przed chwilą. Zauważył w nim niepokój.

– Czy my się skądś znamy? – zapytał obcesowo Portela.

– Nie sądzę.

– Kim u diabła pan jest?

– Sam pan widzi. – Falcó przywołał na twarz zimny uśmiech. – Człowiekiem, który grywa w bilard i przechadza się ze znaczkiem partii w klapie.

– Prowokuje mnie pan?

– Bynajmniej.

– Myślę sobie teraz, że wygląda pan na policjanta.

Falcó wybuchnął śmiechem.

– Proszę mnie nie obrażać.

Jego rozmówca zaśmiał się także, choć krótko i sucho. Bez wielkiego rozbawienia.

– Ma pan rację – powiedział. – Nie zawsze rzeczy są takie, na jakie wyglądają.

– To prawda. Nie zawsze.

Portela spojrzął kątem oka na szynkarza myjącego kieliszki w zlewie.

– Wie pan, jak sędzę, że taka rozmowa może skończyć tym, iż wyciągną mnie z domu w piżamie o trzeciej w nocy – powiedział cicho.

– Martwi to pana?

– Niech pan sam mi powie. – Spojrzął na niego prowokacyjnie. – Powinienem się martwić?

Falcó nie odpowiedział. Dopijał wino.

– Czego pan chce ode mnie? – nalegał Portela.

– To była interesująca partia bilarda. – Falcó odstawił kieliszek na marmur. – To wszystko.

Portela przyglądał mu się badawczo jeszcze przez chwilę, wreszcie poddał się. Westchnął ze zniechęceniem lub znużeniem, włożył rękę do kieszeni i zapytał szynkarza, ile płaci.

– Ja zapraszam – odezwał się Falcó.

Portela odszedł bez podziękowania i pożegnania. Z nieprzyjazną miną, zachowując milczenie. Oparty o drzwi tawerny Falcó patrzył, jak tamten się oddala, idąc w dół ulicy.

8. SAŁ DROGI I DROGI

Mężczyzna nadchodził wzdłuż muru, jak cień, w świetle księżyca. Mur był w większej części pobielony, co ułatwiało dostrzeżenie postaci idącej szybkim krokiem. Siedzący z tyłu hispano-suizy zaparkowanej w mroku Lorenzo Falcó przysunął tarczę zegarka do papierosa trzymanego w garści i chuchnął, by rozniecić żar i zobaczyć godzinę. Była za piętnaście dziesiąta.

– To on – powiedziała Cari Montero.

Siedziała za kierownicą. Niełatwo było o samochód, ale wynajęła go za pieniądze Falcó pod pretekstem rodzinnej podróży do Murcji: tysiąc peset dla kierownika garażu, w którym stało kilkanaście aut i furgonetek zarekwirowanych przez Powszechny Związek Robotników, pełny bak z dwoma dodatkowymi kanistrami oraz opieczętowany dokument uprawniający do użytkowania pojazdu przez tydzień.

– Idzie sam – dodała.

– Na to wygląda.

Oparty o siedzenie Falcó odczekał nieruchomo jeszcze chwilę, aż mężczyzna wejdzie do budynku za załomem muru. Był to nieduży gmach z cegły i kutego żelaza na obrzeżach miasta, na skraju pustkowia, między dzielnicą Santa Lucía a cmentarzem. W żadnym oknie nie paliło się światło. Falcó obejrzał to miejsce na krótko przed zachodem słońca, żeby opracować plan. Drogi dojazdu i ucieczki, scenariusz prawdopodobny i ryzykowny. Rutynowe środki bezpieczeństwa.

– Zostań tu – nakazał Cari. – Zadbaj o to, żeby nikt mi nie przeszkodził. A jeśli pojawią się milicjanci...

– Wiem. Klakson i odjeżdżam najprędzej, jak się da.

– Właśnie. Bohaterskie czyny zostawiasz aktorom filmowym. Jeśli sprawy się skomplikują, mamy dokąd uciec.

– Nie martw się – powiedziała naturalnym tonem. – Wiem, co mam robić.

– Masz tylko podjechać do drzwi, kiedy damy ci znak.

– Tak. Wszystko jasne. Powodzenia.

Spodobało mu się, że nie melodramatyzuje. Z pewnością odczuwała pokusę. Przygoda i niebezpieczeństwo. Ale Cari Montero, podobnie jak jej brat, potrafiła się znaleźć. Była opanowana i odważna. Nie umiał inaczej wyjaśnić, jak mogła znosić napięcie i strach związane z działaniem na terytorium wroga, ryzykując każdego dnia, że wpadnie w łapy czerwonych, zostanie poddana torturom, a potem niechybnie zastrzelona. Falangista pochwycony to falangista martwy, rzadko miewał szybką śmierć. Trzeba być ulepionym z niezwyklej gliny, by to wytrzymać, a ona taka była. Podobnie jak Eva Rengel, pomyślał przelotnie, gasząc papierosa w samochodowej popielniczce. Następnie wprowadził jeden nabój do komory browninga, zabezpieczył go i schował do prawej kieszeni kurtki. Otworzył drzwi, wysiadł i ruszył w stronę wejścia.

Lubię to znajome uczucie, przyszło mu do głowy po drodze: rytmiczne pulsowanie krwi w skroniach, mrowienie w pachwinach, niezwykle jasność zmysłów postawionych w stan najwyższej gotowości, wyczulonych na najlżejszą oznakę niebezpieczeństwa. Tylko pewne alkohole, pewne papierosy i pewne kobiety, w zależności od chwili, zapewniały podobny efekt. Ale ten był najbardziej intensywny. Nic innego nie pozwalało mu osiągnąć tego doskonałego stanu, tego apogeum, wypolerowanego

i gładkiego jak marmur płyty nagrobnej: pewność, że porusza się swobodnie po wrogim terytorium, niegościnnym jak samo życie, z komfortowym poczuciem, że nie pozostawia za sobą nic ważnego i przed nim nie stoi nic na tyle strasznego, by zahamować jego krok. Na tym polegała absolutna wolność i niezależność, bez przeszłości i bez przyszłości; z pamięcią, kieszeniami, umysłem wyzutymi z tego co zbędne, wyczyszczone wręcz sterylnie ze wszystkiego co niepotrzebne do przeżycia tu i teraz. I dzięki temu szczęśliwy, czując w kieszeni przyjemny ciężar pistoletu, którego kolbę ścisnął w ręce, z palcem odległym jeszcze od spustu, spokojny i zabójczy, jakby niósł na ramieniu kołczan i strzały niewidzialnego łuku, z twarzą przemienioną w maskę cieni kroczył Falcó podobny do nocy.

Drzwi nie były zaryglowane, zaledwie przymknięte. Zasuwał je za sobą, przeszedł przez hol i zanurzył się w mrok korytarza. Na stopniach schodów po jego lewej ręce płonąła świeca zatknięta w lichtarz. Dom, jak opowiedzieli mu Monterowie, należał do krewnych, których osiemnasty lipca zaskoczył w strefie nacjonalistów. Milicjanci obrabowali go latem, nie niszcząc jednak całkowicie. Na ścianach jaśniały prostokąty po obrazach, w nielicznych meblach szuflady były otwarte. Pod stopami trzeszczała parkiet z odłamkami porcelany i szkła. Falcó popchnął drzwi u wylotu korytarza i wszedł do pokoju oświetlonego nagą żarówką: stół, kilka krzeseł, komoda i radio detektorowe Emerson. Ucichł właśnie sygnał dźwiękowy Radia Sewilla i rozbrzmiał głos generała Queipo de Llano rozpoczynający audycję nadawaną dla mieszkańców czerwonej strefy: „Dobry wieczór państwu...”.

Falcó długo medytował nad akcją. Co zrobić i jak. Minał bez słowa Ginesa Montero i Evę Rengel siedzących przy stole tyłem do niego, podszedł do radia i wyłączył je. Potem odwrócił się do Juana Porteli, który

patrzył na niego ze zdumieniem ze swojego krzesła. Miał na sobie to samo ubranie co rano w klubie bilardowym: sweter i koszulę z krawatem, którego węzeł rozluźnił, marynarka wisiała na oparciu krzesła. Zaalarmowało go najpierw wejście niespodziewanego gościa; gdy rozpoznał Falcó, osłupiał.

– Co pan tu robi? – wykrztusił.

Falcó rąbnął go w skroń lewą dłonią zwiniętą w pięść, wyjmując jednocześnie prawą ręką pistolet. Cios był krótki i mocny, wyrachowany i brutalny, przekręcił Porteli głowę i sprawił, że ten runął na podłogę razem z krzesłem i marynarką. Nie dając mu czasu na oprzytomnienie, Falcó skoczył na niego i przydusił kolanem. Miał w tym doświadczenie. Chodziło o to, żeby nie pozwolić ofierze pomyśleć, oszołomić ją do tego stopnia, by nie miała czasu przygotować się mentalnie na to, co ją czeka. Uderzył go zatem ponownie, tym razem waląc w twarz otwartą dłonią, co zabrzmiało jak chlaśnięcie biczem. Potem przystawił mu lufę pistoletu do czoła.

– Ma broń? – zapytał pozostałych.

– Myślę, że nie – odezwał się Ginés. Wyglądał na równie zaskoczonego jak Eva.

By się upewnić – lepiej „na wszelki wypadek” niż „i któż by przypuszczał” – Falcó sprawnie obszukał leżącego, który patrzył na niego oszołomiony, nie rozumiejąc, co się dzieje. Z prawego ucha płynął mu strumyk krwi, plamiąc kołnierzyk koszuli. Miał przy sobie tylko scyzoryk i klucze w kieszeniach spodni. Falcó rzucił je na drugi koniec pokoju, odsunął pistolet od twarzy Porteli i uderzył go jeszcze trzy razy. Uczynił to bez zbytejnej zajadłości, tak mocno, jak było trzeba. Systematycznie. Potem powstał.

– Posadźcie go na krzesło.

Ginés i Eva pochylili się bez słowa nad leżącym, podnieśli go za ramiona i posadzili. Zrobili to niemal delikatnie, zauważył Falcó, mimo

wszystko byli starymi druhami. Zamroczony, bezwolny Portela nie protestował, patrząc na nich oczami zasnutymi mgłą. Ginés stanął za nim.

– Zwiąż go – nakazał Falcó.

Ginés nadal był blady, wyglądał na tak oszołomionego, jakby sam również został pobity, i Falcó zrozumiał, że młody falangista nie spodziewał się tak brutalnego potraktowania towarzysza mimo jego zdrady. A już w żadnym wypadku na samym początku. Zapewne wyobrażał sobie bardziej subtelny prolog w kłębach dymu z papierosów, z podchwytliwymi pytaniami i odpowiedziami najpierw wymijającymi, później wyraźnymi. Coś w stylu powolutku aż do skutku, co doprowadziłoby wszystkich w sposób naturalny i pozostawiający czyste sumienie do zakończenia. Wyznanie i kara. To musiał być jego pierwszy kontakt z przemocą. Ta myśl wywołała złośliwy grymas na twarzy Falcó. Omijał wzrokiem Evę Rengel. Zastanowił się, czy ci młodzi idealisci byliby zdolni stawić czoło podobnej sytuacji bez jego pośrednictwa. Przemocy można się nauczyć, jasne. Problem polegał na tym, że w tych czasach i okolicznościach można było nie dożyć zakończenia kursu. Tik, tak, tik, tak. Pan Czas biegł dla wszystkich, w jednej ręce trzymał klepsydrę, w drugiej kosę.

Uderzył Portelę w twarz raz jeszcze, tym razem niezbyt mocno. Plasnęło. Zrobił to głównie po to, żeby kuć żelazo, póki gorące. Nie pozwolić mu ostygnąć.

– Zwiąż go lepiej – polecił Ginesowi.

– Robię, co mogę.

– Powiedziałem, żebyś go związał, kurwa. A może chcesz zająć moje miejsce?

Wsuwając pistolet do kieszeni spodni – może się okazać, że będzie musiał zdjąć kurtkę, żeby się nie zgrzać, a nie chciał odkładać broni zbyt daleko – postanowił wreszcie spojrzeć na Evę Rengel. Wycofała się aż pod

ścianę. Miała na sobie popielaty golf podobny do tych, jakie noszą bokserzy, ukazujący wydatny biust i modelujący biodra, czarną spódnicę i buty niemal męskie, bez obcasa. Skrzyżowała ręce na piersi i nie patrzyła na człowieka siedzącego na krześle, lecz na Falcó. Obserwowała go z napiętą ciekawością. Przemknęła mu przez głowę niewygodna myśl, że nie podoba mu się, iż widzi go w tej sytuacji. Nie to chciałby jej pokazać, absolutnie. Ale tej nocy nikt nie mógł wybierać. Wszyscy musieli odegrać swoje role.

– Dokument – zażądał, wyciągając rękę.

Ginés podał mu kartkę złożoną na cztery. Falcó rozwinął ją przed wytrzeszczonymi oczami więźnia.

– Wiesz, co to jest?

– Nie.

Gdy zatrzymany przemówił, z kącika ust pociekła mu strużka śliny, różowa, ze śladami krwi. Strużka płynąca z ucha była czerwona i gęsta. Może przebiłem mu bębenki, pomyślał Falcó. Na wszelki wypadek przybliżył usta do zdrowego ucha.

– Przeczytaj to. Powoli. Mamy czas.

Patrzył, jak oczy Porteli przesuwają się po zapisanych liniach. Gdy dotarł do końca, podniósł głowę przerażony.

– To kłamstwo – wybełkotał.

Falcó uderzył go ponownie. Portela zamachał rękami, wijąc się i jęcząc, Ginés musiał związać mu ramiona jeszcze mocniej. Od uderzeń zaczęła mu puchnąć twarz, więc tym razem Falcó walnął go w splot słoneczny, co odebrało mu oddech i złożyło w pół zduszonego; zwinął się potem na krześle i odrzucił ciało w tył, łapiąc otwartymi ustami powietrze.

– Powiedz nam, kogo jeszcze wsypałeś... Ginesa i Cari? Evę?

Więzień kręcił głową, usiłując odetchnąć. Falcó odczekał, aż się uspokoi. Bolały go już ręce.

– Nie chcesz powiedzieć?

– Nie... wyspałem... nikogo.

Falcó wyjął z kieszeni pistolet, rozładował go, wyjął z komory nabój, przytrzymał rękę Porteli na stole i zmiażdżył mu palec uderzeniem kolby.

– Jezu Chryste! – krzyknął Ginés.

Więzień był tak oszołomiony, że otworzył szeroko usta i oczy, nie wydając żadnego dźwięku. Jakby struny głosowe odmówiły mu posłuszeństwa. Dopiero po kilku sekundach zaczął przeraźliwie krzyczeć. Falcó chwycił go za włosy i zakneblował chusteczką. Czuł utkwiony w siebie wzrok Ewy Rengel. Ginés odszedł w róg pokoju i walczył z mdłościami. Wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować.

– Powinieneś wyjść na chwilę – powiedział miękko Falcó.

Montero potaknął, a przechodząc obok więźnia, przystanął, omijając go wzrokiem.

– To jest towarzysz – szepnął.

– Był – uciął Falcó. – A tu chodzi o życie nas wszystkich.

Chłopak wahał się. Światło nagiej żarówki odbijało się w jego okularach, nadając oleisty odcień jego pobladłej twarzy.

– Czy to wszystko jest niezbędne?

– Świeże powietrze dobrze ci robi – powtórzył Falcó.

Ginés otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć albo odetchnąć głęboko. Nie odezwał się jednak. Wyszedł, zamykając drzwi. Falcó spojrzał na Ewę Rengel, która stała wciąż oparta o ścianę ze skrzyżowanymi ramionami, obserwując go.

– Ginés nie po to wstąpił do Falangi – powiedziała.

– A ty?

– Ja też nie. To odrażające.

– Owszem.

Falcó wyjął chusteczkę z ust Porteli. Z gardła więźnia wydobył się długi, głuchy jęk. Falcó popatrzył na Evę Rengel.

– Wasi towarzysze, zbawiciele Hiszpanii, robią codziennie to samo, tam po drugiej stronie – wycedził. – Bez żadnego zmiłuj się.

– Widziałeś? – zapytała wrogo.

– Jasne, że widziałem.

– A ty? Dlaczego ty to robisz?

Nie odpowiedział. Przysunął twarz bardzo blisko do twarzy Porteli i wpatrywał się w nią uważnie. Próbując wyczytać prawdę w źrenicach zmąconych bólem i przerażeniem.

– Ginés i Cari podobnie jak ja nie boimy się śmierci – dorzuciła. – Jesteśmy na nią gotowi. Ale to...

Z głową zwieszoną na piersi, podtrzymując rękę, Portela jęczał jak zranione zwierzę, oslepiły z bólu i rozpacz. Wilgotna plama rosła na lewej nogawce jego spodni; to był mocz. Jakaż odmiana, pomyślał Falcó, w stosunku do nieulekłego człowieka, który grał rankiem w bilard, podczas gdy na ulicę padały bomby. Są drogi i drogi, powiedział sobie, każda różni się od pozostałych. Nie wszystkich można złamać w ten sam sposób. Wic polegał na tym, żeby trafić na właściwą drogę. A on trafił. Początkowy impet bardzo w tym pomógł. Godność zdruzgotana, zanim pojmany miał czas, by o niej pomyśleć. Chusteczką wyjętą z ust więźnia Falcó wytarł mu twarz z krwawej śliny.

– To zrobią nam, jeśli nas złapią – powiedział Evie Rengel, rzucając chusteczkę na stół. – Monterom i tobie, wszystkim. A wy, dziewczyny, będziecie miały najgorzej.

– Wiem. Dlatego jestem tutaj i patrzę na ciebie... Uczę się.

– Od kogo?

– Od siebie.

Jest piękna, uznał. Oparta o ścianę wciąż ze skrzyżowanymi ramionami, z mięśniami pływaczki, nogami silnymi i ładnymi, i z tą jasną czuprynką, krótką jak u mężczyzny, która przydawała jej niezwykłego uroku Androgyne. Niejasnego. Dwuznacznego. Wyjątkowej intensywności cielesnej.

Niemal fizycznym wysiłkiem Falcó powrócił do rzeczywistości. Odetchnął głęboko kilka razy i popatrzył na więźnia.

– Zaczynamy od nowa, towarzyszu... Kogo jeszcze wsypałeś?

Kwadrans później wyszli do przedpokoju i dołączyli do Ginesa Montero. Portelę zostawili przywiązanego za przeguby do krzesła. Chwilę wcześniej stracił przytomność.

– Nie przyznaje się – oznajmił Falcó. – Nie ma sensu ciągnąć tego dalej. Skończy się na tym, że zezna wszystko, co chcemy usłyszeć. Od któregoś momentu wszyscy to robią.

– Może mówi prawdę – powiedziała Eva.

Ginés spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Widziałaś dokument tak jak my – przypomniał. – Nie pozostawia cienia wątpliwości.

Młody falangista doszedł do siebie. Okazywał teraz stanowczość, prawdziwą albo udawaną. Jakby starał się zatrzeć swoją niedawną słabość, domyślił się Falcó.

– Dokument może być fałszywy – oznajmiła Eva.

– Przecież sama go przyniosłaś.

– Mogli podrzucić mi go specjalnie.

– Żebyś go znalazła? Naprawdę w to wierzysz?

Podniosła ręce w geście bezsilności.

– Nie... Prawdę mówiąc, nie wierzę.

Spojrzeni po sobie. Świeca płonąca na stopniach schodów rozmywała sinawe cienie na poważnych twarzach. Narada morderców, pomyślał beznamiętnie Falcó. Jeden zawodowiec i dwójka amatorów. Ta myśl wywołała okrutny uśmiech na jego wargach. Przelotny grymas. Zauważył, że Eva spostrzegła ten uśmiech.

– I co robimy teraz? – zapytała.

Patrzyła na niego. Ginés przełknął głośno ślinę. Nawet czerwonawe światło świecy nie maskowało jego bladości.

– Nie ma nad czym debatować – oznajmił. – Musimy zakończyć sprawę.

– Ty to zrobisz?

– Jasne, że ja.

Od jakiegoś czasu Ginés kończył zdania, nawet twierdzące, pewnym zawieszeniem głosu i lekką intonacją pytającą. Eva patrzyła na niego z powątpiewaniem.

– A Cari?

Nie odpowiedział.

– Lepiej, żebyście stąd poszły – wtrącił się Falcó. – Na piechotę. Samochód zostanie z nami.

– Gdzie to zrobicie?

– Wszystko jedno – odparł Ginés obcesowo. – Tutaj. A potem...

– To niepraktyczne – przerwał mu Falcó.

Utkwili w nim wzrok. Pieprzeni amatorzy, pomyślał. Wpakowali się w to sądząc, że zabawa w bohaterów w czerwonej strefie będzie jak

w angielskich filmach szpiegowskich. Że są Robertem Donatem i Madeleine Carroll. A to nie jest takie łatwe. Rzeczywistość nigdy nie jest łatwa. Krew okazuje się lepka, klei się do palców i pamięci. I często to, co poprzedza krew, jest jeszcze gorsze. Niełatwo zostać zbrodniarzem. Trzeba być ulepionym z odpowiedniej gliny. Choć wiele można osiągnąć motywacją, przyzwyczajeniem, cierpliwością, nie wszyscy ludzie rodzą się mordercami.

– Dźwigać martwe ciało to nie to samo, co prowadzić żywego człowieka – wyjaśnił. – Lepiej wywieźć go stąd... Poza tym trup poplamia samochód.

Cienie zakotłowały się na twarzy Ginesa. Prawie dał krok w tył. Wówczas Falcó napotkał wzrok Evy.

– Ja z tobą pójdę – oświadczyła bardzo spokojnie. – To ja znalazłam dokument i przyniosłam go wam. Ja jestem odpowiedzialna.

Ginés odwrócił się do niej zdumiony.

– Ale ty... – zaczął.

Patrzyła na niego z pogardą. Z wyższością. Musiały upłynąć tysiące lat, pomyślał Falcó, żeby kobieta tak patrzyła na mężczyznę.

– Jesteś kobietą, to chciałeś powiedzieć?

Zapadła cisza, która zdawała trwać wieczność. Przerwał ją Falcó.

– Jest mi wszystko jedno, kto ze mną pójdzie, ale potrzebuję kogoś. I robi się późno.

– Pojedziemy we trójkę – zdecydował Ginés.

– Zgoda – zatwierdził Falcó. – Eva, wyjdź i powiedź Cari, żeby wracała do domu. Potem podjedź samochodem pod drzwi.

Patrzyła na Ginesa, jakby nie usłyszała słów Falcó.

– Ty nie pojedziesz – oznajmiła koledze z nieoczekiwaną stanowczością. – Cari może natknąć się na patrol. Idź z nią. To prawie pół godziny na piechotę. Ja z nim zostanę. – Pokazała na Falcó.

– To absurd – zaprotestował Ginés. – Ja...

– Dostyc – uciął Falcó, podejmując decyzję. – Ty idziesz z siostrą, Eva jedzie ze mną.

– Nie sądzę, żeby...

– To rozkaz. Rozumiesz? Wypełnij go.

Ginés zamrugał powiekami, przenosząc wzrok z jednego na drugie. Pod niepewnością i czymś nieomal jak upokorzenie Falcó wyczuł ulgę. Po chwili wyszedł bez słowa. Falcó i Eva zostali sami naprzeciw siebie.

– Masz broń? – zapytał.

Zareagowała z takim spokojem, skonstatował ze zdziwieniem, jakby zagadnął ją o papierosy.

– Owszem – powiedziała. – W kieszeni płaszcza.

– To chodźmy.

– Zabijecie mnie – jęczał Portela. – Zabijecie mnie.

Siedział na tylnym siedzeniu ze związanymi rękami. Falcó obok niego palił papierosa. Eva prowadziła w milczeniu.

– Nikogo nie wydałem... Przysięgam.

Światła samochodu wydobywały z mroku pustkowia i gruzowiska po obu stronach drogi z bitej ziemi, krętej, bardzo wyboistej. Hispano-suiza podskakiwała i trzeszczała, trzęsła się na resorach. Bardzo blisko nich wznosiły się czarne cienie wysokich gór, ciemnych mas pod bladym światłem księżyca niemal zasnutego chmurami. Za długim zakrętem reflektory oświetliły ceglany mur, na wpół zrujnowany. Wyrastała za nim wysoka kolumna komina.

– To tu – powiedziała Eva.

Falcó przechylił się przed więźniem, żeby otworzyć drzwi od jego strony, poczekał, aż podejdzie tam Eva i wypchnął go na zewnątrz.

– Kanalie – powiedział Portela.

Falcó wysiadł. Więzień upadł na ziemię, Eva pomagała mu wstać.

– Dziwka – wyzwał ją, szamocząc się. – Brudna dziwka.

Falcó wziął go łagodnie za ramię i poprowadził o kilka kroków. Następnie zmusił go, by ukląkł w mroku, kontury barków i głowy więźnia rysowały się w nikłym blasku księżyca. W momentach takich jak ten Falcó starał się nie myśleć, odbiec umysłem daleko od tego, co robił albo zamierzał zrobić, skupiał się jedynie na praktycznych szczegółach sprawy. Miejsce, okoliczności, środki. Aspekty moralne odkładał na później, gdy będzie można rozważyć je nad kieliszkiem w obłoku dymu papierosa. Tu, na gorąco, to by tylko zaburzyło fakty. Skomplikowało je. A fakty musiały być jak najbardziej konkretne: kula, nóż, struna pianina, nagie ręce. I wola czynu. Zabijanie człowieka nie różniło się zbytnio pod względem techniki od zabijania zwierzęcia. Jediną poważną niegodność stanowiło to, że człowiek niekiedy zdawał sobie sprawę z tego, co ma nastąpić. Nie tak samo zabija się kogoś, kto wie, że ma umrzeć, jak tego, kto o tym nie wie. Człowiek klęczący przed nim wiedział doskonale.

– Mam małe dziecko, córeczkę, wy skurwysyny!

Nie trzeba myśleć, powtórzył sobie Falcó. To byłby błąd taktyczny. Zatrzymywanie się na detalach tego typu nie da się pogodzić z tym, co zamierzam zrobić. Tu nie ma miejsca na dzieci ani na przyszłe wdowy, ani na matki, które za moment tracą syna. Życie jest ciężkie, okoliczności okrutne, ja tylko przestrzegam reguł i postępuję tak samo, jak w dowolnym momencie ktoś inny może postąpić ze mną. Nikt nie obiecywał, że

poruszanie się po tym podłym świecie będzie łatwe albo przyjemne. A już tym bardziej w czasach takich jak te.

– Mam córkę.

To już nie był krzyk, tylko jęk. Błagalny. Za plecami klęczącego cienia Falcó wyjął z kieszeni pistolet. Przypomniawszy sobie, że podczas przesłuchania wyciągnął z komory nabój, więc odbezpieczył pistolet i zarepetował go. Szczęk ładowanej broni zabrzmiał złowieszczym echem pośród nocy.

– Wstawaj...

Huk i błysk sprawiły, że Falcó się wzdrygnął. To nie on strzelił. Portela upadł ciężko, cień wśród cieni zarośli. Eva stanęła obok Falcó, druga czarna sylwetka, i poczuł cierpką woń spalonego prochu.

Upłynęło pięć sekund.

– To była moja sprawa – powiedziała wreszcie głuchym głosem.

Zostawili hispano-suiżę w garażu przy wyjeździe z tunelu i wyszli na ulicę, gdy zegar z wieży ratuszowej wybijał pierwszą.

– Mieszkam bardzo blisko – powiedziała Eva.

– Odprowadzę cię pod dom.

– Jak chcesz.

Falcó zasunął zamek kurtki.

– Co zrobiłaś z pistoletem?

– Schowałam pod siedzeniem samochodu. A ty?

– Mną się nie zajmuj. Mam pozwolenie na broń.

Były to pierwsze słowa, jakie wymieniali od momentu, gdy zabiła Portelę. Kiedy odeszli od trupa – na którym Falcó położył kartkę z napisem „Wykonanie wyroku na faszycie”, żeby zagmatwać trop – młoda kobieta wsiadła do samochodu i prowadziła go pewną ręką, niezmacona, paląc

papierosa, którego Falcó włożył jej do ust już zapalonego. Nie patrząc na niego, bez żadnego komentarza. Przez piętnaście minut jazdy równie milczący jak ona kontemplował jej profil oświetlony blaskiem reflektorów, czerwony punkcik na końcu papierosa, który żarzył się mocniej, gdy się zaciągała. Lustrował tę kobietę, jakby widział ją po raz pierwszy. Zadając sobie masę pytań, na które nie znajdował odpowiedzi.

– To tu.

Dom Evy stał przy placu, który przed wojną nosił imię króla, a teraz republiki. Po drugiej stronie, w oddali, za ciemnymi sylwetkami palm, w mrokach miasta nieoświetlonego z obawy przed atakami lotniczymi odgadywał obecność muru i wieży Arsenaku. Minąwszy wzmocnioną wartę pod ratuszem – tak naprawdę składała się z dwóch milicjantów, jednego z Komunistycznej Partii Hiszpanii, drugiego z FAI – szli pustymi ulicami, w których rozbrzmiewało echo ich kroków. Gdy dochodzili do warty, wsunęła rękę pod ramię Falcó, żeby wyglądać naturalniej, potem została w tej pozycji i szli w tym samym rytmie, a ich ciała od czasu do czasu ocierały się o siebie.

– Dobranoc – powiedziała.

Puściła jego ramię.

– Nie chcesz porozmawiać o tym, co się stało? – zagadnął.

– Nie potrzebuję.

Mówiła tonem zupełnie naturalnym. Beznamiętnym, obojętnym. Coś tu nie gra, pomyślał nagle Falcó. Jest coś dziwnego. Coś więcej. Eva wydawała się pogrążona w stanie hipnozy albo transu, oderwana od rzeczywistości. Przez moment zastanowił się, czy jest w pełni świadoma tego, co zrobiła. Albo może właśnie to wprowadziło ją w taki stan. Czemu nie. Nie było łatwo zabić po raz pierwszy, przypomniał sobie. Jego pierwszy raz miał miejsce dziesięć lat temu w Meksyku. Strzał z daleka, z dziesięciu

kroków, potem podszedł, żeby zobaczyć efekt. Siedział wtedy prawie pół godziny przy trupie, przyglądając mu się uważnie. Studiując sekret półotwartych, nieruchomych oczu, których blask matowiał w miarę jak osiadał na nich przydrożny pył, i nagabując sfinksa.

– Możesz wejść – odezwała się nagle Eva.

Falcó spojrzał na nią skonsternowany.

– Dobrze by mi zrobił kieliszek czegoś mocniejszego – powiedział. – Albo kawa.

– Nie mam ani niczego mocniejszego, ani kawy. Ale możesz wstąpić, jeśli chcesz.

Ruszyli ciemnymi schodami, odnajdując drogę dzięki drewnianym poręczom. Na trzecim piętrze Falcó zapalił zapałkę, a Eva znalazła zamek i przekreśliła klucz. Gdy przekroczyli próg, zaciągnęła zasłony i zapaliła światło. Lampa podłogowa przy sofie, sztapowe meble, ryciny o morskiej tematyce na ścianach, kiczowaty obraz z dwoma jeleniami w lesie. Miedziane naczynie z żarem gotowe do zapalenia, kopczyk miału na węglach. Przez otwarte drzwi widać było sypialnię z łóżkiem małżeńskim nakrytym kapą, na ścianie krucyfiks.

– Jak długo tu mieszkasz? – zagadnął Falcó.

– Trzy miesiące. Dom nie jest mój.

Podszedł do okna.

– Musisz mieć dobry widok na Arsenał. Idealny, żeby kontrolować, kto wchodzi i wychodzi.

– Tak. Ale nie odsłaniaj okna. Jak zobaczą światło, w pięć minut będzie tu patrol tych szubrawców.

– Nie bój się.

Spoglądali na siebie, on pod oknem, ona pod drzwiami. Zdjęła płaszcz.

– Robiłaś to już kiedyś? – zapytał.

Nie odpowiedziała od razu. Wpatrywała się w niego uważnie, jakby myślała o czymś innym.

– Co? – zapytała w końcu.

– Strzelałaś?

– Do człowieka?

– Do mężczyzny albo kobiety. Do kogoś.

Milczała. Wydawało się, że szuka w pamięci, jakby chodziło o jakiś błąhą szczegół. W końcu uśmiechnęła się gorzko.

– Nie gadaj głupot – powiedziała.

Falcó wyciągnął papierośnicę i poczęstował kobietę. Odmówiła ruchem głowy.

– Jak się naprawdę nazywasz? – zapytała.

Falcó zapalił papierosa i pomachał zapalką, by ją zgasić. Nadpaloną odłożył po chwili na szklaną popielniczkę z napisem Trasmediterránea.

– Nie oczekujesz chyba, że odpowiem.

– Nie oczekuję – przyznała. – Po prostu chciałabym wiedzieć.

Przeszła kilka kroków po pokoju i zatrzymała się. Boczne światło lampy podkreślało kształt jej piersi pod golfem.

– Obojętne, jak się nazywasz, to nie jest twoja sprawa – podsumowała.

Falcó zaciągnął się głęboko.

– To nie ma wielkiego znaczenia.

– Dla mnie owszem. Tak samo dla Ginesa i Cari.

Wpatrywała się w niego z takim natężeniem, że Falcó, przy całej swojej zimnej krwi, poczuł się nieswojo.

– Jesteśmy po tej samej stronie – stwierdził. – To powinno wystarczyć.

– Nie.

– Nieważne. Nikt ci nie powiedział, że będziesz mogła wybierać. Nikt z was nie może... Chcieliście bawić się w wojenkę, to ją macie. A ona taka właśnie jest.

– Zbyt brudna. To męczy.

– Wszystkie są takie. Widziałem kilka. A może to była ciągle ta sama.

– Nie lubisz nas, prawda? – Jej uśmiech był gorzki. – Zauważyłam.

– To absurdalne.

– Nie. Dla ciebie jesteśmy amatorami. Ktokolwiek w coś wierzy, wydaje ci się amatorem. Nieprawda? Szanujesz tylko tych, którzy nie wierzą. Najemników takich jak ty.

Teraz on z kolei się uśmiechnął.

– Tej nocy zasłużyłaś na mój szacunek.

Wyglądała, jakby przebiegł ją dreszcz.

– Być może – powiedziała.

– Może Juan Portela wierzył. A może tylko się bał.

– Popatrz na mnie. – Wskazała na własną twarz. – Ja się boję.

– Dziwna z ciebie kobieta, Evo.

– Ty też jesteś dziwny. Obojętnie jak się nazywasz.

Patrzyli na siebie z dwóch stron pokoju. Skrzyżowała ramiona i wyglądała bardzo poważnie. Po chwili uniosła rękę.

– Przepraszam – powiedziała. – Gorąco mi.

Odwróciła się i odeszła do sypialni. Falcó zgasił papierosa w popielniczce i poszedł za nią do alkowy, gdzie zdejmowała sweter, podnosząc ręce nad głowę. W półmroku dostrzegł jasną skórę wynurzającą się spod wełny, szerokie i białe ramiączko stanika zapiętego na plecach, zarys ud, gdy zsuwała spódnice. I zdziwiony wyraz jej twarzy, gdy obrócił ją, ujął głowę w obie ręce i ucałował, mocno i długo. Spięła się na

początku, jakby chciała go odepchnąć, wówczas przesunął ręce na plecy i przytulił ją mocniej, czując ciepło pólnagiego torsu i jędrność piersi. Próbując się wyrwać, podniosła rękę i chwyciła go za włosy, odciągając głowę do tyłu i biorąc drugą ręką zamach, jakby chciała go uderzyć. Ale on rozpiął już haftki stanika i odrzucił go, uwalniając ciężkie nagie piersi. Ich widok podniecił go do szaleństwa. Ślepy z furii i pożądania popchnął ją na łóżko i przygniół; upadając, zdołała w końcu uderzyć go pięścią w twarz. Z nosa pociekła mu krew. Poczuł, jak ciepłe krople płyną mu po wargach na język, i zobaczył, że kapią na dziewczynę, plamiąc jej biust i twarz ciemnym, gęstym płynem. Zauważyła to i znieruchomiała nagle, wpatrując się w niego z bardzo bliska oczami wytrzeszczonymi w mroku. Wyglądała na przejętą. Przestraszona. Trwała tak przez moment, a potem, znienacka, przyległa gwałtownie ustami do jego twarzy i zaczęła scałowywać krew, oddychając chrapliwie, z uległością. Nie broniła się już. Wówczas Falcó podniósł jej spódnicę aż po biodra, zdarł majtki, zrzucił z siebie spodnie i slipy i wbił się raz i drugi w to wspaniałe ciało, z pośpiechem i desperacją, tak głęboko, jakby od tego zależało jego życie. Zaciskał zęby, żeby nie zawyc z rozkoszy i szaleństwa, podczas gdy Eva zlizywała jego krew, jęcząc jak ranne zwierzę.

Kiedy rozległ się alarm przeciwlotniczy, Falcó zapalił zapałkę i spojrzał na zegarek. Była czwarta czterdzieści pięć. Kobieta, naga u jego boku, oddychała rytmicznie. Wyglądało na to, że śpi. Lampa w salonie się nie świeciła, zapewne dlatego że w całym mieście wyłączono prąd. Falcó zapalił papierosa, wstał i podszedł, nagi i bosy, do okna. Pokój pachniał węglem spalonym na jeszcze ciepłym żarowniku. Chowając w dłoni ogieniek papierosa, uchylił zasłonę, by wyrzucić na zewnątrz. Jak w prawie wszystkich domach w tym mieście okno było w rzeczywistości przeszklonymi drzwiami wychodzącymi na balkon lub wykusz; tu był

balkon z kratą z kutego żelaza. Syrena ucichła, ale nad ciemnymi kształtami gór z drugiej strony Arsenału rozbłyskiwały krótkie smugi ognia artylerii przeciwlotniczej. Po każdym błysku dobiegało z oddali dudnienie. Falcó obliczył odległość – prędkość dźwięku wynosiła trzysta czterdzieści trzy metry na sekundę – byli o mniej niż dwa kilometry stąd. I zbliżali się. Przez moment w świetle rozbłysków między postrzępionymi chmurami przeciętymi słabą poświatą księżyca dostrzegł, albo tak mu się zdawało, odległy zarys samolotu.

Stała przy nim. Była bosa, nie słyszał, jak nadchodzi. Miała na sobie jego koszulę, rozpiętą. Poprzez dym papierosa poczuł mocny zapach jej skóry – zapach ich dwojga, nasienia, płynu i potu wymieszanych w jej wnętrzu – tuż przed tym, jak objęła go od tyłu, przywierając ciepłym i mocnym ciałem do jego ciała.

– Nadlatują – oznajmił.

Jakby ktoś z zewnątrz go usłyszał, nagły błysk oświetlił na kilka sekund wieżę Arsenału. Huk dotarł dwie sekundy później.

– Baza okrętów podwodnych – powiedziała Eva.

– Chcesz zejść do schronu?

– Nie. Chcę tego papierosa.

Podał jej, wciąż przykrywając dłonią ogień, zaciągnęła się dwa razy i oddała mu go. Otworzył okno, by fala uderzeniowa nie wybiła szyb. Było zimno. Stali tak objęci, patrząc na bombardowanie.

– Wojna to wielki spektakl – zauważyła.

– Tak.

Smugi ognia artylerii przeciwlotniczej przesuwają się powoli, teraz przecinały niebo nad Arsenalem niemalże nad samym placem. Huk wybuchu następował prawie po blasku eksplozji. Jedna z bomb upadła gdzieś niedaleko poza polem widzenia Falcó, z grzmotem, od którego

zawibrowały szyby, mimo że okna były otwarte. W tym momencie ukazała się wyraźnie oświetlona nieodległym błyskiem złowieszczą sylwetka samolotu przelatującego nad wieżą Arsenалу.

– Dowalcie im mocno, przyjaciele – szepnęła Eva, patrząc w niebo, jakby się modliła.

Ogień artylerii, bardzo teraz intensywny, ze smugami bomb oświetlających, wzbijających się powoli do nieba, rozjaśnił jej twarz i odbijał się w oczach. Falcó pogłaskał długą nagą szyję, początek biustu, silne ramiona. Potem pomyślał o człowieku, którego zabiła cztery godziny temu, i poczuł się dziwnie. Odbierać życie, dawać życie. Po bezliku pocałunków i uścisków, gdy uznał, że to jej wystarczy, wysunął się, wilgotny i zaspokojony, z jej wnętrza i oparty na gładkim brzuchu opróżnił się tam, tracąc na moment świadomość jak ktoś, kto zanurza się w jamie, przytulnej, głębokiej i ciemnej, ulepionej z zapomnienia i obietnicy pokoju. A ona leżała przez długi czas nieruchoma, dźwigając go na sobie, pokonanego, wyczerpanego, gładząc go po plecach.

Powietrze przeszył głośny świst, zaraz po nim rozbrzmiał donośny huk. Następna bomba spadła nieopodal, tak blisko że odgłos wybuchu i błysk za murem Arsenалу były jednoczesne. Szyby znów zadrżały, lecz nie pękły, za to w pobliżu rozległ się grzechot rozbitego szkła sypiącego się na ulicę. Bomby oświetlające i eksplozje ponownie naznaczyły niebo niczym sztuczne ognie.

– Chodźmy stąd – powiedział Falcó.

Zaciągnął zasłony i wrócili do sypialni przytuleni. Po ciemku. Gdy stanęli przy łóżku, Falcó ucałował włosy kobiety.

– Odechciało mi się spać.

– Mnie też – powiedziała.

9. POPIOŁY W KONSULACIE

Z komina konsulatu unosił się zbyt gęsty dym i Falcó, który zauważył to, wchodząc, napomknął o tym Sanchezowi-Kopenickowi.

– To już nieważne – stwierdził konsul. – Spaliłem prawie wszystko.

Wprowadził go do gabinetu, gdzie puste szuflady i segregatory walały się na dywanie obok kominka pełnego popiołu. Wszędzie zalegały skrawki zetlałego papieru, pokrywając podłogę i meble warstwą czarnego i popielatego pyłu.

– Wyjeżdżam za godzinę – oznajmił konsul. – Przed południem Niemcy uznają rząd Franco.

Oczy miał podkrążone, wyglądał, jakby nie spał całą noc. Falcó zerknął na portret kanclerza Hitlera w ramce na półeczce nad kominkiem. Od pasa w dół wizerunek był poczerniały od dymu i Falcó pomyślał, że konsul zostawił go tam z premedytacją, odczuwając złośliwą przyjemność, widząc, jak się wędzi wśród palonych dokumentów. Przez otwarte drzwi do sąsiedniego pokoju dostrzegł dwie walizki, na nich płaszcz i kapelusz.

– Lądem?

– Morzem. Chcę wyjechać jak najszybciej, bo reakcje tutejszych mogą być nieprzewidywalne... W porcie czeka na mnie motorówka z Deutschlanda.

Falcó uniósł brew zaintrygowany. Wszystko powoli się wyjaśniało. Opadały maski. Deutschland był to potężny niemiecki pancernik; aż do tej chwili Falcó nie wiedział, że operuje na okolicznych wodach. Oznaczało to,

że rząd Rzeszy podchodzi do sprawy poważnie. Zamierza wziąć pod ochronę obywateli przebywających w czerwonej strefie, a przy okazji pokazać zęby. Groźny uśmiech rekina gotowego gryźć już bez kamuflażu.

– Mam coś dla pana – powiedział konsul. – Dobrze, że pan przyszedł.

Zbliżył się do otwartego sejfu umieszczonego w rogu gabinetu – Falcó zauważył na półce lugera – i wyjął kopertę, którą mu podał. Zawierała dwie kartki.

– To ostatnia wiadomość, jaką otrzymałem z Salamanki via Berlin. Trzy godziny temu.

Falcó rzucił okiem na tekst. Był zaszyfrowany. Grupy liter i cyfr. Będzie potrzebował książki kodów i co najmniej pół godziny, żeby to rozgryźć.

– Podejrzewam, że nie będzie już możliwości odpowiedzi – rzucił.

– Podejrzewa pan słusznie. Właśnie zniszczyłem dalekopis. I nie odważę się skorzystać z telefonu.

Z tego samego sejfu wyjął pudełko cygar Partagás. Zostały trzy. Jednym poczęstował Falcó, drugie włożył do ust, a trzecie do górnej kieszeni marynarki, z której wystawał biały rożek chusteczki.

– Tych nie wypali sobie Republika – oznajmił, gdy Falcó podawał mu ogień.

Następnie podszedł do biurka, otworzył szafkę i wrócił z butelką courvoisiera i dwiema szklankami, z których musiał zdmuchnąć popiół.

– Pija pan koniak?

– Pijam to, co się nawinie.

– No to pożegnajmy się w godnym stylu. *Prosit.*

Palili i pili bez pośpiechu. Za oknem na zapierającej dech w piersiach panoramie portu rozłożonego u stóp muru słońce rozświetlało zabudowania,

żurawie i szare sylwetki okrętów wojennych cumujących z tej strony falochronu. W oddali na horyzoncie morskim i za górami zwieńczonymi zamkami zbierały się ciemne chmury.

– Żal mi wyjeżdżać – powiedział konsul. – Trzy pokolenia mojej rodziny mieszkały tu, rozumie pan? Ale czasy nie są dobre... Wie pan, że dziś rano znaleziono koło cmentarza kolejne zwłoki? Zabrali na spacer syna krawca z ulicy Mayor. Ponoć za to, że był falangistą.

Nie okazując cienia emocji, Falcó wypił łyk koniaku. Trunek był starzony i wysokiej klasy. Wzmacniał. A cygaro miało znakomity aromat. Jak to dobrze być żywym, powiedział sobie, palić hawańskie cygaro i popijać francuski koniak, a nie leżeć na białym marmurze kostnicy z tekturową fiszką przywiązaną do wielkiego palca stopy.

– Ciekawą ma pan pracę – zauważył mimochodem Sánchez-Kopenick. – Oczywiście nie zamieniłbym się z panem. Ja przynajmniej posiadam paszport dyplomatyczny.

Falcó wykrzywił usta.

– To niewiele znaczy w Hiszpanii.

– Ma pan rację – przyznał konsul. – Dlatego nie zamierzam ryzykować ponad potrzebę. – Pokazał na popiół w kominku i walizki w drugim pokoju. – Za kilka godzin, jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę oglądał, jak to mówicie, byki z drugiej strony bariery.

– Zazdroszczę panu. Naprawdę.

Konsul rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, jakby nie był pewien, że Falcó rzeczywiście mu zazdrości.

– Kiedy rozszyfruje pan wiadomości, które panu przekazałem? – zagadnął po chwili.

– Gdy wrócę do pensjonatu.

Dyplomata posłał mu uśmiech, porozumiewawczy i znużony.

– Nie robi pan sobie chyba złudzeń co do ich tajności, prawda? Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że przeszły przez Berlin...

– Jasne, że nie. – Falcó spojrział na niego z nagłym zainteresowaniem. – Może mi pan coś podpowiedzieć?

– Oficjalnie nie wiem nic. Tak naprawdę nawet nie przekazałem panu żadnej wiadomości.

– Może pan pominąć tę część. Ten prolog. Przyda mi się informacja o tym, co pan wie.

Sánchez-Kopenick pociągał cygaro w zamyśleniu. W końcu podjął decyzję.

– Pojutrze, godzinę i piętnaście minut po północy, Deutschland ostrzela port Alicante, stację kolejową i zbiorniki Campsy. Przy okazji, jakby przypadkiem, pośle jakiś pojedynczy pocisk w okolice więzienia. Wystarczający, żeby nikt nie wystawił nosa przez dłuższą chwilę.

Falcó zapytał o oficjalny powód tych jawnie wrogich działań i konsul udzielił mu wyjaśnień. Otwarcie ognia będzie przedstawione jako odwet za akty przemocy godzące w interesy Rzeszy, które z całą pewnością zaistnieją na terytorium Republiki po ogłoszeniu, że Niemcy uznają rząd generała Franco. Z raportów Abwehry wynikało, że szykuje się atak na ambasadę niemiecką w Madrycie, gdzie znajdowało się pół setki hiszpańskich uchodźców. W tym momencie trwa ewakuacja personelu dyplomatycznego.

– A co z uchodźcami? – zainteresował się Falcó.

Konsul uśmiechnął się posepnie. Sposób, w jaki podniósł szklanę, przypominał toast na stypie.

– Nie chciałbym być jednym z nich. Pan też nie. Nie ma jak ich stamtąd wydostać. Poza tym nie można wykluczyć, że w ambasadzie znajdzie się broń i materiały wywrotowe.

Falcó spojrział na pistolet w otwartym sejfie.

– Czyli przechodzicie z wątpliwej neutralności do niewątpliwego stanu wojny...

– Mniej więcej. I jeszcze jeden szczegół ważny dla pana. Nasz konsulat w Alicante także jest w trakcie ewakuacji.

– To było do przewidzenia.

– Nic tam nie możemy dla pana zrobić.

– Jasne.

– Otóż tyle mogłem panu powiedzieć.

W ciszy, jaka zapadła, pociągali cygara i sączyli koniak. Falcó przyglądał się podwędzonemu portretowi Führera. Wcześniej czy później, pomyślał z fatalizmem właściwym jego zimnej naturze, wszystko trafia szlag. Kominki pełne popiołów i opróżnione skarbce. Ciała porzucone w rowach i pod murami cmentarza. Wówczas nastawała pora ludzi takich jak on. Wilków. I owiec. W tych czasach bycie wilkiem stanowiło jedyną gwarancję przeżycia. A i to nie zawsze. Dlatego przydawało się dyskretne bure umaszczenie. Pomagało przeżyć. Poruszać się niezauważenie w nocy i we mgle. Poczul się nagle kruchy i zapragnął wrócić do mgły, z której go wyrwano. Zbyt długo tkwił w czerwonej strefie, zanadto wystawiony na ciosy. Z dreszczem melancholii przypomniał sobie starą maksymę, którą Niko, jego dawny rumuński instruktor – z polecenia Admirala w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym Falcó spędził miesiąc w Târgu Mureș, tajnym obozie Żelaznej Gwardii, na szkoleniu obejmującym naukę sabotażu i zabijania – ujął w trzech lapidarnych zdaniach i którą nazywał „kodeksem skorpiona”: patrz powoli, kłuj szybko i uciekaj jeszcze szybciej.

– Rozumiem – powiedział. – Czyli atak na więzienie odbędzie się jutro w nocy pod osłoną ognia Deutschlanda... Czy wie pan coś jeszcze?

Konsul wzruszył ramionami.

– Tylko to, że między jedenastą a dwunastą w nocy torpedowiec Kriegsmarine Iltis podpłył do brzegu, by wysadzić komandosów, i przed świtem będzie czekał na nich w umówionym miejscu. Tam znajdzie pan szczegóły – wskazał na kieszeń, do której Falcó schował zaszyfrowane wiadomości. – Jeśli pojawi się coś jeszcze w ostatniej chwili, przekażą to panu szyfrem za pośrednictwem Radia Sewilla, jak sądzę. Przyjaciele Felixa, jak pan wie.

Falcó zerknął na zegarek. Pora iść. Od dłuższej chwili.

– Dzięki za wszystko – powiedział, odstawiając szklanę na stół.

Konsul spojrzał koso na osmalonego Führera, a potem na Falcó.

– Wykonuję tylko moją pracę.

– Niektóre prace są trudne do wykonania.

– Pańska trudniejsza niż moja. Życzę panu powodzenia, szanowny przyjacielu.

– Ja panu również, panie konsulu.

Sánchez-Kopenick machnął ręką z rezygnacją.

– Będę zadowolony, jeśli tylko wejdę bez problemów na łódź, która czeka na mnie w porcie. W pana przypadku potrzebne będzie coś więcej niż powodzenie. – Wskazał na lugera w sejfie. – Czy może się panu przydać? To świetna broń, pamiątka rodzinna, ale nie mogę zabrać jej ze sobą. A wkurza mnie myśl, że trafi w ręce któregoś z tych proletariackich bohaterów na tyłach...

Falcó zastanowił się szybko. Miał swojego browninga dziewięć milimetrów w kieszeni kurtki, ale luger to była wspaniała wojenna broń. Znakomita do akcji, na którą się szykował.

– Tego nigdy za wiele – przyznał.

– Należała do mojego wuja, używał jej pod Verdun. Za pozwoleniem. Magazynek jest naładowany.

Poszedł po pistolet, po drodze wyjął z szuflady pudełko z nabojami. Jedno i drugie wręczył Falcó. Samopowtarzalny P08 Parabellum kaliber 9 mm z drewnianą rękojeścią. Broń ciężka i surowa, stwierdził. Złowrogo piękna.

– Niech pan się postara, żeby jej panu nie...

Sánchez-Kopenick urwał w pół zdania, gdy jego oczy napotkały ironiczny wzrok Falcó. Ów bez słowa, z cygarem w zębach, wsunął lugera za pas z tyłu pod kurtkę, a pudełko z amunicją schował do kieszeni. Zapiął zamek. Jeśli mnie zatrzymają z tym wszystkim, co mam przy sobie, pomyślał, z zaszyfrowanymi wiadomościami, fałszywymi dokumentami, dwoma pistoletami i amunicją, czekają mnie więcej niż poważne problemy.

– Jest pan zapewne świadom faktu, że od tego momentu nie ma pan bezpośredniego kontaktu z Salamanką – dorzucił konsul. – Jest pan zdany wyłącznie na siebie.

– To normalne – odparł Falcó.

Okręgowe więzienie w Alicante było masywnym kompleksem złożonym z kilku budynków i murów obrzuconych wapnem. Część frontowa miała trzy kondygnacje. Z tyłu znajdował się wysoki mur z budkami strażników, po obu bokach małe ogródki zabezpieczone metalowymi kratami. Zakład mieścił się na obrzeżach miasta w otoczeniu drzew u wylotu drogi do Ocañii.

– Nie zatrzymuj się – powiedział Falcó.

Prowadził Ginés Montero. Hispano-suiza przesunęła się powoli wzdłuż gmachu, a Falcó przyglądał mu się badawczo i notował w pamięci wszystkie detale. Drewniana budka, dwóch milicjantów, zamknięta brama. Każdy strażnik miał na ramieniu mauzera.

– Noszą chustki FAI – zauważył Falcó.

– Tak. Funkcjonariuszy zastąpiono zaufanymi milicjantami. To komplikuje sprawę.

– Mają jakieś doświadczenie bojowe?

– Żartujesz. Ciury i dekwownicy.

– To jakaś pociecha.

Objechali budynek boczną drogą pod osłoną drzew, po czym wrócili na szosę.

– José Antonio siedział ze swoim bratem w celi numer dziesięć w pierwszym korytarzu – wyjaśnił Ginés. – Ale kilka dni temu przeniesiono go do celi jednoosobowej na parterze. Ścisła izolacja.

– Jesteśmy w stanie dotrzeć tam, nie burząc połowy więzienia? Nie możemy wyważać wszystkich drzwi...

– Myślę, że tak. Że jesteśmy w stanie. Od strażnika, który jest jednym z naszych, dostaliśmy woskowe odciski, więc mamy klucze do korytarza i do celi.

Falcó odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na oddalający się budynek.

– Rzecz w tym, by dotrzeć do więźnia, zanim strażnicy zabiją go, jeśli się zorientują, że chcemy go uwolnić.

– Sądzę, że zdążymy – uspokoił go Ginés. – Pod warunkiem że komandosi Fabiana Esteveza będą działać szybko.

– Po to przybywają. Żeby działać szybko.

Falangista prowadził przez chwilę w milczeniu. Potem spojrział dwa razy z ukosa na Falcó, za trzecim razem odezwał się:

– Poznałeś Fabiana?

– Rozmawialiśmy przez chwilę.

– To niezły gość. Stara koszula, z początków historii. Jeden z niewielu towarzyszy z tamtych czasów, którzy żyją i nie siedzą w więzieniu. – Jego

ton zdradzał najwyższy podziw. – Cari i ja poznaliśmy go w Murcji na mityngu w teatrze Romea... Przez jakiś czas formował drużyny Lewantu. I najwyraźniej jest świetnym żołnierzem.

– Tak. Tak mówią.

– Chętnie znowu go zobaczę... A jeśli wszystko dobrze pójdzie, zabierzemy się z wami. Cari, Eva i ja.

– A co z waszą matką?

– Pojedzie do rodziny do Lorki. Tak naprawdę wyjeżdża tam już jutro, bo potem Troja stanie w ogniu. Czerwoni rozwalą wszystko.

– Masz to jak w banku.

Montero zredukował bieg. Zbliżali się do centrum miasta.

– Wejdiesz z nami do więzienia w czasie ataku? – zapytał.

– Wciąż jeszcze nie wiem. – Falcó nie odpowiedział od razu. – To zależy.

– Od czego?

– Czy będzie trzeba, czy nie.

– Nie podnieca cię ta przygoda?

– Ani odrobinę.

– Nie rozumiem cię. To największa rzecz, na jaką ktokolwiek kiedykolwiek się poważył.

– Taa... Skręć w lewo.

– Co?

– W lewo. Tak unikniemy kontroli.

Ginés skręcił w boczną ulicę; przy głównej, gdy jechali w tamtą stronę, na posterunku UGT zażądano od nich dokumentów. Obyło się bez problemów, ale lepiej nie kusić losu.

– Rozmawialiśmy o tobie – powiedział po chwili młody człowiek.

- Kto?
- Cari i ja. Eva też. Doszliśmy do wniosku...
- Nie interesują mnie wasze wnioski.
- Cóż... Słuchaj, jesteśmy drużyną. Zespołem.
- Wy jesteście zespołem. Trzyosobowym. A ja jestem chwilowo jego dowódcą. To wszystko.

Ginés nie dawał za wygraną. Przełknął ślinę.

- Ta sprawa tamtej nocy, z... No wiesz. Z Juanem Portelą... To nas trochę złączyło, nie wydaje ci się?

Falcó spojrzał na niego surowo.

- Naprawdę myślisz, że zabicie kogoś łączy zabójców?
- Są rzeczy...
- Nie wkurwiał mnie. – Falcó zapalił papierosa. – Bądź tak dobry, co? Prowadź swoją wojnę, uratuj José Antonia i uratuj Hiszpanię przed marksistowską hordą, jeśli ci się uda. Ale nie wkurwiał mnie.

Po powrocie do centrum zostawili samochód pod palmami przy Explanada de España. Eva i Cari czekały na nich w ogródku włoskiej lodziarni nieopodal filii Banco Hispano Americano. Podczas gdy Falcó i Ginés Montero oglądali więzienie, one poszły zobaczyć zbiorniki Campsy – jeden z celów Deutschlanda następnej nocy – przy alei Loring naprzeciwko dworca Murcia.

- Zapłoną miliony litrów ropy – oznajmiła cicho Cari z satysfakcją w głosie. – Rzeczywiście czerwoni będą mieli niezłą zabawę.

Kobiety popijały wodę jęczmienną, mężczyźni zamówili po małej butelce piwa. Było wczesne popołudnie. Chmury zakrywały część nieba, ale chwilami świeciło słońce i panowała przyjemna temperatura.

- Jaki jest plan na teraz? – zagadnęła Eva.

Wszyscy spojrzeli na Falcó. Miał czapkę zsuniętą na nos. Upił łyk ze swojej szklanki i zerknął na zegarek.

– Trzeba rzucić okiem na miejsce lądowania.

– Możemy zrobić to jutro – powiedział Ginés. – Wolę teraz. Jest jeszcze dostatecznie jasno.

– To dziewięć kilometrów – zauważyła Cari. – Pół godziny do plaży i tyle samo z powrotem. O ile nie zatrzymają was na posterunku kontrolnym. Jeden jest na pewno przy lotnisku Air France w El Altet.

– Można pojechać boczną drogą – powiedział jej brat. – Tą samą, którą pojedziemy jutro z komandosami.

– Transport potwierdzony? – zapytał Falcó.

– Tak. Ciężarówka i dwa samochody. Wystarczy. Godzinę wcześniej zajmiemy stanowiska między sosnami, w ukryciu.

Falcó dopijał piwo zamyślony. Spod daszka czapki jego oczy, jak zwykle czujne, szukały niepokojących oznak. Lustrowały ludzi przechodzących bulwarem, sprzedawców kalmarów, tropicieli niedopałków, pucybutów z anarchistycznymi apaszkami na szyi i flagą republikańską wymalowaną na skrzynce – proletariat też lubi, by mu pucowano buty – kiosk z prasą, z przyczepionymi klamerkami dziennikami „Diario de Alicante” i „El Luchador”. Na fasadzie kawiarni Central wisały dwa ogromne portrety Lenina i Marksa, a witryny sklepów zaklejono plastrami na krzyż, by chronić przechodniów przed odłamkami szkła w razie bombardowania.

– Nie pojedziemy we czwórkę – powiedział. – Za bardzo zwracalibyśmy uwagę.

– My we dwóch? – zasugerował Ginés.

– Lepiej ja – zaproponowała Eva. – Para pod sosnami będzie wyglądała bardziej naturalnie.

Powiedziała to tonem pozbawionym emocji. Beznamiętnym. Falcó przechwycił szybką wymianę spojrzeń między Ginesem a Cari. Może coś podejrzewają, pomyślał. Dla zmylenia przeciwnika on i Eva zameldowali się dziś w hotelu Samper jako para. Może rodzeństwo, które nocowało w domu kogoś z rodziny, domyślało się, co zaszło ubiegłej nocy w Kartagenie, a może sama dziewczyna opowiedziała o tym przyjaciółce, choć nie wyobrażał jej sobie zwierzającej się z takich rzeczy. Jego instynkt podpowiadał mu, że to nieprawdopodobne. Tak czy owak, to już nie miało znaczenia. Na tym etapie.

– Dobrze, pojedziemy Eva i ja – postanowił.

– Musicie wrócić na dziennik narodowy – przypomniał Ginés, ścisząc głos. – Bardzo możliwe, że będzie jakaś wiadomość dla nas.

Dyskutowali przez chwilę; stanęło na tym, że spotkają się wieczorem, dyskretnie, na zapleczu antykwariatu przy ulicy Angela Pestañii. Właściciel był krewnym Monterów i sympatykiem Ruchu – dziewiętnastego lipca zastrzelili mu brata karlistę – to w jego domu zamieszkało rodzeństwo. Włączą Radio Sewilla i posłuchają, czy po nocnej audycji generała Queipo de Llano kwatera główna Franco nada jakąś wiadomość dla przyjaciół Felixa.

– Cieszę się na myśl, że José Antonio jest bardzo blisko – powiedział Ginés. – Sam, w swojej celi, nie wiedząc, że jutro w nocy my, jego koledzy, przyjdziemy go uwolnić.

Ton młodego mężczyzny był pełen emocji. Brzmiały w nim odwaga, a zarazem wzruszenie. Jego oczy błyszczały, gdy spoglądał na Evę i swoją siostrę. Ale ten ton i to spojrzenie zirytowały Falcó. Do tego, co mieli przedsięwziąć nazajutrz, nie był potrzebny entuzjizm, lecz zimna krew. W takich sprawach, powiedział sobie po raz kolejny, emocje zabijają. Prawie zawsze.

– Wolę, żebyś myślał o tym, co nas czeka. Co mamy do zrobienia.

– Ustaliliśmy wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Zajmowałem się tylko tym przez ostatnie kilka dni.

– To zajmuj się dalej. Na pewno zostało coś do przemyślenia.

Chłopak spojrzał na niego z urazą.

– Tobie nigdy nie zostaje nic do przemyślenia?

– Nigdy.

Falcó odchylił się na oparcie krzesła, obserwując plac i świadomie ignorując milczący wyrzut w oczach Ewy. Zaalarmował go mężczyzna w berecie i popielatej kurtce, który przeszedł dwukrotnie obok nich. Uspokoił się nieco, widząc, że ów oddala się, przeglądając dziennik.

– Ktoś... – skomentował po chwili – ...jakiś Rzymianin albo inny starożytny powiedział, że w sprawach wojskowych nie powinno się potem tłumaczyć „nie pomyślałem o tym”.

Ginés wziął tę uwagę do siebie.

– Pomyśleliśmy o wszystkim – powtórzył. – Nawet, jak ci mówiłem, w piwnicy antykwariatu mamy pistolety, mój rewolwer i skrzynkę granatów Lafitte.

Falcó odwrócił się do niego bardzo poważny.

– Niech wam tylko nie przyjdzie do głowy przechadzać się po ulicy pod bronią. Eva zwróciła swoją. Nie spieprzmy wszystkiego.

Młodzieniec zerknął urażony na kieszeń kurtki Falcó.

– Ale ty owszem, jesteś uzbrojony – wycedził. – Masz jeden pistolet w samochodzie i jeden przy sobie.

Falcó spojrzał na niego twardo.

– Co mam przy sobie, to nie twoja sprawa.

Odwracając wzrok, napotkał oczy Ewy. Na ustach dziewczyny błąkał się leciutki uśmiech.

– Scypion Afrykański – odezwała się nagle.

Falcó zamrugał powiekami, zaskoczony. Wzięty pod włos.

– Co takiego?

– *Turpe est in re militari dicere non putaram* – zacytowała Eva. – To zdanie pochodzi od niego, od Scypiona... „W sprawach wojennych wstydem jest powiadać: »o tym nie pomyślałem«”.

Ginés roześmiał się mściwie. Był zachwycony.

– Eva górą – powiedział.

Plaża była piaszczysta, rozległa, las sosnowy dochodził niemal do brzegu lizanego łagodnymi jęzorami fal. Z jednej strony wznosił się półwysep Santa Pola, z drugiej leżało Alicante, niebieskawe i zamglone. Morze Śródziemne ciągnęło się po horyzont, kobaltowe pod niebem, gdzie chmury na zachodzie zaczynały różowieć.

– Samochód może zakopać się w piachu – powiedział Falcó. – Chodźmy pieszo.

Szli pod rozłożystymi koronami pinii, grzęznąc w miękkim podłożu. Eva zdjęła buty. Miała na sobie szeroką, wygodną spódnicę i bluzkę. Piasek przywierał do jej stóp w podkolanówkach w kolorze dymu.

– To dobre miejsce – przyznał Falcó.

Oceniał wzrokiem przeszkody, niebezpieczeństwa i zalety. Okolica była bezludna, nawet sypiąca się budka karabinierów, którą minęli po drodze, została daleko w tyle schowana za wydmami i drzewami. W mroku nocy niemiecki torpedowiec mógł bezkarnie podpłynąć do plaży; ciężarówkę i samochody ukryją między sosnami. Teren ustronny i łatwy do obrony.

– Całkiem dobre miejsce – powtórzył zadowolony.

Eva stała nieco przed nim wpatrzona w horyzont. Morska bryza poruszała jej bluzkę, odsłaniając szyję. Falcó przyjrzał się wygolonym włosom na karku, nieprzebitym płatkom uszu, gładkiej skórze i ciału chowającym się pod bluzką. Wszystko tchnęło fizyczną tężyzną. Wigorem. Przypomniawszy sobie to muskularne, nagie ciało osłabione długimi chwilami rozkoszy, mięśnie rozluźnione pod jego pieszczotami, impulsy, które nią targały raz po raz, gdy obejmowali się w łóżku, a za oknem wybuchały frankistowskie bomby, błyski ognia obrony przeciwlotniczej, pamiętał wycie syren, kiedy wreszcie wszystko ustało, oboje leżeli nieruchomi, wyczerpani, on na niej, czując pot uwięziony między jedną skórą a drugą, ręka dziewczyny przez moment głaskała go po plecach, ale szybko przestała i zsunęła się na bok, znieruchomiła na pomiętej pościeli i nie dotknęła go więcej, aż przyszedł sen i reszta nocy.

– Masz blizny – powiedziała Eva.

Spojrzał na nią zdziwiony. Odwróciła się ku niemu, wiatr nadal rozdymał cienkie płótno jej bluzki. Odsłaniało skrawek piersi, okrągłych, jędrnych, wyglądających na ciepłe. Falcó poczuł, że powraca fizyczne pożądanie, ale odesłał je natychmiast w ten zakątek siebie, gdzie nie zakłócało trzeźwości umysłu. Jasności potrzebnej do działania. Miał w tym praktykę.

– Co proszę?

– Blizny – powtórzyła bardzo spokojnie. – Na ręce i na nodze. Zauważyłam je.

Kasztanowe oczy lustrowały go. Bardziej z uwagą niż z ciekawością. Falcó wykonał wymijający gest.

– Miałem burzliwe dzieciństwo – powiedział bez namysłu.

– Wśród nożowników? Ta na prawym udzie jest chyba od noża.

Uśmiechnął się lekko. Właśnie tak, przypomniał sobie. Rok dwudziesty dziewiąty w drzwiach hotelu Metropole w Złotych Piaskach, bułgarski płatny zabójca był zaledwie o trzy centymetry od tętnicy; rzecz dotyczyła nielojalnej konkurencji przy staraniach o zamówienie na dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów w czeskiej firmie Tecnoarma.

– Byliśmy niebezpiecznymi dziećmi.

Patrzyła na niego z powagą.

– Na to wygląda... A druga?

– Jaka druga?

– Na lewym ramieniu.

– Ach, ta.

Falcó nie powiedział nic więcej. Rozejrzał się po plaży, jakby całkowicie pochłonięty inspekcją, i potrząsnął głową, udając skupienie. Nie zamierzał opowiadać jej tutaj swojego życia, choć ta historia z lewym ramieniem o mały włos zakończyłaby je, gdyby nie wylizał się z zakażenia, które wdało się w ranę postrzałową w szpitalu w Noworosyjsku, dokładnie trzynastego marca tysiąc dziewięćset dwudziestego, w sam raz, by zwlec się z łóżka i dotrzeć do portu, skąd niedobitki białej armii generała Denikina ewakuowano na Krym.

– Brakuje ci sporego kawałka – oceniła obiektywnie Eva.

Bardzo trafnie. Blizna była duża, bo odłamek wyrwał mu część bicepsa, zniekształcając nieco ramię. Początkowo zawstydzony Falcó starał się nie pokazywać jej nikomu. Nawet w towarzystwie kobiet, gdy tylko było to możliwe, starał się rozbierać w półmroku. Szesnaście lat później przywykł do niej i nie przejmował się. Zwykle szybko zajmował uwagę pań innymi detalami.

– Ugryzł mnie wielki pies.

– Musiał być rzeczywiście bardzo wielki. Chapnął głęboko.

– Żebyś wiedziała.

Tak naprawdę, pomyślał sarkastycznie, nie mijał się całkiem z prawdą. Wspominał tę ranę jak ukąszenie. Pochodziła od odłamka szrapnela, który wybuchł w porcie w chwili, gdy Falcó ładował skrzynki z karabinami na parowiec Turas. Potem nastąpiło jedenaście dni między życiem a śmiercią na szpitalnym sienniku wśród umierających z powodu ran i na tyfus, pełne przerażenia krzyki „na statek, kto może, nadchodzą czerwoni!”, bieg resztkami sił na końcu kolumny w lodowatym wichrze i czarnym dymie pożarów wśród nieużytych dział, przewróconych wagonów kolejowych, rozerwanych walizek, koni ciągnących resztki połamanych furgonów, aż dopadli pokładu Korniówa.

– Dlaczego to robisz? – zapytała Eva.

Falcó zastanowił się przez moment.

– Bo to mi dobrze wychodzi – odparł w końcu.

– Od kiedy ci dobrze wychodzi?

– Czy ja wiem... Chyba od zawsze. Od początku.

– A jaki był początek?

– Też nie wiem. Może jakiś statek przepływający w oddali. Może książka o podróżach albo przygodach. Zapomniałem.

Nastała długa cisza. Tylko szum wody na brzegu.

– Nie wierzysz w to, prawda? – odezwała się. – W to, co robisz.

– A w co miałbym wierzyć? – Falcó zaśmiał się nieprzyjemnie. – W kilku generałów wezwanych przez Boga do uratowania Hiszpanii przed marksistowską hordą? W Republikę, proletariacką, dobrą i uczciwą, która broni swej wolności...? To zostawiam wam. Dzieciakom, które mają wiarę.

– Ty nic nie wiesz o mojej wierze. – Dziewczyna patrzyła w morze, na chmury coraz czerwieńsze i ciemniejsze, zbierające się na horyzoncie. – Mam powody – dodała cicho. – Wielorakie.

Falcó machnął obojętnie ręką.

– Tak czy owak, twoja wiara i twoje wielorakie powody nie interesują mnie – stwierdził. – Potrzebuję tylko tego, żebyście działali skutecznie, ty i reszta.

– Skuteczność, to tylko się liczy?

– A niby co innego miałyby się liczyć?

Patrzyła na niego bardzo poważnie. Zauważył, że przygląda się jego oczom, ustom i rękom.

– Powiedz mi jedno, Rafael, czy jak tam naprawdę masz na imię... Czym właściwie jest dla ciebie to wszystko?

– Myślałem, że to jasne od samego początku: pracą.

– A czym jestem ja?

– Najlepszą częścią tej pracy.

Eva nie spuszczała z niego badawczego wzroku.

– W nocy obserwowałam cię, kiedy spałeś – powiedziała. – Albo udawałeś, że śpisz.

– Wiem. Zorientowałem się.

– Ja też udawałam, że śpię. Nawet kiedy wstałeś po cichu i krążyłeś po pokoju jak bezsenny wilk... Widziałam czerwone punkciki twoich papierosów obok okna w mroku. Blask na twojej twarzy, kiedy je zapalałeś.

– Ja słuchałem twojego oddechu. Rytmicznego, kiedy spałeś, nierównego, kiedy nie spałeś.

– Para aktorów w ciemności.

– Tak.

Po tych słowach znów zapadła cisza. Dziewczyna była nadal bardzo poważna. Jest w niej coś twardego, zrozumiał Falcó. Była z innej gliny niż rodzeństwo Monterów. Zupełnie inna niż oni, i to nie tylko pod względem

fizycznym. Dokonana z zimną krwią egzekucja Juana Porteli wystarczyłaby, żeby to wykazać, ale Falcó i tak zauważył pewne oznaki już wcześniej. Tkwiło w Evie Rengel coś solidnego i mrocznego, co rozpoznawał z łatwością, ponieważ sam był ulepiony z tego samego materiału. Wiedział, że kilka godzin temu obejmował zagadkę, i zrozumiał, że zdawała sobie sprawę z tego, że to zauważył. Nawet gdy się kochali, nie oddała się do końca z wyjątkiem kilku momentów, za każdym razem natychmiast odzyskując kontrolę nad sobą. Jakby powiedział Admirał – podsumował Falcó, uśmiechając się sarkastycznie w duchu – była jak oni sami, z jego kasty, bez wątpienia. To zimne wykorzenienie. Jedna z naszych.

– Evo... Twoja przeszłość zaczyna się na długo przed tą wojną, prawda?

Dziewczyna wytrzymała jego spojrzenie nieruchomo, nawet nie mrugnawszy powieką. Bez słowa. Potem przesunęła wzrok na morze, a on musiał powściągnąć się, by nie pocałować nagiej szyi w miejscu, które odsłaniała bluzka poruszana wiatrem. Ponownie poczuł, tym razem bardzo gwałtownie, falę fizycznego pożądania i rozpaczliwie zapragnął przewrócić ją na piasek, na sosnowe igliwie, rozsunąć uda i powrócić do jej wnętrza, wilgoci, delikatnego ciepła i pulsowania rozgrzanego ciała – ubiegłej nocy poczuł rytm jej pulsu na swoim penisie – wejść raz jeszcze w poszukiwaniu pociechy, spokoju i zapomnienia, w to ciało tak twarde i tak mocne.

– Ja nie mam przeszłości – powiedziała po chwili.

– Zbudowałaś ją sobie wczoraj w nocy.

Miał na myśli Juana Portelę klęczącego przed nimi, wystrzał, ciało osuwające się na ziemię. Wiedział, że dziewczyna rozumie, o czym mówi.

– Nic nie poczułam – usłyszał jej słowa.

Ton był beznamiętny. Niemal obojętny. Nadal wpatrywała się w morze.

– Myślałam, że coś poczuje – dorzuciła. – Ale myliłam się. Poczulałam później, przy tobie... Te wybuchy na zewnątrz i my.

Zamilkła i poruszyła głową, jakby chciała wytrząsnąć z niej myśli, które nie pozwalały znaleźć odpowiedniego słowa.

– Tak żywi – szepnęła w końcu.

– Mogący umrzeć w każdej chwili, chcesz powiedzieć.

– Tak. Właśnie.

Była bardzo ładna, pomyślał. Wyjątkowo piękna w słonej bryzie. Przysunął usta do jej ust, całując je delikatnie. Ale ona pozostała zimna i nieruchoma, nie rozchyliła warg.

– Nigdy wcześniej nikogo nie zabiłam – powiedziała, kiedy Falcó odsunął twarz.

Wpatrywała się uporczywie w morze. Trzymała buty w ręce, a podkolanówki z przezroczystego jedwabiu na jej bosych nogach były obsypane złotym piaskiem niby drobinami złota. Pożądanie Flacó wzmoгло się. Położył ręce na jej biodrach.

– Teraz nie – powiedziała.

Nie posłuchał. Do diabła ze wszystkim, mówił sobie. Nie wiem, jak długo jeszcze pożyję, a ona jest tutaj. W moim zasięgu. To nagroda za moje strachy i ryzyko. Moja premia za to, że wciąż jestem żywy. Przycisnął ją więc do siebie mocniej, pozwalając, by wyczuła, jak pilne jest jego pragnienie. Broniła się przez chwilę, potem uległa, powolna jego ciału, oddając mu się posłusznie. Kiedy spojrział w jej oczy, zobaczył w nich tylko kompletną pustkę, ale było mu to obojętne. Całkowicie. W tym momencie tak. Przytrzymując ją jedną ręką, drugą podniósł spódnicę. A wówczas cofnęła się.

– Poczekaj. Tak nie... Czekał.

Uklęła przed nim bardzo powoli, z tym samym spokojem co przedtem. Irytująco powolnie. Wypuściła z ręki buty, rozpięła mu spodnie. Członek wynurzył się nabrzmiały, gotowy, popieściła go delikatnie wargami. Potem odsunęła się, podniosła twarz, spoglądając na Falcó obojętnie i masturbowała go chłodno, aż wytrysnął pomiędzy jej palcami z cichym jękiem.

10. DŁUGIE NOCE W SAM RAZ NA ROZMYŚLANIA

Po powrocie do Alicante zostawili samochód na parkingu na tyłach hotelu Samper – z lugerem konsula schowanym pod siedzeniem – obeszlą gmach aż do fasady i poszli piechotą na bulwar. Do godziny policyjnej zostały ponad trzy kwadranse. Miasto było zaciemnione na wypadek bombardowań, niebo czarne i zachmurzone, ulica pełna cieni, a palmy naprzeciwko portu wyglądały jak duchy machające rękami na wietrze. W ciemności przejechał tramwaj, niemal niezauważalnie, zdradzał go tylko terkot kół i iskrzenie na pałkach. Chodnika prawie nie było widać i Falcó ujął Evę pod ramię, żeby się nie potknęła.

– O której godzinie umówiliśmy się z Ginesem i Cari? – zapytała dziewczyna.

– O dziesiątej. A audycja Radia Sewilla kończy się o wpół do jedenastej. Mamy dość czasu.

– Myślisz, że...

Nagle spięty ścisnął jej ramię.

– Cicho.

To jego instynkt wyczuł niebezpieczeństwo, nie zmysły. Przywykły do stałego węszenia wokół siebie niby pies myśliwski zorientował się, że coś nie gra. Najpierw jakiś ulotny cień przesunął się po lewej, potem szmer zbyt szybkich kroków rozległ się za jego plecami. Cienie nagle zrobiły się dwa, jeden rysował się przed nimi na rogu, przecinając im drogę. Poruszał

się prędko, nieco bardziej czarny niż ciemność portu rozłożonego za bulwami i za palmami, gdzie pobliskie morze zatrzymało resztkę światła zmierzchu. Trzech ludzi, oszacował błyskawicznie. Co najmniej.

Gdyby był sam, zachowałby się inaczej: uderzyłby zagradzającego drogę i ruszył biegiem, szukając schronienia albo ratując się ucieczką. Ale była z nim ona. Kobieta, którą wciąż trzymał pod ramię. Dwa odruchy zderżyły się w ułamku sekundy w jego głowie wyszkolonej do reagowania w krytycznych sytuacjach. Jeden, odruch przeżycia, drugi, ochrony kobiety. Przekląłby ten drugi, gdyby tylko zdążył, ale nie miał chwili do stracenia. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Jego umysł był czysty i jasny, a on sam gotowy do walki; puszczać rękę dziewczyny, poczuł, jak spinają mu się mięśnie rąk i nóg. Tylko tyle mógł dla niej zrobić.

– Uciekaj! Biegnij, biegnij!

Zatrzymać ich na moment, potem też zerwać się do biegu, taki był plan. Zadbać o siebie. Kopnął prawie na oślep w najbliższy cień – poczuł mocny opór i usłyszał stłumiony pomruk – po czym rzucił się na ten, który nadchodził po lewej, uderzył najpierw pięściami, cztery razy z rzędu, cios za ciosem, sięgnął do kieszeni po browninga. Zamierzał – tak naprawdę był to odruch – chwycić go, odbiec kawałek, odwrócić się, strzelić w biegu do napastników i biec dalej. Rzecz przećwiczona sto razy i kilkakrotnie wcielona w życie. Ale nie zdążył wyciągnąć broni. Kroki, które zbliżały się od tyłu, dotarły do jego pleców i opasały go mocne łapska, unieruchamiając niemal całkowicie. Napastnik był korpulentny, oddychał ciężko, czuć od niego było zapach potu i tytoniu. Falcó szarpał się gwałtownie, podniósł nogi, kopniakiem w mur sprawił, że obaj runęli na bruk, gdzie wciąż próbował wydobyć broń. Ale następny cień skoczył na niego, potem jeszcze jeden. Trzymali go mocno za ramiona i szyję, a kiedy wreszcie udało mu się wyciągnąć z kieszeni pistolet, wytrącili mu go z rąk.

– Przestań się szarpać, draniu! – warknął chropowaty głos.

Rozluźnił nagle mięśnie, jakby uznał się za pokonanego. Stary trik, podstawowe szkolenie. Napastnicy zwolnili odrobinę uścisk, na tyle by nagłym, mocnym zamachem uwolnił rękę, ścisnął ją w pięść i rąbnął w miejsce, gdzie jak obliczył, powinna znajdować się twarz najbliższego mężczyzny. Rozległ się głuchy odgłos, nieprzyjemne chrupnięcie w kłykciach i okrzyk bólu.

– Skurwysyn...! Wybił mi zęba...! Cholerny skurwysyn!

Potężny cios w czaszkę wypełnił ciemność świetlistymi punkcikami, które iskrzyły się w szalonym tempie przed jego oczami. Błony bębenkowe zawibrowały jak skóra werbla. Uderzyli go czymś ciężkim, pomyślał, może skórzaną pałką albo czymś w tym rodzaju. Przewyciężając ból, zadał na oślep jeszcze jeden cios, który tym razem trafił w pustkę, po czym te same ręce przytrzymały go, a ucisk wokół szyi stał się tak nieznośny, że uznał, iż zaraz się udusi. Otwartymi ustami próbował złapać powietrze. Chciał się bić, ale był teraz całkiem unieruchomiony. Pałka, czy cokolwiek to było, trzasnęła znowu w jego czaszkę, wywołując kolejny wybuch światełek.

– Faszystowski skurwiel... Walnij go jeszcze raz, kurwa. Mocno.

Zadudniło. Trzeci cios sprawił, że ogarnęły go gwałtowne mdłości. Leżał nieruchomy, spłaszczony, na bruku, twarzą w dół, a wszystko wokół niego wirowało. Nie mógł już nic zrobić, więc poddał się z rezygnacją, ze smutkiem, jak ktoś, kto osuwa się w głąb bezdennej, mrocznej studni. No i to byłoby na tyle, stwierdził. Szczęśliwej podróży. Zanim zemdlał, zdążył jeszcze pomyśleć o trzech rzeczach: że ci ludzie chcą go żywego, że ampułka z cyjankiem jest w fiolce kopiryny zbyt daleko od rąk i ust i że Evie Rengel być może udało się uciec.

Kiedy się ocknął, głowa bolała go tak, jakby wbijano w nią wszystkie widły piekła. Krew łomotała w skroniach w tempie szalonym i nie do zniesienia. Siedział na krześle z wysokim oparciem, przywiązany doń drutem za szyję – co unieruchamiało mu głowę – oraz za kostki rąk i nóg, nagi od pasa w górę, w pomieszczeniu o pobielonych ścianach pozbawionym dekoracji i mebli, nie licząc przewodów elektrycznych rozpiętych na izolatorach na gołym murze naprzeciw niego z ciemnymi plamami prawie na wysokości podłogi i drewnianego stołu, pod którym leżały jego koszula i kurtka zwinięte w kłębek. Na blacie zobaczył swoje dokumenty i browninga. Naga żarówka, bez klosza, kilkuwatowa, zwisała z sufitu, wypełniając pomieszczenie ponurym, żółtawym światłem i oświetlając łysą głowę człowieka stojącego przy stole.

– Budzi się – oznajmił ów.

Za plecami Falcó gruchnął śmiech, krótki, mokry, przypominający warknięcie zadowolonej bestii. Nie widział człowieka, który się zaśmiał, a ten przed nim był niski i gładko ogolony. Światło padające z góry sprawiało, że łysina błyszczała otoczona kręgiem włosów, czarnych i gęstych. Brwi też były gęste, co potęgowało cień w jego oczach, które lustrowały więźnia z ciekawością.

– Umie się bronić – powiedział głos z tyłu.

Brzmiała w nim źle skrywana uraza i Falcó uznał, że to jeden z ludzi, którzy rzucili się na niego na ulicy. Może ten od wybitego zęba. To raczej nie będzie przyjemne, westchnął w duchu. Jeszcze raz zganił się za to, że nie zdążył rozgryźć ampułki z cyjankiem. Cześć, chłopaki. Sprawa byłaby zakończona raz na zawsze, a on oszczędziłby sobie tego, co niechybnie miało nadejść. Tak czy owak, fiolka z kopiryną nie leżała na stole, zauważył. Ci goście uznali ją pewnie za niegroźne lekarstwo i zostawili w kieszeni kurtki rzuconej na ziemię. I został mu jeszcze jeden środek – na

niego samego lub na innych – gdyby nadarzyła się okazja: brzytwa ukryta w pasku, którego mu nie zabrali.

– Pogawędzimy sobie teraz – powiedział łysy, podchodząc.

Miał podwinięte rękawy koszuli i ręce oprawcy. Falcó napiął mięśnie w oczekiwaniu na pierwszy z nowej serii ciosów, ale ów nie nastąpił. Mężczyzna nachylił się ku niemu i przyglądał mu się z bardzo bliska.

– Oszczędź sobie tego, że nazywasz się Rafael Frías Sánchez i jesteś przydzielony do DCA w Kartagenie... Przed chwilą rozmawialiśmy z twoimi domniemanymi przełożonymi i nikt cię tam nie zna.

– To jakaś pomyłka – powiedział Falcó spokojnie. – Ja naprawdę nazywam się Rafael Frías.

– Gównu prawda. Zresztą nawet gdybyś tak się nazywał, to powiedz mi, co robi artylerzysta z La Guía w Alicante, sto kilometrów z okładem od swojej jednostki.

– Mam tu rodzinę.

– Taa... I w odwiedziny do rodziny jedziesz z pistoletem.

Nie mogąc poruszyć głową, Falcó wskazał na stół gestem i spojrzeniem.

– Tam jest moje pozwolenie na broń.

– Widziałem. Poza tym opowiedzieli mi, jak broniłeś się podczas zatrzymania.

– Nie wiedziałem, kim jesteście. Dalej nie wiem.

Mężczyzna zaśmiał się posępnie.

– Chcesz wiedzieć, kim jesteśmy? No cóż. Oczywiście nie tymi pajacami anarchistami z ich łachmyciarskiego wojska. Jesteśmy poważnymi ludźmi nie lubiącymi żartów. Prawda? – Wyprostował się, żeby popatrzeć na człowieka, który stał za plecami Falcó.

– Całkowita prawda – potwierdził tamten.

Łysy pokazał na przedmioty leżące na stole.

– W klapie kurtki masz znaczek partii, a w portfelu legitymację Zrzeszenia Milicji Lewantu. To oznacza dwie możliwości: albo jesteś towarzyszem, albo podajesz się za niego.

– Jestem komunistą. Tak jak wy.

Łysy westchnął znudzony.

– Słuchaj, Rafael, czy jak się tam nazywasz. Nie wiem, czy jesteś komunistą, ale jedno, czego możesz być pewny, to że nie jesteś taki jak my.

– Śmierdzi piątą kolumną – powiedział ten z tyłu.

– Ja też tak myślę. A tak się składa, że to jest czeka Misericordia... – Łysy odwrócił się do Falcó. – Nie powiesz, że to nie zabawne, co? Wiesz, co to jest czeka? Otóż jest to miejsce, gdzie w rękach proletariatu niemi mówią, a głuchoniemi śpiewają *La bien pagá* i inne szlagiery. Naszym klientom oferujemy także długie noce w sam raz na rozmyślania. Tak że zaczynaj.

– Zaczynać co?

Przesłuchiowano go już swego czasu w innych miejscach, ale nigdy nie doszło do tortur. Przy różnych okazjach – ostatnio czterdzieści osiem godzin temu – sam prowadził takie przesłuchania. Dlatego wiedział, że prędzej czy później każdy mówi. Wiedział aż nadto. Tylko nieudolność przesłuchującego albo pośpiech obdarzały przesłuchiwanego łaską szybkiej śmierci. Wysilając zatem pękającą z bólu głowę, spróbował przygotować kilka linii obrony. Linii okopów. Ustalił, co może zacząć mówić, począwszy od pewnego momentu, dawkując informacje w jak największych odstępach, o ile będzie w stanie zapanować nad bólem. Ułożył ostatnie argumenty, końcowe kłamstwa, za którymi będzie się krył, zanim zacznie wyjawiać część prawdy. Albo całą. Wszystko zależało od jego wytrzymałości, bo w tym samym czasie będzie usiłował umrzeć jak najszybciej,

doprowadzając swych katów do furii, w nadziei że popełnią błąd, który przy pewnej dozie szczęścia zapewni mu wieczny odpoczynek. Z tym że jeśli oprawcy byli tak skuteczni, na jakich wyglądali, cała historia mogła się bestialsko przedłużyć. A ten przeklęty ból głowy nie pomoże mu ani trochę.

– Co zaczynać, pytasz? – Łysy pokazywał na ścianę. – Widzisz te plamy? Zostawiamy je specjalnie. Żeby tacy spryciarze jak ty mieli wyobrażenie... Wyobrażasz sobie, co się teraz będzie działo?

– Wyobrażam sobie. – Opuścił powieki z rezygnacją, a potem je podniósł. – Ale popełniacie ogromny błąd. Nazywam się Rafael Frías i należę do partii.

– A kobieta?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Kobieta, która szła z tobą i która wzięła nogi za pas.

Falcó spróbował ukryć ulgę.

– Nikt ze mną nie szedł.

Łysy podniósł wzrok, spoglądając na człowieka stojącego z tyłu, i w tym samym momencie brutalny cios grzmotnął w prawą skroń Falcó, przebijając błonę bębenkową jakby ostrym narzędziem. Ból głowy stał się nie do wytrzymania, poczuł mdłości, które skręcały mu żołądek. Po trzeciej fali mdłości wyrzucił z siebie strumień żółci – cieszył się teraz, że nic nie jadł od śniadania – który polał się po nagiej piersi, a łysy cofnął się o krok z obrzydzeniem.

– Ale masz tempo, towarzyszu – zauważył z sarkazmem. – Nawet jeszcze dobrze nie zaczęliśmy.

– To jak zaczniecie... – powiedział Falcó, gdy odkaszlnął i złapał oddech – możecie na początek zrobić mi laskę.

Zemdlał jeszcze dwa razy, a mężczyźni czekali, aż się ocknie. Bili go systematycznie po głowie i brzuchu, czasem pięścią, czasem skarpetką wypełnioną śrutem, wówczas ciosy dudniły mu w głowie, jakby wstrząsany mózg uderzał o kości czaszki. Drut wokół szyi wpijał mu się w ciało, nieomal przecinając krtań.

– To początek, towarzyszu – powtarzał łysy. – To dopiero początek.

Zmiękczała go przed tym, co miało nastąpić, choć Falcó już czuł się bardzo miękki. Zbyt miękki. Krew płynąca z nosa miała posmak zardzewiałego żelaza, gdy docierała do jego ust. Drut wpijał się w szyję, nadgarstki i kostki u nóg, kalecząc je. Czuł piekielne mrowienie w dłoniach i stopach nabrzmiąłych od braku krążenia. Ból głowy stał się tak straszliwy, że przebijał ten od ciosów w brzuch, i wielokrotnie musiał krzyczeć, żeby dać upust energii i desperacji uwięzionej w jego wnętrzu przez torturę. W momentach jasności umysłu, w przerwach między uderzeniami pojmował, że jego kaci to zawodowcy, że nie śpieszą się i nie popełniają błędów, i że umieranie zajmie mu znacznie więcej czasu niż by pragnął. Przygotował się zatem do zeznawania, do porzucenia pierwszej linii obrony i okopania się w drugiej. Nie nazywam się Rafael Frías Sánchez. Nazywam się Juan Sánchez Ortiz. Jestem dezertorem z batalionu milicji Czerwone Kule z Lewicy Republikańskiej. Zwiąłem z frontu pod Talaverą. Papiery kupiłem od znajomego.

Ale chwilowo nie było to potrzebne. Mdłości oblały go zimnym potem i zemdlał po raz czwarty. Kiedy odzyskał przytomność, łysy nie stał przed nim. We mgle zalegającej w głowie Falcó dosłyszał szmer rozmowy za swoimi plecami. Kilka głosów deliberowało szeptem. Po chwili pojawiły się przed nim dwie twarze. Jedna należała do łysego, druga do barczystego typu w popielatej marynarce i koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, z górną

wargą opuchniętą i założonymi trzema szwami, który patrzył na niego z urazą.

– To twój szczęśliwy dzień – skomentował łysy.

Typ z rozciętą wargą trzasnął Falcó w twarz, aż zadźwięczało. Potem wyjął z kieszeni marynarki kombinerki, otworzył je, a kiedy przerażony więzień napinał mięśnie w oczekiwaniu na kolejną, jeszcze okropniejszą torturę, przeciął drut wiążący mu szyję. Następnie zrobił to samo z rękami i kostkami. Powrót krwi do zdrętwiałych kończyn sprawił, że z ust Falcó wyrwał się jęk bólu.

– Zabieraj swoje pieprzone manatki i spadaj – powiedział łysy.

Falcó wpatrywał się w niego mętным wzrokiem, nie rozumiejąc. Kiedy wreszcie do jego oszołomionego mózgu dotarło, co się dzieje, odetchnął chrapliwie i spróbował niezdarnie wstać. Jednakże nogi ugięły się pod nim i, mężczyźni musieli go podtrzymać, żeby nie runął na ziemię.

Wlokąc się chwiejnym krokiem w bladym świetle świtu, Falcó trząsł się z powodu zimnego potu, który jeszcze czuł pod ubraniem. Przystanął przed fontanną, wcisnął przycisk z brązu uruchamiający strumień wody i trzęsącymi rękami odszukał fiolkę z kopiryną – ampułka z cyjankiem była na swoim miejscu nienaruszona – wyjął dwie tabletki i połknął, po czym pociągnął długi łyk wody prosto z kranu łapczywie jak zwierzę. Później, opadły z sił, usiadł na chodniku i pozostał tak, nieruchomo, przez długą chwilę, czekając aż kwas acetylosalicylowy i kofeina zaczną działać. Dopiero wtedy, gdy niebo na wschodzie pokryte niskimi chmurami rozjaśniło się, zapalił papierosa i zaciągnął się dymem, czując, że ból głowy opada do znośnego poziomu, a myśli porządkują się po wstrząsie, cierpieniu i strachu ostatnich godzin.

Mogło chodzić o pomyłkę, stwierdził, ale w jego świecie, gdzie życie było ciągłą rosyjską ruletką, słowo „pomyłka” usypiające czujność mogło się okazać śmiertelne. Lepiej nie ryzykować. Przypadkowe zatrzymanie? Zatrzymanie niewłaściwej osoby? Nie znajdował powodów, które by usprawiedliwiły nieoczekiwane uwolnienie przy tak stanowczej postawie oprawców na początku przesłuchania. Może nie mieli na niego nic więcej poza nieprawdziwym przypisaniem do jednostki wojskowej, ale taki zarzut wiązałyby się co najmniej z zapuszkowaniem go do chwili wyjaśnienia sprawy. Chyba że rzeczywiście wzięli go za członka partii komunistycznej wykonującego jakąś misję, której natury, w tych czasach nieporządku i nakładających się kompetencji różnych służb, gdzie każde ugrupowanie polityczne miało własną milicję i własne tajne służby, nie odważyli się dociekać. Choć mogło też być tak, że wypuścili go, żeby iść jego tropem, na wabia.

Ta ostatnia myśl ożywiła przytępione jeszcze odruchy zawodowe. Falcó omiół badawczym wzrokiem okolicę skąpaną w jaśniejącym świetle brzasku, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Żeby uzyskać pewność, podniósł się i obszedł kwadrat ulic tam i z powrotem, raz i drugi, wypatrując najlżejszej niepokojącej oznaki. Nie dostrzegł żadnej. Spojrzał na zegarek – zwrócili mu go ku jego zaskoczeniu, podobnie jak pistolet i resztę dobytku – i pomyślał, że rodzeństwo Monterów i Eva Rengel muszą się bardzo niepokoić o niego i umierać ze strachu. Przez moment spróbował wyobrazić sobie, co mogła im opowiedzieć Eva. Jako że udało się jej uciec, być może siedzi teraz z nimi w antykwariacie, gdzie umówili się wczoraj. Mogło być też tak, że wróciła do hotelu. Albo że uciekli czym prędzej z Alicante i ukryli się gdzieś. Ciekawe, czy ubiegłej nocy Radio Sewilla nadało jakąś wiadomość dla przyjaciół Felixa. Czy plan będzie realizowany, czy wszystko poszło w pizdu.

Zbyt wiele znaków zapytania, powiedział sobie. Zbyt wiele niejasności. Musiał przewietrzyć głowę, zacząć myśleć chłodno. Zestawić fakty, których może się trzymać. No i upewnić się, że nikt go nie śledzi, chcąc dotrzeć jego śladem do towarzyszy przygody. Ruszył więc w stronę hotelu oddalonego o cztery przecznice. Nie napotkał nikogo po drodze. Kroczył pod palmami bulwaru wzdłuż szyn tramwajowych, zatrzymując się naprzeciw fasady z neonem Hotel Samper Restorán Café. Budynek miał taras i trzy piętra. W pokoju, który zajmował wraz z Evą Rengel, wychodzącym na taras, kotary były odsłonięte i nie paliło się światło. Wyglądało na to, że nikogo tam nie ma. Odczekał chwilę, rozglądając się przezornie w obie strony, przeszedł przez ulicę i wszedł do hotelu. Za jego plecami w porcie zabuczała syrena wypływającego statku. A wówczas z dreszczem niepokoju przypomniał sobie, że już za piętnaście godzin niemiecki torpedowiec Iltis wysadzi na ląd grupę desantową.

W recepcji siedział jeszcze nocny portier, drzemiąc pod kalendarzem materiałów wybuchowych Río Tinto. Obrzucił Falcó zaspanym wzrokiem.

– Jest wiadomość dla pana.

Wraz z kluczem wręczył mu zaklejoną kopertę, która czekała w przegródce. Falcó przyjrzał się jej podejrzliwie, podczas gdy portier przyglądał się podejrzliwie jemu, a także jego sinej i obrzękłej twarzy.

– Zazdrosny narzeczony – rzucił Falcó.

– Rozumiem.

– Zazdrosny narzeczony z FAI.

Portier zerknął na znaczek sierpa i młota w kłapie.

– Ci są najgorsi – powiedział.

Falcó bębnił palcami w kopertę, nie otwierając jej.

– Bar jest zamknięty, jak sądzę.

– Sądzi pan dobrze.

Wyjął portfel i uniósł dwoma palcami banknot dwudziestopięciopesetowy. Nawet pieniędzy, co niezwykle, nie zabrali mu w czece.

– Potrzebuję butelkę koniaku.

– O tej porze?

– O tej.

Po krótkim wahaniu portier odszedł w stronę pogrążonego w ciemności amerykańskiego baru. Wrócił z butelką fundadora.

– Dzięki, przyjacielu. – Falcó uśmiechnął się z wdzięcznością. – Proszę zatrzymać resztę.

– *Salud* – powiedział portier, chowając banknot..

– Tego mi właśnie dziś trzeba. Zdrowia.

Wchodząc po schodach z butelką pod pachą, otworzył kopertę. W środku była tylko kartka z nagłówkiem hotelu i liczbą 12 zapisaną ołówkiem. Doszedłszy do pierwszego piętra, przyjrzał się numerom pokojów. Dwunastka znajdowała się w korytarzu po prawej stronie. Podszedł do drzwi, zastanowił się przez moment, po czym wyjął z kieszeni browninga i wprowadził do komory jeden nabój, starając się nie robić hałasu. Schował go i zastukał cicho w drzwi trzy razy. Gdy te się otworzyły, Falcó osłupiał, ponieważ w progu, w piżamie w paski i w pantoflach, w siatce przytrzymującej na noc wypomadowane włosy, stał Paquito Araña.

Kiedy Falcó wyszedł z wanny ociekający wodą i zaczął się wycierać, Araña siedział na taborecie i przyglądał mu się. Zdjął siatkę z włosów, na piżamę narzucił jedwabny szlafrok. Wyglądał na zrelaksowanego, jakby przyjmował gościa u siebie w domu.

– Dali ci niezły wycisk – stwierdził beznamiętnie. – Jesteś cały poobijany.

Falcó przetarł wierzchem dłoni lustro nad umywalką i obejrzał się krytycznym wzrokiem. Miał fioletowawe kręgi pod oczami i siniaki na policzkach i czole. Na szyi, nadgarstkach i kostkach widniały głębokie pręgi po drucie. Cały brzuch aż po żebra był jednym wielkim krwiakiem.

– Dziś nie jesteś taki przystojny jak zwykle – zauważył złośliwie Araña.

Na jego ustach błąkał się uśmieszek zadowolenia i Falcó spojrział na niego nieufnie w lustrze. Nie widzieli się od czasu, gdy Araña zawiózł go z Salamanki do Grenady. Zobaczyć go w Alicante było ostatnią rzeczą, jakiej by się spodziewał. Chociaż, uznał, skończywszy się wycierać, to mogło wyjaśniać pewne rzeczy. Albo obiecywać ich wyjaśnienie.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, co tu robisz.

– To prawda. – Araña pogładził palcem wydepilowane brwi. – Nie powiedziałem.

Znali się niezłe. Od czterech miesięcy pracowali razem w Grupie Lucero, choć Araña był zwykłym wykonawcą wyroków i okazjonalnie kurierem, bez żadnego stopnia. Zawodowy morderca, zahartowany w walkach ze związkowcami w Barcelonie jeszcze przed wojną. Aż do tego momentu – wszystko w swoim czasie – podczas gdy Falcó zażywał kąpieli, sącząc brandy i popijając nią dwie kolejne kopiryny, rozmowa toczyła się wokół zatrzymania Falcó i niezrozumiałego wypuszczenia go na wolność. Co dziwne, Araña nie wydawał się specjalnie zaskoczony tym ostatnim ani też nocnym atakiem na kolegę po fachu na środku ulicy.

– Miałaś dużo szczęścia – stwierdził.

To samo powiedział łysy mężczyzna, przypomniał sobie Falcó. Twój szczęśliwy dzień. Podniósł do ust szyjkę butelki i pociągnął kolejny łyk. Przyglądał się podejrzliwie mordercy.

– Admirał przesyła ci pozdrowienia – powiedział Araña.

Falcó nie spuszczał z niego nieufnego spojrzenia. Łączył wątki i nie podobało mu się to, co połączył.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co tu robisz.

– Myślałem, że wiesz, ponieważ wczoraj wieczorem wysłali ci wiadomość przez Radio Sewilla. Dla przyjaciół Felixa i te rzeczy.

– Wczoraj wieczorem nie słuchałem radia. Jak ci właśnie opowiedziałem, o tej porze w czece przerabiali mi facjatę na befsztyk.

– Szkoda. To była sympatyczna wiadomość. Wymyślił ją Admirał we własnej osobie, żeby zaanonsować moje przybycie i potwierdzić je. „Paquito wiezie wam czekoladę”. Czaisz grę słów?

Zagwizdał kilka taktów z *Paquito el Chocolatero* z lepkiem uśmiechem. Falcó podszedł do szafy i ubierał się: slipy, skarpetki, sztruksowe spodnie. Koszulka polo w ciemnym kolorze z krótkim rękawem. Miał przed sobą długie godziny akcji i potrzebował wygodnego stroju.

– Wszystko odbywa się zgodnie z planem – oznajmił Araña. – Druga wiadomość potwierdzała lądowanie: „Przyjaciele Felixa przyjdą na kawę o ustalonej godzinie”. Jaka szkoda, że jej nie słyszałeś... Za to usłyszeli ją pozostali, jak sądzę. Twój ludzie.

– A co ty wiesz o moich ludziach?

– Wiem to i owo. Że stoisz na czele grupy wsparcia dla desantu. Że to falangiści, tak jak tamci. Że to z nimi miałeś się spotkać tej nocy, ale nie doszedłeś.

– Może uciekli, dowiadując się o tym, co się ze mną stało.

– Nieważne. Lądowanie odbędzie się tak czy owak, nawet bez nich... – Araña uśmiechnął się enigmatycznie. – A nawet bez ciebie.

– Co masz na myśli?

– Wysłali właśnie mnie, ponieważ Admirał chce być pewny, że uwierzysz w te informacje. I że wypełnisz rozkazy... By cię przekonać, że to, co mówię, jest prawdą, mam ci powiedzieć, że włożył do klasera znaczek numer jeden z Hanoweru. Czarny na niebieskim. – Spojrzał na niego z ukosa. – Wiesz, o co biega?

– Tak.

– To dobrze. – Zabójca wyglądał, jakby odetchnął z ulgą. – Bo ja nie mam bladego pojęcia.

Falcó wiązał angielskie buty z brezentu i skóry. Podniósł głowę i znieruchomiał, patrząc na Arañę.

– Poza kwestią ze znaczkiem, nie rozumiem ani dudu... O jakich informacjach mówisz?

– Są zmiany.

– Jakiego typu?

– Relatywne. Falangiści wylądują, ale rozkazy co do ciebie się zmieniły. Nie musisz towarzyszyć im aż do tego etapu.

– Dlaczego?

– Bo załatwię ich wszystkich.

Falcó, który wstawał z łóżka, usiadł na nim ponownie.

– Kto?

– Czerwoni.

– A skąd Admirał o tym wie?

– Bo sam to przygotował.

Falcó wpatrywał się w niego osłupiały. Z niedowierzaniem.

– Mówisz mi, że dowódca wywiadu marynarki wojennej, czyli nasz szef, zorganizował operację mającą na celu uwolnienie wodza Falangi i sam sprawi, że zakończy się kląpą?

Araña wyglądał na zachwyconego sytuacją. Swoją rolę posłańca z królikiem w kapeluszu.

– Dokładnie to ci mówię.

– A co ja tutaj robię? Po cholere wysłano mnie na tę misję?

– Właśnie po to. Żebyś pomógł sprawie zakończyć się klapą.

Falcó siedział bez ruchu z dłońmi opartymi na udach. Niezdolny, by wstać. Koniak, aspiryny, zmęczenie, informacje przekazane przez Arañę – aż kręciło się w głowie od tego wszystkiego.

– O, kurwa – powiedział i opadł na pościel.

Araña podszedł i usiadł w nogach łóżka z przypochebną miną. Zapach pomady i perfum dobiegł aż do Falcó.

– Dobrze się czujesz?

– Kurewsko dobrze.

– Weź to na spokojnie.

– To jakaś bzdura.

– Nie całkiem. Chcesz, żebym ci wyłuszczył, jak ja to widzę?

– To by pomogło.

A wówczas Paquito Araña opowiedział, jak to widzi, łącząc to, co sam wydedukował, z tym, co wiedział na pewno. Pomysł uwolnienia José Antonia pochodził z dowództwa Falangi, a sztab główny Caudilla nie mógł mu się sprzeciwić, ale obawiał się, że gdy więzień znajdzie się na wolności i dotrze do Salamanki, zakwestionuje absolutną władzę Franco. Zbyt wiele kogutów w kurniku. Dali zatem zielone światło niebieskim koszulom z pełną świadomością, że zrobią ich na szaro i wydadzą czerwonym.

– Kapujesz?

Falcó potaknął. Kapował. Potrafił nawet wypełnić białe plamy. Admirał pozostawał w bliskich relacjach z Nicolasem Franco, bratem Caudilla,

stojącym na czele wywiadu. To on podsunał mu tę sprawę. Wielka polityka i gra na wielu skrzypcach: Niemcy, falangiści i diabli wiedzą kto jeszcze. Niezła ściema. Wszyscy spisują się na medal, a winę zrzuca się na czerwonych.

– Wiedzą o tym?

– Czerwoni? Nie wiem. – Araña sprawdzał, czy paznokcie ma gładko spiłowane. – Ale patrząc, jak to działa, nie zdziwiłbym się... Ktoś daje cynk, jakaś zasadzka po drodze, dowódca Falangi dalej w pudle, a jego chłopcy z *Twarzą ku słońcu* na ustach idą do nieba jako męczennicy sprawy. – Ucałował się w opuszki palców, jakby właśnie skosztował wybornego dania. – I wszystko cacy.

– Ale chodzi o ponad dwudziestu ludzi, tych, co przyplłyną, i tych, co już tu są.

– Racja stanu, towarzyszu.

– I mam ich poprowadzić w zasadzkę?

– Tego się obawiam.

– Dwadzieścia osób... Czy ty rozumiesz, co mówisz?

Araña wykrzywił usta w ironicznym grymasie.

– Generałowie Franco codziennie poświęcają ich setki. A co się dzieje tutaj, nawet mi nie mów. Zresztą ty też nie słyniesz z przejmowania się cudzym życiem...

– A ty?

W odpowiedzi Araña uśmiechnął się chytrze.

– Dlatego mnie wypuścili... – wydedukował Falcó. – Czerwoni dostali cynk i wolą, żebym był na wolności.

Wyprostował się na łóżku. Był wściekły.

– To ty, prawda? Ty im powiedziałeś. Dlatego mnie dopadli. I ty im kazałeś mnie wypuścić.

– Ojej. Odbiło ci.

– Kłamiesz.

– Powiedziałem ci już, kto mnie przysłał i po co. Koniec kropka.

Falcó wstał. Zaciskał pięści. Potrzebował kogoś, na kim mógłby wyładować frustrację i gniew. Noc, o której sądził, że będzie ostatnią w jego życiu, i piekący ból oszustwa.

– To byłeś ty, zasrany pedale.

Araña pozostał na łóżku nieporuszony. Jakby za sprawą magii w jego prawej ręce pojawił się nóż. Był zamknięty i Araña nie wykonał nim żadnego ostrzegawczego gestu. Ważył go w dłoni, przyglądając mu się z ciekawością, jakby zastanawiał się, jakim sposobem znalazł się w tym miejscu.

– Mnie zostaw w spokoju – powiedział tylko bardzo spokojnie. – Załatw sobie powrót do Salamanki i składaj reklamacje u samej góry. Ja jestem tym, kim jestem, tak jak ty jesteś tym, kim jesteś.

– Para kanalii, oto czym jesteśmy. – Falcó zaśmiał się gorzko pierwszy raz tego wieczoru. – Wykonująca szmatławą pracę.

Araña wzruszył ramionami i schował nóż do kieszeni szlafroka.

– Dostałeś rozkazy, których autentyczności możesz być pewien. – Ponownie zaczął oglądać paznokcie. – Co dalej, to twoja sprawa. Ja swoje zrobiłem... Poza tym nie rozumiem, czemuś się nagle zrobił taki delikatny. Babraliśmy się w takim szambie już dawniej.

– Nie tej rangi.

Araña posłał mu uśmiech. Cyniczny. Niemal filozoficzny.

– Kto raz się zacznie drapać i zabijać, prędko nie przestanie. Powinieneś znać to przysłowie.

– Wal się..

– Dziś już nie mam czasu, kotku.

Falcó narzucił na siebie kurtkę, podszedł do komody, gdzie leżały jego rzeczy, i zaczął wkładać je do kieszeni. Zanim schował pistolet, wprowadził nabój do komory i sześć razy przeładował, kule 9 mm wypadły na łóżko jeden po drugim. Potem wyjął magazynek, napełnił go jeszcze raz, załadował i zabezpieczył.

– To zabójca arcyksiążąt? – zainteresował się Araña.

– Tak.

– Ładny sprzęt.

Falcó zapiął zamek kurtki i rozejrzał się. Wszystko, czego potrzebował, miał przy sobie. Resztę mógł zostawić tutaj.

– Jak wyjedziesz z Alicante? – zapytał Arañę.

Ów zrobił zadowoloną minę.

– Mam francuski paszport.

– Lądem czy wodą?

– W południe wypływa statek do Oranu. Za trzy dni będę w Kadyksie wśród przystojnych legionistów, Afrykanów i Włochów.

– Zaplanowano coś dla mnie czy mam radzić sobie sam?

– Możesz wybierać: albo wrócisz do strefy narodowej na własną rękę, albo wejdiesz na pokład niemieckiego statku... Żeby utrzymać pozory do samego końca, wysadzą grupę szturmową i wrócą o oznaczonej godzinie, żeby zabrać to, co z niej zostanie. Ci z Kriegsmarine wiesz, jacy są. Zakute pały jak Gwardia Cywilna. Ale coś mi się zdaje, że będziesz jedynym pasażerem w tamtą stronę.

– No, proszę. Cóż za troskliwość.

Araña wstał, wygładzając szlafrok. To uprzejmość samego Admirala, podkreślił. Plan zaproponowany przez sztab Caudilla najwyraźniej nie przewidywał uprzedzenia Falcó, który miał podzielić los pozostałych. Ale szef SNIO stanowczo zaprotestował.

– Tak że w gruncie rzeczy... – dokończył swą opowieść Araña – ... jestem tutaj po części ze względu na ciebie. Bo szef nie chciał cię porzucić jak innych. – Obserwował wyraz twarzy Falcó, uśmiechając się coraz szerzej. – A nawet gdyby, nic nie mów... Uwielbiasz tę podłą pracę. Tak jak ja.

Falcó wyjrzał przez okno. Za tarasem i koronami palm było widać statki przycumowane do kei, falochron i morze.

– Są dwie kobiety – powiedział, nie odwracając się. – Dwie młodziutkie falangistki.

Araña zaśmiał się piskliwie. Kobieco.

– Ojej. Widzę, że się rozczulasz. Uważaj. Jeśli chodzi o kobiety, to mnie u ciebie nie dziwi. Chociaż ta z pociągu do Narbony...

– Z tymi jest pewien problem – przerwał mu Falcó. – Nie mogę pozwolić, żeby wpadły w pułapkę.

– To postaraj się, żeby zostały z tyłu albo poszły z tobą. Czy ja wiem. Już twoja w tym głowa.

– A dowódca grupy szturmowej? Poznałem go przed wyjazdem.

– Coś czuję, że nie przeżyje tej nocy tak jak cała reszta. Pocziesz się, że jeśli nie załatwią go czerwoni, może skończyć pod ścianą w Salamance. Tu przynajmniej umrze jako bohater. A w ogóle skoro wysyłają właśnie jego, to pewnie mają jakiś powód. Pewnie nie jest ulubieńcem sztabowców.

– Tak właśnie mi się wydawało.

Araña miał już wychodzić z pokoju. Zatrzymał się na moment z ręką na klamce.

– Swoją drogą nie wiadomo, czy ty wylądujesz lepiej... Zależy od Admirala. Różnica polega na tym, że ciebie jeszcze potrzebują. A jego najwyraźniej nie.

Falcó wszedł do antykwariatu, strzepując krople deszczu z kurtki; na zewnątrz niskie chmury pociemniały i zaczęło mżyć. W nocy będzie padało, pomyślał z niepokojem. Gdy stanął w progu, antykwariusz prześlizgnął się po nim spojrzeniem z udawaną obojętnością i odwrócił się tyłem, nie odpowiadając na pozdrowienie. Falcó skierował się od razu na zaplecze. Pierwszym, co zobaczył za drzwiami, była wycelowana weń lufa pistoletu.

– Zabierz to – powiedział Ginesowi Montero. – To ja.

Była tam cała trójka: rodzeństwo i Eva Rengel, między wysokimi stertami książek pachnącymi starym papierem. Wstali, słysząc, jak wchodzi. Ginés opuścił broń.

– Wypuścili cię – powiedział ze zdumieniem.

– Udało mi się ich przekonać.

– Co ci się udało?

– To byli komuniści. Tak jak ja. – Falcó dotknął znaczka w klapie kurtki.

– A dlaczego cię zatrzymali?

– Błąd w identyfikacji. No i na początku stawiałem opór.

– Dzięki niemu mogłam uciec – powiedziała Eva.

Patrzyła na niego w zamyśleniu. Z wdzięcznością. Przypomniał sobie jej cień rozplywający się w ciemnościach, gdy on zatrzymywał zbirów. Był zadowolony, że udało się jej umknąć, bo gdyby trafili razem do czeki,

sprawy potoczyłyby się inaczej. Posłał jej uśmiech, szybki, uspokajający, ona także się uśmiechnęła. Falcó wskazał na pakunek owinięty w gazetę, który położył na krześle obok stołu z termosem i filiżankami z resztką kawy.

– Przyniosłem ci coś do ubrania – powiedział. – Dobrze zrobiłaś, nie wracając wczoraj do hotelu. Nie sądzę, że powinnaś iść tam teraz.

– Dziękuję – powiedziała.

– Dobrze się zachowałaś wczoraj wieczorem... Byłaś dzielna i szybka.

Nie odpowiedziała. Wciąż wpatrywała się w niego uważnie i dopiero po kilku sekundach uśmiechnęła się blado. Ginés schował broń. Mały, niklowany rewolwer kieszonkowy, który Falcó widział u niego już wcześniej.

– Spędziliśmy okropną noc – powiedział. – Nie wiedzieliśmy, co z tobą. Falcó dotknął obitej twarzy.

– Ja nie miałem lepiej.

– Co ci zrobili? – zapytała Cari.

– To, co zwykle. Zadali kilka pytań i dali kilka razy w pysk.

– Kanalie... Podłe kanalie.

– W końcu wszystko się wyjaśniło. Szukali kogoś innego.

Próbował myśleć. A właściwie próbował myśleć dalej, bo po drodze z hotelu do antykwariatu nie robił nic innego. Usiłował patrzeć na nich z niezbędnym obiektywizmem po tym, co usłyszał w ciągu ostatnich godzin. Po otrzymaniu rozkazów. Wiedząc, że zostali skazani na śmierć. Są tylko mięsem armatnim, powiedział sobie. Nie odczuwał wyrzutów sumienia – nie w tym wieku, nie w takiej pracy – lecz gniew, spokojny i zimny. Głuchą nienawiść do ludzi, którzy w Salamance zdecydowali o takim rozwoju wypadków. Którzy poruszali nimi wszystkimi jak marionetkami. Spojrzał ponownie na Evę, przypomniał sobie ciepło jej

ciała i pomyślał o dwóch rzeczach: że on, Lorenzo Falcó, w ciągu najbliższych godzin zachowa się jak ostatni sukinsyn – co skądinąd nie było niczym nowym – i że spróbuje uratować przynajmniej ją.

– Była jakaś wiadomość?

– Dwie – odparł Ginés. – Po swojej audycji Queipo de Llano przekazał pozdrowienia dla przyjaciół Felixa i powiedział: „Paquito wiezie wam czekoladę” i „Przyjdą na kawę o ustalonej godzinie”... Druga wiadomość jest prosta, bo *café* znaczy między nami *Camaradas Arriba Falange Española*... Ale tego o czekoladzie nie rozumiemy.

– To wiadomość dla mnie, zaszyfrowana – skłamał Falcó.

– A kto to taki ten Paquito?

– Iltis. Niemiecki torpedowiec. Wiadomość dotyczy grupy szturmowej.

– Aha.

– Wszystko jest w porządku.

Nastała cisza. Cała trójka obserwowała Falcó, oczekując na rozkazy. Zerknął na zegarek.

– Trzeba zacząć się ruszać – powiedział. – Jak tam transport?

Potwierdzony, wyjaśnił Ginés. Trzej towarzysze z Murcji będą w El Arenal ze swoją ciężarówką o ustalonej godzinie. Kuzyni Balsalobrowie i gwardzista Torre. Ricote, student z Alhamy, też przyjedzie samochodem. Starym fordem.

– Ciężarówka i dwa samochody, wliczając nasz – przypominał Ginés. – To nasze środki transportu. Wystarczy, żeby przewieźć piętnastu komandosów. W ciężarówce Balsalobrowie będą mieć pistolety i granaty.

Odsunął termos i filiżanki, żeby rozłożyć na stole plany: mapę odcinka wybrzeża, plan Alicante i szkic wnętrza więzienia. Wszyscy podeszli do stołu. Wskazał palcem na El Arenal.

– Jak zostało ustalone, Cari i towarzysz Ricote zostaną na plaży, żeby dawać sygnały okrętowi, a my...

Pora to powiedzieć, pomyślał Falcó. I powiedział.

– Jest pewna zmiana.

Jego ton sprawił, że popatrzyli na niego ze zdumieniem, które przerodziło się w niepokój. Falcó pokazał na szkic więzienia.

– Ja nie pójdę z komandosami.

Ginés zdębiał.

– Dlaczego? Powiedziałeś nam...

– Zmiana planów – Falcó tłumaczył się bardzo spokojnie. – Wiadomość o czekoladzie oznacza, że mam przekazać dowództwo Fabianowi Estevezowi i nie wchodzić do akcji. Czyli to ja zostanę na plaży razem z Cari. I z Evą.

– Nie tak było ustalone – zaprotestowała dziewczyna.

– Ale tak zrobimy. To moje rozkazy. A dopóki nie wyląduje Estévez, to ja dowodzę.

Ginés zdjął okulary i czyścił je szmatką. Jego oczy krótkowidza świdrowały Falcó.

– To rozkazy z Salamanki czy twoja decyzja?

– Po trosze wszystkiego – odparł Falcó z ironią w głosie.

– Na plaży nie będzie zbyt niebezpiecznie – zauważył kąśliwie młody mężczyzna.

Falcó zapalał papierosa niewzruszony.

– Ty jesteś falangistą, ja nie. – Zgasił zapalniczkę, machając nią w powietrzu. – Chodzi o uwolnienie twojego wodza, nie mojego. Ja tu jestem tylko przejazdem.

– Nie zapytałeś mnie o to, gdzie ja chcę być – powiedziała Eva.

Dopiero po trzech sekundach podniósł na nią wzrok.

– To prawda. Nie zapytałem.

– Postanowiliśmy, że pójdę z wami... Z komandosami.

– To nie miejsce dla kobiet.

– Najwyraźniej też nie dla ciebie.

– To prawda. – Uśmiech Falcó był niezmacony. – To też nie miejsce dla mnie.

Patrzyli na niego, jakby widzieli go po raz pierwszy. Zaciągnął się papierosem i wypuścił powoli dym. Było mu obojętne, jak na niego patrzą. Może nie Eva. Tylko jej rozczarowany wzrok sprawiał, że czuł się nieswojo. Trochę. Wystarczająco.

– Cari, ty i ja na plaży, podczas gdy oni walczą... – podsumowała dziewczyna. – To nam chcesz powiedzieć?

Falcó potaknął.

– Taki jest plan.

– Ja mogę iść z komandosami – zaproponowała Cari. – Poprowadzę hispano-suizę.

– Nie.

Ginés włożył okulary.

– Ma rację – oświadczył. – Najlepiej będzie, jeśli zostanieie z tyłu...
Z nim.

Nawet nie próbował ukryć pogardy. Falcó doskonale go rozumiał. Ale pogarda lub podziw Ginesa Montero ani go grzały, ani ziębiły. Nie liczyły się w tej grze ani odrobinę.

– Miałem o tobie mylne zdanie – dorzucił młody mężczyzna.

– Co ty powiesz.

– Owszem, powiem. – Ginés pokazywał zęby w uśmiechu, który tak naprawdę nie był uśmiechem. – To nie to samo, co zabić Juana Portelę, prawda? Co torturować człowieka, a potem strzelić mu w tył głowy.

Zrozumiał, że Eva nie powiedziała im, kto wykonał wyrok na zdrajcy. Wciąż myślą, że zrobił to on.

– Jasne, że nie – odparł miękko. – Dziś w nocy to będzie akcja bojowa, prawda? Dla bohaterów i tym podobnych. Gotowych, by stanąć na warcie w niebie.

Aluzja do strofy hymnu mówiącej o zmarłych falangistach nie spodobała się najwyraźniej Ginesowi, bo jego twarz stężała. Podszedł do Falcó i zatrzymał tuż przed nim nieruchomo, lecz z agresywną miną. Niemal instynktownie Falcó podniósł prawą rękę do papierosa trzymanego w ustach. Na wszelki wypadek. Niedopałkiem w twarz i kolaniem w genitalia – podręcznikowa obrona. Głową raczej nie: mógłby rozbić mu okulary na twarzy, a to nie był moment na komplikowanie spraw. Ale na szczęście nie musiał. Ginés poprzestał na pogardliwym spojrzeniu, bardzo twardym i męskim, bardzo wojskowym. Które mówiło samo za siebie.

– Nie masz w sobie nic z bohatera, z tego co widzę – rzucił tylko.

Falcó wypuścił obłok dymu. Ponad ramieniem Ginesa patrzył na Evę i Cari. Poczul chęć śmiechu.

– Otóż nie, skoro już o tym mowa. Ani odrobiny.

11. CZEKOLADA I KAWA

Lorenzo Falcó zmełł w ustach przekleństwo. Wciąż padał deszcz. Nie bardzo intensywny, lecz wystarczający, by ziemia na bitej drodze zmieniała się w błoto. Otworzył drzwi hispano-suizy, włożył czapkę, postawił kołnierz kurtki i wychylił głowę. Reflektory oświetlały smugi deszczu między sosnami.

– Zgaś światła – polecił.

Ginés Montero przekręcił kluczyk, silnik zgasł, ucichł szelest wycieraczek na przedniej szybie.

– Pech z tym deszczem – odezwała się Cari za plecami mężczyzn. Siedziały na tylnym siedzeniu z Evą Rengel. Nikt nie otworzył ust przez ostatnie pół godziny, kiedy auto, ominąwszy posterunek wojskowy w El Altet, telepało się boczną drogą do lasu sosnowego.

– To nawet lepiej – zauważył Falcó. – Wszyscy będą siedzieć pod dachem, nikomu nie będzie się chciało węszyć.

Wysiadł i przeszedł kilka kroków, czując, jak woda kapie mu z daszka czapki na twarz. Droga kończyła się łąką piasku porośniętą sosnami i schodzącą aż na brzeg, który znajdował się jakieś dwieście metrów dalej. Przy brzegu piach tworzył wydmy sięgające niemal czubka głowy człowieka, a odgłos deszczu padającego na ziemię był tu słabszy i bardziej przytłumiony. Panował głuchy mrok i Falcó szedł początkowo po omacku, dopóki źrenice nie przywykły do ciemności.

– Choć oko wykol – skomentował Ginés Montero.

Kroczył za dowódcą, zapadając się w piasek. W czerni po prawej stronie dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk odbezpieczanego pistoletu. Falcó wyjął swój – za pasem na plecach miał jeszcze lugera – i schylił się pomału, wyężdżając wszystkie zmysły. Poczłł, że Ginés robi to samo.

– Kto idzie? – zapytał męski głos.

– Kawa – powiedział Ginés.

Trzy sylwetki wyłoniły się z ciemności i zarysowały na jaśniejszym tle wydł. Falcó trzymał palec na spuście, aż podeszli całkiem blisko i zaczęła się wymiana cichych powitań i uścisków rąk. Byli to kuzyni Balsalobrowie i gwardzista Torres oczekujący od pół godziny; ciężarówkę – sześciocyndrowego opla blitza, jak oznajmili – ukryli trochę dalej między sosnami. Załatwili pistolety i granaty ręczne. Falcó nie widział ich twarzy, ale kuzyni mieli głosy młodzieńcze i podniecone. Co do gwardzisty, przywiózł przydziałowego mauzera i nie mówił za wiele, odzywał się wyłącznie monosylabami. Miał głos człowieka opanowanego. Spokojnego. Falcó przypuszczał, że to jedyny zawodowiec w grupie. W ustach jednego z kuzynów żarzył się czerwony punkcik papierosa.

– Zgaś to – rozkazał oschle Falcó.

– Bo co?

– Bo to dowódcą – wyjaśnił sarkastycznie Ginés. – Przynajmniej na razie.

Żar spadł na ziemię i zgasł pod stopami kuzyna. Falcó powiedział im, żeby poczekali w tym miejscu, i przeszedł kawałek w stronę plaży. Najpierw usłyszał szum wody przy brzegu, później dostrzegł rozległą ciemną masę za jasnym konturem wydł. Fale wyglądały na małe, jakby deszcz wygładził morze; to ułatwi desant. Nie widać było żadnego światła, z wyjątkiem błysków dalekiej latarni działającej mimo wojny na Santa Pola na prawo od zatoki. Oszacował, że Iltis podpłynie do plaży za jakąś

godzinę, o ile rzeczywiście nikt nie odwołał operacji. Kapitan torpedowca bez wątpienia stał teraz na pełnym morzu, nie zapalając świateł, z ludźmi w pełnej gotowości, w oczekiwaniu aż nadejdzie pora. Pewnie jest gdzieś nieopodal, jakąś milę stąd, choć niewidzialny w mroku. Falcó odwrócił się i popatrzył na ciemną plamę zagajnika, zastanawiając się, gdzie czerwoni szykują zasadzkę. Oby tylko nie za blisko, powiedział w duchu z niepokojem.

Wrócił tą samą drogą, zapadając się w piasku, dołączył do grupy i wspólnie podeszli do miejsca, gdzie czekały Eva i Cari. Obok hispano-suizy stał teraz drugi samochód z wyłączonymi silnikiem i światłami, a dziewczyny przedstawiły Falcó jego kierowcę: cień, który nazywał się Andrés Ricote, miał młody głos i nerwowy uścisk ręki. Nosił płaszcz przeciwdeszczowy, więc Falcó wysłał go, by pilnował drogi na skraju zagajnika, upewniwszy się uprzednio, że nie jest uzbrojony; nie chciał, żeby z nerwów pociągnął za spust. Kuzyni Balsalobrowie i gwardzista przyprowadzili ciężarówkę, nie zapalając świateł, i postawili ją pod sosnami obok samochodów. Wszyscy wsiedli do kabin, kuzyni i gwardzista do ciężarówki, Falcó z rodzeństwem Monterów i Evą do hispano-suizy, i słuchali, jak deszcz bębni w dach. Oczekiwali.

– To wszystko porządni ludzie – oznajmił Ginés siedzący za kierownicą. – Towarzysze, którym można ufać.

Falcó nie odezwał się. Palił, ukrywając w dłoni ognek papierosa, i odgadywał niewidoczne w ciemności strugi wody spływające po przedniej szybie. Nogawki spodni miał mokre od deszczu. Za plecami czuł bliską i milczącą obecność Ewy Rengel. Głowę zaprzętał mu złożony układ godzin i działań, taktycznych problemów i praktycznych rozwiązań: długa partia szachów, w której większość pionów zostanie zbita, a on będzie się starał,

by przeżyły dwa z nich. Trzy, poprawił się, jeśli uda mu się uratować Cari Montero.

– Mój Boże... – powiedział Ginés. – Pomyśleć, że tak niewiele brakuje. Że, jeśli wszystko dobrze pójdzie, José Antonio będzie wolny za parę godzin...

Falcó rozpoznawał symptomy. Rozmowność młodego falangisty szła w parze z nerwowością, napięciem przed mającymi wkrótce nastąpić wydarzeniami. Postanowił pozwolić mu mówić, żeby się nieco uspokoił. By napięcie zelżało.

– Wszystko pójdzie dobrze – szepnęła jego siostra.

W jej głosie też pobrzmiwało zdenerwowanie. Ciężar emocji rósł, w miarę jak nadchodził moment rozpoczęcia akcji. Tylko Eva zachowywała ciszę i Falcó zastanawiał się, jak zareaguje, gdy zrozumie, że operacja się nie powiodła, a Ginés i inni, którzy wyruszyli do Alicante, nigdy nie powrócą. I że nie pozostaje jej nic innego, jak uciec wraz z nim na pokładzie Iltisa.

– Ile jeszcze? – zapytał Ginés.

W krótkim błysku zapalki, pochylając się nad deską rozdzielczą, Falcó zerknął na zegarek.

– Trzeba już iść – powiedział.

Sięgnął do schowka po latarkę, otworzył drzwi i wyszedł na deszcz. Zanim zamknął za sobą, schylił się jeszcze raz do wnętrza auta, wyjął lugera, którego trzymał za paskiem, i zagadnął Evę:

– Masz broń?

– Nie. Pistolety są dla chłopaków, którzy jadą do Alicante.

Wręczył jej swój. Ich dłonie zetknęły się w ciemności wokół zimnego metalu.

– Pamiętasz, jak działa?

– Tak.

– Ma osiem nabołów w magazynku. – Załadował broń z cichym trzaskiem i zabezpieczył ją. – Teraz ma siedem, jeden w komorze. Odbezpieczasz, strzelasz, następne naboje wchodzą do komory same... Zrozumiano?

– Jasne.

Głos dziewczyny brzmiał naturalnie i to uspokoiło Falcó.

– Powiedźcie kuzynom i tamtemu, żeby ustawili ciężarówkę i samochody przodem do drogi i żeby byli gotowi do odjazdu. Wrócimy za pół godziny.

Zamknął drzwi, zasunął zamek kurtki i ruszył między sosnami w stronę plaży. Za plecami słyszał kroki Ginesa. Zatrzymał się na brzegu między wydrami. Na lewo miasto i port odróżniały się od sąsiednich pasm mroku mimo zaciemnienia. Na prawo daleka latarnia wciąż wysyłała regularne błyski. Popatrzył na czarną powierzchnię morza, lecz nie zobaczył nic. Słyszał tylko szum fal i przytłumiony odgłos deszczu na piasku.

– Mam nadzieję, że tu są – szepnął Ginés z niepokojem.

Falcó podniósł latarkę, ustawił ją pod kątem dziewięćdziesięciu stopni względem światła latarni, wierzchem dłoni wytarł krople wody zalewające mu oczy i nadał alfabetem Morse'a pięć razy literę T: pięć potrójnych, długich błysków – pięć kresek – co znaczyło: „Jestem gotowy do odbioru”. Zaledwie zgasł ostatni sygnał, z ciemnego morza odpowiedziano mu literą L: kropka, kreska, dwie kropki, „Mam dla pana coś ważnego”. Zgodnie z ustaleniami.

– Mój Boże! – wykrzyknął podniecony Ginés.

Po krótkiej chwili od ciemnej plamy morza oderwał się cień łodzi i dobiegł ich plusk wiosł uderzających w wodę. Krzywiąc usta, Falcó pomyślał o barce Charona. Przewożącej dusze zmarłych przez rzekę Styks.

Głośniejszy chłupot przy brzegu, w deszczu. Uderzenia wiosł o drewniane dulki lub o ławki łodzi – przemknęło mu przez myśl, czy wiosłarzami są Niemcy, czy Hiszpanie. Szczęk broni i metalu. Uwagi rzucane cichym głosem i komenda wydana niemal szeptem.

– Żeby mi nikt nie palił.

Falcó rozpoznał głos Fabiana Esteveza: spokojny, pewny. Głos dowódcy przywykły do rozkazywania. W odpowiedzi bezgłośna dyscyplina. Byli świetnie wyszkoleni, bez dwóch zdań. Elitarna jednostka. Czarne sylwetki przemykały się teraz na tle nieco jaśniejszych wydm. Błysk broni i mokrych płaszczy. Szmer ciał, stłumiony odgłos kroków na piasku, werbel kropel deszczu. Piętnastu mężczyzn idących na śmierć.

– Szybko. Ruszajcie się szybko.

Spotkanie w ciemności z niewidoczną twarzą. Nieco jaśniejszy zarys płaszcza błyszczącego od wody. Ręka Esteveza na ramieniu Falcó, druga ściskająca jego prawą dłoń. To samo wobec Ginesa Montero stojącego obok.

– Dzięki za wszystko.

Na szczęście jest noc, pomyślał Falcó. W świetle dziennym pewnie nie byłby w stanie spojrzeć mu w oczy. Uścisk dłoni Esteveza był mocny, bardzo w falangistowskim stylu. Niemal romantyczny, powiedział sobie posepnie. W rodzaju: na ramię broń i na wartę w niebie ponad warstwę niskich chmur, z których wciąż lała się woda. Ta cała faszystowska retoryka, stale oscylująca między życiem a śmiercią. Śmiech powróci wiosną i tak dalej. Ciekawe, czy mają na sobie niebieskie koszule z jarzmem i strzałami wyszytymi na sercu, czy cywilne ciuchy. W nocy nie dało się tego sprawdzić. A zresztą cóż za różnica.

– Gdzie transport?

– Między sosnami – odpowiedział Ginés. – Chodźcie za nami.

Poprowadzili ich do zagajnika. Nikt nie wymówił więcej ani słowa. Na ostatnim odcinku Estévez zapytał o drogę do Alicante.

– Czysta – powiedział Ginés. – Trzeba tylko objechać posterunek w pobliżu lotniska.

– A jak nastroje towarzyszy?

– Zaraz sam zobaczysz. Są spokojni i na twoje rozkazy.

Falcó nie odzywał się. Przypomniawszy sobie melancholijną sylwetkę Fabiana, gdy rozstawali się w Salamance, miał ręce w kieszeniach długiego czarnego płaszcza i odkrytą głowę, odchodził powoli w aurze męczeństwa. Bohater z Alkazaru szedł teraz ku swojemu Getsemani, choć tego nie podejrzewał. A może było mu to obojętne. Może nawet dążył do niego. Ludzie tacy jak on nosili wszędzie ze sobą ostatnią noc. Jak nieodłączny plecak. Jak odroczone wyrok śmierci.

– Jesteśmy na miejscu. Oto samochody.

Oba auta i ciężarówka stały teraz obok siebie na małej polance w deszczu bębniącym o maski. Nadejście grupy szturmowej wywołało jakieś pełne emocji „*arriba España*”, objęcia, uściski rąk. Atmosfera podniecenia i patriotyzmu, ocenił krytycznie Falcó. Wszyscy uważali za przesądzone, że Wódz Naczelny za kilka godzin będzie z nimi. Bułka z masłem, powtarzał jeden z kuzynów Balsalobrów, pełen entuzjazmu. *Arriba España, camaradas*. Bułka z masłem.

– Poproszę o raport – powiedział Estévez do Falcó.

– Jasne. Wejźmy pod dach.

Wspięli się na pakę ciężarówki pod brezentową plandekę, Falcó, Estévez, Ginés i kilku komandosów. Reszta została z kobietami, chroniąc się przed deszczem w samochodach i pod sosnami. Falcó zapalił latarkę i rozłożył plany: droga, miasto, więzienie. Zmęczone twarze, poszarzałe od niewyspania i przebywania na wodzie, pochylały się nad białymi kartkami.

Omówili gruntownie wszystkie szczegóły operacji. Trasę, harmonogram, sposób ataku. Tak jak ustalono wcześniej, jedna grupa podjedzie pod wejście hispano-suizą pod pretekstem dowozu aresztanta. Gdy brama zostanie otwarta, wszyscy zaatakują więzienie i przedostaną się do celi José Antonia. Postarają się także uwolnić jego brata Miguela, pierwsze piętro, cela numer dziesięć.

– A po drodze tylu towarzyszy, ilu zdołamy – uzupełnił Ginés Montero.

– Nie – powiedział spokojnie Estévez.

– Dlaczego?

– Takie mam rozkazy. Wydostać José Antonia i w miarę możliwości jego brata. Nie mamy środków, żeby przetransportować tu innych więźniów.

Światło latarki błyszczało w szklach okularów Ginesa. Akcentowało jego zarost. Gest oburzenia.

– Ale tam jest mnóstwo naszych – zaprotestował. – Falangistów, monarchistów, wojskowych, ludzi prawicy... Rozstrzelają ich w odwecie, jeśli ich zostawimy.

– Nie możemy tracić czasu – powiedział Estévez. – Co najwyżej damy im klucze do cel i niech radzą sobie sami. Ale nie możemy zabrać nikogo.

– To niesprawiedliwe.

– Sprawiedliwe, niesprawiedliwe, rozkazy się wykonuje. A my otrzymaliśmy takie.

Falcó przyglądał się Estevezowi w świetle latarki. Padało na jego twarz od dołu, znacząc bruzdy i cienie, które sprawiały, że wydawała się jeszcze chudsza niż w Salamance, a może rzeczywiście taka była. Przy pasie miał pistolet i dwa włoskie granaty Breda, na podłogę odłożył stara RU35. Dwaj towarzyszący mu komandosi – jeden młodzieńki, rudy, drugi starszy o przyciętym wąsiku, z pewnością dowódcy grupy – byli tak samo uzbrojeni, a między kłapami kołnierzy mokrych płaszczy nieprzemakalnych

dostrzegł niebieskie falangistowskie koszule. Głębokie, ciemne oczy Esteveza były przygaszone, zauważył Falcó. Zamyślane. Niekiedy podnosił wzrok, żeby milcząco zasięgnąć opinii towarzyszy, po czym opuszczał go na plany ze spokojną obojętnością, jakby nie robiło na nim szczególnego wrażenia, że owe karty mogą oznaczać niebezpieczeństwo, walkę, życie czy śmierć. Sukces albo porażkę. Od czasu do czasu jego oczy zatrzymywały się na Falcó, a ów musiał wówczas dokładać starań, co było niemal bolesne i powodowało napięcie mięśni pleców i karku, by wytrzymać jego wzrok, nie opuszczając swojego.

– Przez cały czas mówił pan „wy” – odezwał się nagle Estévez. – Czy to znaczy, że nie weźmie pan udziału w ataku?

Mięśnie napięły się mocniej. Falcó patrzył w zmęczone oczy falangisty, nie mrugając powiekami.

– Zostaję tutaj.

Estévez milczał przez chwilę.

– Rozkazy czy osobista decyzja? – zagadnął w końcu.

– Rozkazy.

– Zostaje z kobietami – uzupełnił Ginés ze źle skrywaną urazą. – A teraz okazuje się, że...

– Przestań, towarzyszu – przerwał mu Estévez.

Młody mężczyzna przełknął ślinę.

– Rozkaz – wymamrotał.

Estévez obserwował Falcó z namysłem.

– Rozkazy są po to, żeby je wykonać – stwierdził wreszcie. Przeniósł wzrok na swych towarzyszy, potem znów na Falcó.

– Owszem. – Potaknął ów beznamiętnie.

– Pan nie jest falangistą. Nie znajduje się pan pod moją komendą.

– To prawda.

Estévez złożył plany i schował do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– W takim razie będzie pan zabezpieczał nasz odwrót. – Spojrzał na zegarek. – Za półtorej godziny.

– Oczywiście.

– Chce pan, żebym zostawił panu kogoś jeszcze? Dla mnie będzie ważna każda para rąk.

– Eva Rengel i Cari Montero wystarczą – uspokoił go Falcó. – Mamy tylko dawać sygnały Iltisowi i kontrolować to miejsce do waszego powrotu.

– Nie jestem pewien – powiedział Ginés. – Powinien zostać ktoś jeszcze.

– Ty? – zapytał Estévez.

– Nie, ja chcę iść z wami. Muszę iść z wami. Mam na myśli kogoś zaufanego. Kogoś z mojej grupy... Na przykład Ricote. Jest najmłodszy i najbardziej nerwowy. Nie będzie z niego wielkiego pożytku w Alicante.

Estévez zastanowił się przez moment.

– Zgoda. Chłopak ma broń?

– Możemy zostawić mu pistolet i kilka granatów.

– A kobiety?

– Moja siostra nie jest uzbrojona, ale Eva ma lugera.

– A pan?

Falcó poklepał się po prawej kieszeni kurtki.

– Mam broń – oświadczył.

– To wystarczy. – Estévez przyjrzał się każdemu z nich po kolei, zachowując ostatnie spojrzenie, wciąż zamysłone, dla Falcó. – Wszystko jasne? To ruszamy.

Zsynchronizowali zegarki, zgasili latarkę i wyskoczyli z ciężarówki na deszcz. Estévez odciągnął Falcó na bok.

– Jest coś, o czym nie wiem? – zagadnął cicho.

– Nic specjalnego. Tak jak powiedziałem, otrzymałem nowe rozkazy.

Cisza. Tylko szum deszczu. Po chwili westchnienie.

– Dziwi mnie pan. Nie należy pan do tych, którzy zostają z tyłu.

– Dziś w nocy zostanę.

Znow cisza. W głosie Esteveza brzmiał chłód. I dystans.

– Widocznie ma pan powody.

– Powiedziałem już. Mam rozkazy.

– Oczywiście. Rozkazy... Przynajmniej niech pan życzy mi powodzenia.

Spostrzegł, że ręka falangisty szuka jego ręki, by ją uścisnąć. Czując głęboki gniew na siebie i wstyd przenikający do szpiku kości, uścisnął ją mocno.

– Jasne – powiedział. – Powodzenia.

Ręka i twarz mu płonęły pod kroplami deszczu. Rozstali się bez dalszych słów. Ziemia była już bardzo rozmoknięta. Cienie schowane w samochodach i pod drzewami zebrały się wokół Esteveza. Mokre ubrania i broń połyskiwały w ciemności.

– Idziemy – powiedział falangista. – Pierwsza grupa jedzie ze mną w pierwszym samochodzie, główne siły w ciężarówce, drugi samochód na końcu. Nie zapalać świateł... Zostają obie panny i towarzysz Ricote.

Cari i chłopak zaprotestowali, ale Estévez uciszył ich oschle. Eva stanęła obok Falcó bez szemrania.

– W drogę – rozkazał Estévez. – *Arriba España!*

Deszcz ustał, z koron sosen spadały ostatnie krople. Falcó podniósł głowę i zobaczył, że przez szparę w rozdartym niebie prześwitują gwiazdy. Przeszedł kilka kroków do pierwszych wydm na plaży, wpatrując się w ciemny bezmiar, skąd dochodził słaby szum fal. Było zimno, mokre ubranie potęgowało to odczucie. Miał ochotę na papierosa, ale nie ośmielił się zapalić. Nie w tym momencie. Tak czy owak, zostały mu tylko dwa, przypomniał sobie. A przed sobą miał całą noc.

– Patrzcie! – krzyknęła Eva Rengel.

Na ciemnym morzu wiele mil stąd, naprzeciwko Alicante, zapłonęły języki ognia następujące po sobie z zawrotną szybkością. Miniaturowe błyskawice były początkowo bezgłóśne, lecz po kilku sekundach dobiegł do nich daleki, rytmiczny grzmot: bum-bum, bum-bum. Pomiędzy wybuchami dał się też słyszeć stłumiony odległością dźwięk podobny do trzasku rozrywanego płótna: bum-bum, bum-bum, praaast. Praaast. W mieście pojawiły się natychmiast plamy światła i strzelające w górę płomienie. Odgłosy kanonady także dotarły z opóźnieniem. Niby w fantastycznym spektaklu mury zamku świętej Barbary na przemian pojawiały się w pełnym blasku i znikały.

– O Boże! – szepnęła Cari Montero.

– Deutschland – oznajmił Falcó. – Z germańską punktualnością.

– Czerwoni będą mieli zajęcie, zanim dotrą tam nasi.

– Zapewne.

Ricote, falangista, któremu polecono zostać z nimi, stanął obok.

– Niesamowite! – powiedział. – Nigdy nie widziałem bombardowania.

Brzmiał jak młody chłopiec, niemal nastolatek. Falcó nie widział jeszcze jego twarzy, rozróżniał tylko głos i jasną plamę płaszcza. Nie wiedział o nim nic poza tym, że studiuje i że przyjechał z Alhamy drugim

samochodem. Zostawili mu astrę 9 mm largo i dwa granaty Lafitte, ale Falcó nie był pewien, czy młodziak potrafi ich użyć.

– Powinieneś... – zaczął. Przerwał mu odgłos wystrzału, który rozbrzmiał w głębi łądu za sosnowym zagajnikiem, przy drodze do Alicante. Niezbyt daleki, jakieś kilka kilometrów od nich.

– O Boże! – powtórzyła Cari.

Po pojedynczym strzale nastąpił wściekły terkot. Długa, intensywne wymiana ognia.

– Przy drodze. – W głosie Evy brzmiał niepokój. – Koło lotniska.

Odgłos strzelaniny był teraz bardzo głośny, jakby wiele petard wybuchowało naraz przez długą chwilę. Niekiedy przycichał na kilka sekund, po czym wzmagął się. W nieregularnych odstępach towarzyszyły mu krótkie, głuche dudnienia, które Falcó ocenił jako huk granatów. Niedaleko plaży trwała zaciekle walka.

– To oni – jęknął Ricote. – Nasi!

Cari Montero wydała ostry, przenikliwy pisk, Falcó chwycił ją za ramiona i potrząsnął gwałtownie.

– Cicho!

– Nie dotarli do Alicante! Odkryto ich!

– Cicho bądź, mówię!

– Mój brat! Mój brat i inni towarzysze!

Uderzył ją w skroń beznamiętnie. Jeden raz. Osunęła się na ziemię.

– Zajmij się nią – polecił Evie.

– Nie powinieneś był tego robić.

– Jeśli znowu krzyknie, zabiję ją.

– Nie opowiadaj takich rzeczy.

– Nie zrozumiałaś mnie... Naprawdę ją zabiję.

Na morzu ucichła kanonada z Deutschlanda, nad odległym miastem unosiła się łuna pożarów. Z pewnością płonęły magazyny ropy w porcie. Odgłosy walki dochodzące z głębi lądu były teraz sporadyczne. Strzały z broni palnej rozbrzmiewały rzadziej i bardziej nieregularnie, nie było słychać granatów.

– Jak morale, chłopcze? – Falcó zwrócił się do Ricote.

W głosie młodego falangisty brzmiało niezdecydowanie.

– Dobrze.

– Posłuchaj. Odkryto ich, zatem ci, którzy przeżyją – o ile znajdą się tacy – wycofają się tutaj. Jesteś w stanie wypełnić rozkaz?

– Oczywiście.

– Dobrze, w takim razie załaduj pistolet i przygotuj granaty... Umiesz się nimi posługiwać?

– Tak. Wyciągam zawleczkę i rzucam jak najdalej, iglica uderza w spłonkę, wybuch następuje po kilku sekundach.

– Bardzo dobrze. Idź pod zagajnik tak jak przedtem i stań na straży. Jeśli kogoś usłyszysz, zapytaj, kto idzie, a jak cię nie przekona odpowiedź, to strzelaj. Postaraj się nie postrzelić nikogo z naszych... Łódź przyplynie dopiero za jakiś czas, trzeba poczekać. Damy ci znać.

– Na pewno?... Przyplynie ta łódź?

– Całkowicie na pewno.

Młody człowiek chwycił go za ramię, był napięty.

– Nie zostawicie mnie tutaj?

– Masz moje słowo honoru. A teraz idź już.

Młody odetchnął. Jego głos zabrzmiał bardziej zdecydowanie.

– Rozkaz.

Jasna plama płaszcza zniknęła wśród drzew. Dobry cel w ciemności, pomyślał automatycznie Falcó. Odwrócił się do Evy i Cari. Leżały pod małą wydumą, dwa cienie na piasku. Cari jęczała głucho. Po chwili zaczęła szlochać.

– Zajmę się nią – powiedziała Eva.

– Dobrze.

– Za ile przyplynie łódź?

W głosie dziewczyny brzmiał spokój. Pewność siebie. Falcó odetchnął.

– Nie wiem.

Wyjął latarkę, wycelował w mrok wody i kilkakrotnie wcisnął włącznik. Kropka, kreska, dwie kropki. Było zbyt wcześnie, ale czas naglił. Odczekał chwilę, nie otrzymując odpowiedzi. Oby tylko, pomyślał, dowództwo nie postanowiło porzucić go własnemu losowi tak jak Esteveza i innych ludzi, którzy w tym momencie byli albo już martwi, albo bliscy śmierci. Choć to też możliwe, że kapitan Iltisa jako dobry Niemiec trzymał się rozkazów i nie zamierzał wysłać łodzi przed upływem ustalonego terminu. Problem polegał na tym, że biorąc pod uwagę rozwój wypadków, mogło się okazać, że będzie za późno. Jeśli ktoś ocalał z zasadzki i sprowadzi tu czerwonych, ta plaża przerodzi się w piekło, z którego nikt nie zdoła ich wydostać.

Schylił się, potem przykucnął na piasku. Trząśnięcie zimna w nasiąkniętej kurtce i sztruksowych spodniach. Był cały mokry od zewnątrz i zde gustowany od środka. Bardzo. Jego zatwardziałość, realistyczny cynizm, owoc lat, ciosów, kobiet i życia przyczyniały się do budowy dystansu wobec wielu kwestii, ale nie rozwiązywały wszystkiego. Bynajmniej. I z pewnością nie zacierały takiej podłości jak ta. By utrzymać niezbędną trzeźwość sądu, Falcó zmusił się, żeby nie myśleć o ludziach z grupy szturmowej – już nie było sły chać żadnych strzałów w głębi ładu – o Ginesie Montero w okularach krótkowidza, o kuzynach Balsalobrach

i milczącym gwardziście Torresie, o młodym rudzielcu i wąsatym dowódcy grupy wpatrujących się w plany w świetle latarki. O melancholijnej twarzy Fabiana Esteveza na kilka minut przed tym, jak wsiadł do auta i odjechał w noc.

– Myślisz, że ktoś się uratował? – zapytała Eva z ciemności.

– Nie wiem... Nie sądzę.

Splunął z goryczą. Co za podła świnia z tego Boga, powiedział sobie. O ile w ogóle istnieje. Oby istniał, to będzie można kiedyś zażądać od niego rachunku. Schylił się jeszcze bardziej, wsunął do ust przedostatniego papierosa i ukryty za wydumą zapalił, kryjąc płomyk zapałki we wnętrzu rąk. Do diabła z tym wszystkim.

Usłyszał szmer obok siebie. Eva przysunęła się do niego. Wyciągnęli się na mokrym piasku, przyklejeni jedno do drugiego, trzęsąc się z zimna. Wyczuł pod jej ubraniem twardy kształt lugera. Osłaniając dłońmi żarzącego papierosa, podsunął go do jej ust, zaciągnęła się głęboko kilka razy. Gdy papieros się wypalił, Falcó zgasił go starannie i leżeli z Evą ciasno objęci i nieruchomi, próbując ogrzać się nawzajem pod strzępami czarnego nieba, w których migotały gwiazdy.

Wszystko wydarzyło się niemal jednocześnie: plusk wioseł nieopodal brzegu, czarny kształt łodzi wynurzający się z morza i nocy, Falcó zrywający się na równe nogi i ruszający w stronę plaży, wystrzały z pistoletu bardzo blisko, na drodze za sosnowym zagajnikiem. Dreszcz niepokoju przebiegł mu po plecach.

– Bierz Cari, Evo! Biegiem!

Niebo rozchmurzyło się nieco, słabe światło księżyca przebijające się przez obłoki pozwalało dostrzec kontury przedmiotów z najbliższego

otoczenia. Łódź dobijała do brzegu, czarny cień, na którym rysowały się sylwetki marynarzy pochylonych nad wiosłami.

– Eva, Cari!

Do wystrzałów z pistoletu – pięć, sześć, liczył Falcó – dołączył grzechot broni długiej. Salwa z karabinu i serie z cekaemu. Do tego nagły wybuch granatu. Pum-ba. Lafitte. Falcó skrzywił usta z wdzięcznością. Młody Ricote drogo sprzedawał swoją skórę. Dobry chłopak.

– Szybciej!

Z pistoletu falangisty padł ostatni strzał – nie miał więcej nabojów w magazynku – w tym samym momencie rozległ się huk kolejnego granatu. Potem nastąpiła cisza i Falcó uznał, że młody nie żyje albo biegnie do nich przez las, a za nim czerwoni.

– Do łodzi! Prędzej, do łodzi!

Wrócił do kobiet, które podążały w jego stronę. Dwa cienie grzęznące w piasku. Jedna przeszła obok niego, druga upadła. Schylił się, by ją podnieść. To była Cari. Chwycił ją za ręce i postawił na nogi. Tuż przy jego twarzy przemknęło coś z głośnym świstem, jakby bąk lecący w linii prostej. Dźwięk strzału dobiegł z zagajnika.

– Wsiadajcie na łódź!

Ołowianych bąków było coraz więcej. Ziaaang, ziaaang, bzyczały wokół niego, a na linii lasu pod czarnymi cieniami drzew rozbłyskiwały smugi ognia. Falcó podtrzymywał Cari zmierzającą w stronę brzegu. Wzdrygnęła się nagle, gdy w jej ciało uderzyło coś z ledwie słyszalnym plaśnięciem, znieruchomiła i osunęła na ziemię.

– Cari! Wstawaj, Cari!

Pochylił się nad nią, chwycił za ręce i powłókł po piasku. Jęczała. Zerknął za siebie z niepokojem, obawiając się, że marynarze zawrócą na dźwięk strzelaniny, i zobaczył sylwetkę Evę klęczącą obok wydmy,

odcinającej się od jej tła, strzelającej z lugera trzymanego w złożonych dłoniach. Pam, pam, pam. Trzy błyski i trzy wystrzały. Dziewczyna wycofała się o kilka kroków, zmieniła pozycję, uklękła ponownie i zaczęła strzelać z niezmaconym spokojem, odczekując kilka sekund po każdym strzale. Pam. Pam. Pam.

Od morza, od łodzi, dobiegł go głos: ktoś usiłował przekrzyczeć strzelaninę. Falcó nie zrozumiał słów, lecz ich sens owszem. Odpływają. Poczł nagłą miękkość w pachwinach, serce zaczęło mu łomotać w piersi. Cari Montero jęczała cicho. Żyła, ale była zbyt ciężka. Puścił ją i ruszył pędem w stronę brzegu. Eva nie strzelała już, biegła przed nim. Dogonił ją w wodzie, podążali z chlupotem ku ciemnemu kształtowi. Dopadli go mokrzy po pas. Pocisk wystrzelony z łądu uderzył w drewniane nadburcie; kiedy Falcó skakał na nie, pomogło mu kilka rąk ciągnących za mokre ubranie. Poleciały drzazgi, tuż przy jego twarzy. Rozległa się komenda po niemiecku i wiosła zaskrzypiały w dulkach. Falcó nawet nie spojrział za siebie. Leżał całkowicie wyczerpany na pokładzie między nogami wiosłarzy. Miał zamknięte oczy i otwarte usta, którymi łapczywie łykał powietrze. Płuca paliły go, obok siebie czuł dygoczące, mokre i zimne ciało Ewy Rengel.

12. NIC NIE JEST TAKIE, NA JAKIE WYGLĄDA

– Co za nieszczęście! – powiedział Ángel Luis Poveda.

Szef wywiadu Falangi miał na sobie niebieską koszulę i brązowy garnitur, a pod marynarką pistolet. Małe, nieufne oczka świdrowały Lorenza Falcó: już od dwudziestu minut wpatrywały się w niego podejrzliwie zza okrągłych szkieł okularów, podczas gdy agent – dotarł do Salamanki poprzedniej nocy – kończył szczegółową relację: raport z porażki.

– Prawdziwe nieszczęście – powtórzył przygnębiony falangista.

Siedzieli w gabinecie Admirala, który po drugiej stronie stołu zawalonego teczkami słuchał ich w milczeniu z dymiącą fajką w ustach, rozparty w fotelu niby bezstronny arbiter. Był po cywilnemu, w nieodłącznym swetrze z dzianiny. Za oknem wiatr poruszał nagimi gałęziami drzew przed kopułą katedry.

– Sądzi pan, że był przeciek?

Falcó wytrzymał jego spojrzenie bez mrugnięcia. Czuł na sobie wzrok Admirala zalecającego ostrożność. Uważaj, chłopcze. Bardzo uważaj na tego ptaszka.

– Nie wiem – odparł. – Możliwe, że czerwoni odkryli ich przypadkiem. Koło lotniska był posterunek, a oni przejeżdżali nieopodal... To mógł być zwykły pech.

– Ale czekali na nich... Czy nie?

– Mnie tam nie było. Nie mogę wiedzieć.

– Minęło pięć dni.

– Otóż wiem jeszcze mniej niż pan.

– Miał pan dużo szczęścia. – Poveda obrzucił go nieprzyjaznym wzrokiem. – Że nie poszedł pan z nimi.

– Tak sędzę.

– Całkowita katastrofa. – Falangista, zdruzgotany, przetarł dłonią twarz. – Dowiedziałem się wczoraj w nocy. Czerwoni napisali o tym w „Diario de Alicante”: dwunastu zabitych na miejscu w zasadzce, dziewięcioro rozstrzelanych nazajutrz.

– Kobieta też?

– Tak. Caridad Montero. Zabici i ona, i jej brat... Towarzysz Fabián Estévez poległ w boju z resztą grupy szturmowej. Nie dał się wziąć żywcem.

Uklucie melancholii. Dyskomfortu. A może to był wyrzut sumienia. Falcó skrzyżował nogi i spojrzał w okno.

– Można się było tego spodziewać – stwierdził.

– W Falandze jesteśmy pewni, że ktoś wsypał. Że wpadli w zasadzkę.

Falcó przesunął wzrok na niego.

– Napomknął pan o tym już wcześniej. Ale co ja mam do tego?

– Pan uciekł z tą drugą kobietą.

– Tak, miałem na tyle szczęścia. I musiałem na nie zapracować.

Admirał wypuścił z fajki gęsty obłok dymu. Prawe oko spoglądało niechętnie na Povedę przez szaroniebieską chmurę, która rozwiewała się przed nim.

– Czy pan przypadkiem nie podaje w wątpliwość lojalności mojego agenta?

– Ja nie podaję w wątpliwość niczego – wycofał się falangista. – Ja tylko trzymam się faktów. Moi towarzysze nie żyją, a pański człowiek owszem.

– Ta dziewczyna, Eva Rengel, też jest falangistką – zauważył Admirał. – I udało jej się uciec. Z pewnością przekazała panu swoją wersję wydarzeń.

– To prawda – przyznał Poveda. – Całkowicie zgodną z waszą wersją.

– A gdzie przebywa teraz?

– W domu żeńskiej sekcji Falangi.

– Do momentu, aż dostanie kolejny przydział, jak sędzę.

– Właśnie tak – potwierdził szef wywiadu Falangi.

– Rozumiem.

Było coś dziwnego, zauważył Falcó, w tonie Admirala. Jakaś szczególna niechęć. Jakby patrząc na Povedę, widział rzeczy, których nie widział on, Falcó.

– Ta porażka stawia nas w bardzo złym położeniu – poskarżył się falangista. – Obawiamy się o życie José Antonia. Najwyraźniej stanął właśnie przed sądem w Alicante... Pseudolegalna farsa, rzecz jasna.

– Chyba nie spodziewa się pan sprawiedliwego sądu – stwierdził Admirał. – Nie na tym etapie.

– Oczywiście, że nie. Ale zdaje się, że nasza interwencja przyspieszyła sprawy. – Falangista popatrzył na Falcó ze źle skrywaną urazą. – To wszystko zrobiło się bardzo szpetne.

Admirał wskazał ruchem podbródka na swojego agenta.

– On zrobił, co było w jego mocy – podkreślił.

Poveda wstał bez słowa. Unikając ich wzroku, poirytowany. Wsunął ręce do kieszeni marynarki i wzruszył ramionami. Ten gest jeszcze bardziej

odsłonił pistolet w skórzanej kaburze przytroczonej do pasa.

– To okropne... To straszny cios. Powiedziano mi, że Franco jest niepocieszony.

Admirał uśmiechnął się półgębkiem i rozłożył ręce w przerysowanym geście współczucia.

– Naturalnie – powiedział.

Poveda wyszedł, nie podając im ręki, bez słowa pożegnania. Ani Falcó, ani Admirał nie ruszyli się z miejsca. Patrzyli na siebie w milczeniu.

– Niepocieszony – powtórzył po chwili Admirał z sardonycznym uśmiechem.

Falcó spojrział na portret Caudilla.

– Skąd czerwoni mieli cynk?

Admirał przymknął oczy znużony.

– Mieli. Nieważne skąd.

– Paquito Araña? Czy bezpośrednio stąd?

Nie uzyskał odpowiedzi. Admirał sprawdzał, czy tytoń dobrze się pali.

– Nie rozumiem, po co mnie tam wysłano – nalegał Falcó. – W sumie praktycznie na nic się nie przydałem. Świetnie poradziliby sobie beze mnie.

– Nastąpiła zmiana planów w połowie operacji.

– Jaka zmiana?

– Nieważne. Ale nagle przestałeś być potrzebny. Dlatego wysłałem do ciebie Paquita Arañę. Odkryliśmy coś ważnego. Coś, co zmieniło postać rzeczy.

– Co odkryliście?

– To nie twoja sprawa. W kwaterze głównej są zadowoleni z przebiegu wydarzeń i tylko to się liczy.

– Pański przyjaciel Nicolás Franco, jak sądzę, panie admirale.

Admirał zgromił wzrokiem bezczelnego agenta.

– Zamknij ten głupi dziób. I nie wtrącaj się w rzeczy, których nie rozumiesz.

– Wedle rozkazu.

– Właśnie tak, psiakrew, wedle rozkazu... Lepiej na tym wyjdiesz.

Zapadła niezręczna cisza. Admirał zapalił zapałkę i przybliżył ją do cybucha. Jego marsowe czoło rozpogadzało się powoli.

– Jak się czujesz? – zagadnął w końcu innym tonem.

– Zmęczony.

Kolejne obłoki dymu. Kolejna cisza.

– I chyba smutny – dorzucił Falcó po chwili.

Prawe oko i szklane oko, tym razem całkowicie zbieżne, lustrowały go przez moment. Twarz Admirała złagodniała. We wzroku zabłysło zrozumienie. Może nawet, pomyślał Falcó, szczypta współczucia i sympatii.

– Weź kilka dni wolnego. Salamanka jest smętniejsza niż cmentarny cyprys... Pojedź sobie do Biarritz, odpocznij. Skontaktuję się z tobą.

– Może rzeczywiście tak zrobię. – Falcó uśmiechnął się krzywo z ironią. – Zależy panu na tym, żebym zniknął na jakiś czas?

To by się przydało, przyznał Admirał. José Antonio zostanie rozstrzelany, bez dwóch zdań, dodał. Wręcz bez jednego zdania, po tym, co się wydarzyło. W Salamance polecą głowy. Przywódcy Falangi pozabijają się o najwyższy stołek. Są dwa stronnictwa, jedno twardogłowych, radykalne, drugie gotowe do przejścia pod komendę Franco. Wszyscy towarzysze, ale jedni bardziej, a inni mniej. Nadchodzą burzliwe czasy, porachunki na tyłach i tym podobne. Konsolidacja władzy i eliminacja tych, którzy sprzeciwią się jednolitemu dowództwu. Samemu Povedzie, który

należy do twardogłowych, pali się grunt pod nogami. W najmniej oczekiwanym momencie falangiści zaczną wykańczać się między sobą.

– Generalissimus i jego brat pociągają za sznurki – zakończył. – A ci dwaj nie wdają się w szczegóły. Ulotnij się. Nie chcę, żebyś oberwał rykoszetem.

– A co z Evą Rengel?

Trzy pyknięcia fajki i długa cisza. Admirał nie patrzył na Falcó.

– Ta dziewczyna teraz należy do nich – odezwał się wreszcie. – Trzymaj się z dala od niej.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Zdrowe oko spojrzało z irytacją na Falcó.

– Chcę powiedzieć, że nie ma już z tobą nic wspólnego... Zakładając, że kiedykolwiek mieliście z sobą coś wspólnego.

Falcó zastukał w krawędź stołu.

– Oczywiście, że mieliśmy! – zaprotestował. – Przeszliśmy razem wiele niebezpieczeństw i zachowała się fantastycznie. To pewna kobieta, godna zaufania... Wykonała wyrok na zdrajcy, a na plaży postąpiła wspaniale. Zamiast pobiec prosto do łodzi, osłoniła mnie ogniem.

– Spałeś z nią?

Admirał patrzył na niego beznamiętnie. Falcó przechylił się do tyłu na krześle.

– Z należnym szacunkiem, panie admirale, to nie pańska sprawa.

– Zależy.

– Co pan ma na myśli?

Szef przyglądał mu się dziwnym wzrokiem.

– Zapomnij o niej – powiedział po chwili. – Powiedziałem ci, że teraz należy do nich... Do swoich towarzyszy i tych, którzy nie są jej

towarzyszami.

Falcó zamarł z otwartymi ustami. Coś jest grane, pomyślał. Coś, czego ten parszywy sukinsyn nie chce mi powiedzieć. Coś, o czym on wie, a ja nie. I bez względu na to, co to było, to coś poważnego.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz. A teraz spadaj stąd.

Falcó łamał sobie głowę. Próbował łączyć wątki. Wysznuć wnioski z tego całego galimatiasu.

– Admirale...

Szef władczo wskazał mu drzwi ustnikiem fajki.

– Spadaj, powiedziałem. Ale to już. Nie ma cię.

Dom żeńskiej sekcji Falangi stał przy Cuesta de la Encarnación. Miał żelazne balkony – z jednego zwisała czerwono-czarna flaga – i wyblakłą kamienną fasadę z szeroką, ciemną sienią, gdzie drogę zagroził mu jednoręki portier.

– Przychodzę do panny Rengel – powiedział Falcó, pokazując legitymację.

Portier obrzucił go nieufnym spojrzeniem, wziął do ręki legitymację i obejrzał ją dokładnie. Następnie, nie wymówiwszy ani słowa, zniknął we wnętrzu przeszklonej budki. Po chwili wrócił i oddał mu dokument.

– Zaraz zejda – powiedział.

Falcó czekał u dołu schodów o wytartych kamiennych stopniach. Skądś dobiegał zapaszek typowego koszarowego jadła z kotła. Kartofle z wody, pomyślał. I wściekle słony dorsz. Nie pociekła mu ślinka.

– Panna Rengel wyszła – powiedziała kobieta.

Schodziła z piętra powoli, obserwując gościa z góry. Była w średnim wieku, o gęsto przetykanych siwizną, krótkich, kręconych włosach, tłustych

i domagających się porządnego mycia, uznał Falcó. Miała bardzo wąskie wargi i twarde oczy w przedwcześnie postarzałej twarzy bez śladu makijażu. Długa, bura spódnica, buty na płaskiej podeszwie. Można ją było wziąć za zakonnice po cywilnemu, gdyby nie niebieska koszula z jarzmem i strzałami wyszytymi czerwoną nicią na lewej kieszonce.

– A kiedy wróci?

Kreska ust zacisnęła się jeszcze bardziej.

– Nie sądzę, żeby miała wrócić.

Falcó patrzył na nią zbity z tropu. Było coś nieprzyjemnego w tonie głosu tej kobiety.

– Ale ona dopiero przyjechała. Kwateruje tutaj.

– Już nie.

– A dokąd się przeniosła?

– Nie wiem.

Portier przysłuchujący się z boku rozmowie spoglądał na gościa z jawną wrogością.

– Nie rozumiem – powiedział Falcó. – Co tu się dzieje?

Zauważył, że kobieta i portier wymieniają spojrzenia.

– Dzieje się... – powiedziała po chwili – ...że musi pan poszukać jej gdzie indziej.

Wygłosiła tę kwestię triumfalnie, jakby napawała się zakłopotaniem niechcianego gościa. Powstrzymywany uśmiech portiera świadczył o tym, że ów także dobrze się bawi.

– Proszę... – nalegał Falcó. – Czy mogłaby pani wyjaśnić mi, o co tu chodzi?

Kobieta obrzuciła go podejrzliwym wzrokiem od stóp do głów. Wyglądała, jakby nie spodobało się jej to, co zobaczyła.

– To pańska znajoma?

Falcó potaknął, a skąpe wargi rozchyliły się w uśmiechu satysfakcji. Podejrzenie zostało potwierdzone.

– To powinien pan ostrożniej zawierać znajomości, bo zabrała ją policja.

– Została aresztowana?

– Tak.

Falcó zastygł z otwartymi ustami.

– To jakaś bzdura – zareagował po chwili.

– Bzdura? No, nie wiem. Państwo wiedzą lepiej.

– Kto ją aresztował?

– Przyszło dwóch funkcjonariuszy – wtrącił portier, by pokazać, że on też jest poinformowany. – A na ulicy czekał jeszcze jeden w aucie.

Zamilkł, gdy kobieta rzuciła mu władcze i groźne spojrzenie. Falcó zapytał, co to byli za policjanci, ale nie dowiedział się niczego więcej. Policjanci, skwitowała kobieta, odzyskując kontrolę nad rozmową. Pokazali odznaki.

– A dokąd ją zabrali?

– To na szczęście nie nasza sprawa.

Głowa mu płonęła, gdy szukał wyjaśnienia tego wszystkiego. Policja w Salamance w tych czasach to mógł być każdy: wywiad Falangi, karliści, służba bezpieczeństwa, wywiad wojskowy, nawet SNIO. Nagle stanęły mu w pamięci obiekcje Admirala podczas ostatniej rozmowy. Jego dziwny ton, gdy zapytał o Evę Rengel. Jej towarzysze, powiedział, i ci, którzy już nie są jej towarzyszami.

– Ale dlaczego została aresztowana? – nalegał. – Czy ci, którzy ją zabrali, podali jakiś powód?

Kobieta zaśmiała się twardo i nieprzyjemnie.

– Do tego nie potrzeba powodów, wie pan... Skoro ją aresztowali, to znaczy, że coś zrobiła.

Admirał mieszkał przy ulicy Compañii na pierwszym piętrze kamienicy z przeszklonymi balkonami, które o tej porze odbijały liliowe światło zmierzchu. Kiedy Falcó zapukał do drzwi, otworzył mu Centeno, adiutant: podoficer marynarki, drobny, rudowłosy, piegowaty. Miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękami, rozluźniony krawat. Był podwładnym zdyscyplinowanym i milczącym. Z tego, co wiedział Falcó, towarzyszył Admirałowi od czasów bałkańskich. A może jeszcze dawniejszych.

– Jest w domu? – zapytał Falcó.

– Tak. Proszę wejść.

Z wnętrza dobiegał dźwięk gramofonu. Admirał lubił tanga i coplę. Podoba mu się wszystko to, co opowiada historie muzyką i słowami, mawiał. Niekiedy nucił całe zwrotki. Falcó rozpoznał melodię *Ojos verdes* i głos *Miguela de Moliny*. Przeszedł do salonu: kredens z ceramiką i książkami, obrazy na ścianach, zrobione na szydełku podłokietniki na sofie, krzesła z zamszową tapicerką. Mieszkanie było tradycyjne, mieszczańskie, objęte po rozstrzelanym właścicielu deputowanym z ramienia socjalistów. Admirał spoczywał w fotelu bujanym obok kominka, gdzie płonęło grube dębowe polano. Miał na sobie wełniany sweter, bardzo pomięte flanelowe spodnie i zamszowe kapcie. Na kolanach książkę, oświetloną lampką z sąsiedniego stolika. Jego małżonka, siedząca na krześle naprzeciwko z kotem zwiniętym u stóp, robiła na drutach.

– Ach, to ty – powiedział Admirał.

Nie wyglądał na zdziwionego wizytą Falcó. Ów przywitał się z kobietą – średni wiek, ślady dawnej urody, miły uśmiech – która wstała i wyszła

z pokoju podobnie jak Centeno. Kot otarł się o buty gościa, który stał przed Admiralem spoglądającym nań z fotela z wygasłą fajką w ustach. Po chwili przełożony wyjął ją i wskazał na wolne krzesło.

– Siadaj, nie stój tak... Napijesz się czegoś?

– Nie. Dziękuję.

Admirał zamknął książkę, zaznaczywszy czytane miejsce zakładką, i odłożył ją na stolik, obok lampy. Patrzył na Falcó, bawiąc się fajką.

– Dziwna pora na odwiedziny – odezwał się wreszcie.

Szklane oko zdawało się błędzić po pokoju, lecz lewe wpatrywało się uważnie w gościa. Falcó usiadł obok kominka z płonącym polanem. Admirał w zamyśleniu przesunął cybuchem po szarym wąsie poplamionym nikotyną.

– Co z nią zrobili? – zapytał Falcó bez ogródek.

Gospodarz sprawiał wrażenie, że nie usłyszał pytania. Kot wskoczył mu na kolana, Admirał głaskał go machinalnie. Nadal przyglądał się agentowi z ciekawością. Po dobrych kilku chwilach opadł na oparcie fotela, puścił kota i spojrzał w buzujący ogień.

– Od jak dawna się znamy? – zagadnął. – Od pięciu lat?

– Sześciu.

– To prawda, od sześciu. – Podniósł na niego wzrok. – Stambuł, po tej historii w Bukareszcie. Kolacja z węgierskim ambasadorem, z którego żoną notabene byłeś związany... Sprzedawałeś wtedy sprzęt wojskowy między innymi meksykańskim i irlandzkim rewolucjonistom i wiele tajnych służb polowało na ciebie... Pamiętasz?

– Jasne.

– Wkrótce po tym musiałem wybierać: albo cię zlikwiduję, albo zrekrutuję. Wybrałem tę drugą opcję i nigdy nie żałowałem.

Zamilkł, wpatrując się w cybuch. Po chwili pochylił się nieco i opróżnił fajkę, stukając nią o cokół kominka.

– To nie jest ani powstanie, ani zamach stanu coraz bardziej zagmatwany i skomplikowany – uzupełnił. – To wojna. I będzie długa... Długa i bardzo ciężka. Już się taka zrobiła. Być może zalążek następnej wojny, większej. Może nawet światowej. Jak tamta dwadzieścia lat temu.

Powstał, odkładając fajkę na stolik. Muzyka umilkła, więc podszedł do gramofonu, zdjął płytę i położył następną. Zabrzmiały pierwsze takty *La cumparsity* i melancholijny głos Carlosa Gardela.

– Wielu chciałoby wtrącić swoje trzy grosze – ciągnął. – Demokracje europejskie na szczęście trzymają się na uboczu, nie interweniują. W głębi duszy pragną, żebyśmy wygrali my, ale udają bezstronność. Ci drudzy nie mają kompleksów: Hitler, Mussolini... Pełno już tu makaroniarzy i szwabów i pchają się następni. Z kolei czerwoni mają za sobą Komintern. I Rosję.

– Niech pan powie mi coś, czego nie wiem – zniecierpliwił się Falcó. Admirał obrzucił go cenzorskim spojrzeniem.

– Mówię ci to, co mi się podoba i na co mam ochotę. Zrozumiano? Jesteś w moim domu, tłuku. Jak ci się nie podoba, wiesz, gdzie są drzwi. Droga wolna.

Mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Pierwszy zamrugnął Falcó.

– Tak jest, panie admirale.

– Jasne, że tak jest, panie admirale. Spróbowałbyś powiedzieć, że nie.

Admirał wrócił na fotel, bujał się przez moment, patrząc na ogień, po czym podniósł wzrok na Falcó.

– Eva Rengel jest rosyjską agentką.

Przez długą chwilę w pokoju było słychać tylko głos Gardela i trzask polana w kominku. Falcó oniemiał. I osłupiał. Jakby poraził go prąd.

– Co proszę?! Chce pan powiedzieć, że pracuje dla ruskich?

Admirał machnął niecierpliwie ręką.

– Chcę powiedzieć właśnie to, co powiedziałem. Naprawdę nazywa się Eva Neretwa, jej ojciec był Rosjaninem, matka Hiszpanką... Nie pracuje dla czerwonych, tylko dla NKWD, sowieckiego wywiadu. I nie przekazuje informacji Madrytowi czy Walencji, tylko Moskwie.

– Ale ona... Ale Falanga...

– Wkręciła się w nich z zimną krwią. Działa od dawna, szpieguje na rzecz Sowietów. Jej bezpośredni przełożony to Paweł Kowalenko alias Pablo, sowiecki doradca w Hiszpanii i lokalny szef Wydziału do Zadań Specjalnych... Absolutna kanalia.

Falcó cieszył się z tego, że siedzi, bo na stojąco wypadłby słabo. Czuł nieprzyjemny skurcz w brzuchu. Na Boga. Miał nerwy ze stali, ale to przechodziło najśmielsze wyobrażenia. Całą jego trzeźwość umysłu diabli wzięli.

– Co się stało w Alicante?

Wszystko szło zgodnie z planem, odrzekł Admirał. Falcó był tam, o czym jeszcze nie wiedział, po to, żeby zepsuć operację; nikt tak naprawdę nie chciał, by José Antonio znalazł się na wolności, za wyjątkiem kilku naiwniaków. Caudillo i jego brat Nicolás uruchomili całą akcję, choć od początku wiedzieli, że się nie powiedzie. A w połowie operacji nastąpił zwrot. Dzięki przeciekowi – pewnemu agentowi Republiki, który przeszedł na stronę narodowców we Francji – frankistowskie tajne służby dowiedziały się, że NKWD także interesuje się tą sprawą. Ani oni, ani czerwoni, ani ruscy nie chcieli José Antonia za murami więzienia i bruźdzącego w Salamance. Skontaktowali się więc i doszli do porozumienia. Jak to w branży. Falcó wie aż za dobrze, jak to działa.

– Ciebie już nie potrzebowaliśmy, ale wciąż tam byłeś... Najpierw postanowiono cię poświęcić, abyś wpadł razem ze wszystkimi, ale sprzeciwiłem się i wysłałem Paquita Arañę, żeby cię uprzedził.

Falcó próbował uporządkować myśli. Powiązać ze sobą fakty. Jego głowa była niczym klatka pełna oszalałych cykad. Admirał przyglądał mu się wyrozumiale.

– Dobrze wiesz, jak to działa – powtórzył. – Jakie są reguły gry... Często nic nie jest takie, na jakie wygląda.

– Dlaczego czerwoni aresztowali mnie w Alicante?

– Bo już wiedzieli, kim jesteś. Trzeba było im powiedzieć.

– Niech to szlag.

– Nie było wyjścia.

– A dlaczego wypuścili mnie w środku przesłuchania?

– Zawsze byłeś farciarzem. – Admirał pozwolił sobie na lekki uśmiech. – Dziewczyna zainterweniowała.

– Ona?

– Tak.

Carlos Gardel zamilkł już dawno temu. Falcó czuł, że dusi go żar dobiegający od kominka. Ciało miał zlane potem. Wstał i przeszedł kilka kroków po pokoju. Kot drzemiący na dywanie podniósł łebek i spojrzał na niego z zainteresowaniem. Za oknem miasto powoli zapadało w noc.

– To Rengel czy Neretwa, jak tam chcesz ją zwać... – powiedział Admirał – ...skontaktowała się z Kowalenką i uzyskała twoje zwolnienie. Nie wiem, jakimi argumentami. Gdyby nie ona, nigdy byś stamtąd nie wyszedł.

Falcó oparł czoło o szybę. Jej chłód przyniósł mu pewną ulgę. Przypominał sobie teraz stłumione głosy za plecami, kiedy przestali go bić

w katowni w Alicante. Nie widział mówiących, bo głowę miał przywiązaną drutem do oparcia krzesła. Może specjalnie, żeby nie mógł się odwrócić. Może była tam przez cały czas.

– Dlaczego to zrobiła?

– Pojęcia nie mam. Nie byłeś już potrzebny ani jej, ani nikomu, a mimo to doprowadziła do twojego uwolnienia. – Admirał spojrzał na niego i rzekł z sarkazmem: – Może polubiła cię, może kręciłeś z nią bardziej, niż mi powiedziałeś. Tak czy owak, nie ulega wątpliwości, że uratowała ci życie.

– Nie tylko wtedy. Na plaży, kiedy uciekaliśmy, nie pobiegła od razu do łodzi, zatrzymała się, strzelała, osłaniając mnie. Mogła mnie zabić, gdyby tylko zechciała.

– Miała swoje powody. Kobięca dusza jest nieodgadniona. – Popatrzył w stronę przedpokoju. – Nawet własnej żony nie rozumiem, wyobraź sobie... A co dopiero mówić o agentce...

Falcó wciąż stał przy oknie. Ulicą przejechał wóz w gęstniejącym mroku. Słyszał stłumiony stukot kopyt muła na bruku.

– A dlaczego przedostała się ze mną do strefy narodowej? – zapytał na głos. – Dlaczego weszła na pokład Iltisa? Ryzykowała... Byłoby dla niej o wiele bezpieczniej zniknąć wcześniej, zostawiając nas wszystkich w łapach czerwonych.

Admirał potaknął.

– Tu nie mamy pewności, możemy tylko się domyślać. Być może takie otrzymała rozkazy. Biorąc pod uwagę, jak głęboko była zakonspirowana, Kowalenko mógł wysłać ją do Salamanki, żeby przeniknęła do kwatery głównej.

– A jak dowiedzieliście się, że jest rosyjskim szpiegiem?

– Gość, który przeszedł do nas we Francji, na początku nie powiedział nam o niej. Wspomniał tylko, że w waszej grupie jest agent czerwonych,

a my uznaliśmy, że ma na myśli tego biedaka, którego zlikwidowałeś...

– Juana Portelę.

– Właśnie. Ale okazało się, że nie. W końcu dezterter opowiedział nam całą historię i zrozumieliśmy, że wykończyliście niewinnego. I jak się teraz czujesz? Ów Portela był falangistą bez skazy. To Eva Rengel zorganizowała fałszywe dokumenty i wkopała go, żeby odciągnąć uwagę od siebie.

Falcó skrzywił się z goryczą. Przez głowę przebiegło mu wspomnienie szybkie jak błysk ognia, który oświetlił na moment kark falangisty. Jak dźwięk wystrzału i zapach prochu, który natychmiast rozplynął się w powietrzu. A wcześniej on sam skatował tego człowieka.

– To ona go zabiła – powiedział niemal szeptem.

Admirał pokiwał głową.

– Tak. Najwyraźniej to kobieta z jajami.

– A kiedy dowiedzieliście się, że jest agentką NKWD?

– Wczoraj w nocy. Dezterter dokończył swoją opowieść i padło jej nazwisko. Już była na miejscu, więc ustaliliśmy, co z nią zrobić.

– Kto?

– Mały gabinet kryzysowy złożony z pułkownika Lisarda Queralta, szefa policji i służby bezpieczeństwa, którego znasz, oraz mnie. To Queralt wyciągnął te informacje od deztertera. Powiedział, że zajmie się tym, i uznałem, że to dobry pomysł.

– Czemu nic mi pan nie powiedział dziś rano?

– A czemu miałbym to robić? Ta dziewczyna to nie twoja para kaloszy. Ani teraz, ani przedtem.

Falcó odsunął się od okna.

– To wszystko to jedno wielkie gówno, admirale.

– Dziwi mnie, że się dziwisz.

– Gdzie teraz jest?

– A co cię to obchodzi?

– Gdzie, admirale? Mam prawo wiedzieć.

Wrócił do krzesła, ale nie usiadł. Ze swojego fotela Admirał wykonał gest irytacji.

– Gówno masz, a nie prawo – burknął rozdrażniony. – Wyszedłeś cało z Alicante, czego nie mogą powiedzieć pozostali. Ciesz się z tego i nie drąż sprawy.

– Co z nią zrobili?

– Mają ją ludzie Queralta, powiedziałem ci. Znasz jego metody. Nie wiem, w jakim może być stanie w tym momencie... Sukinsyn powiedział, że zamierzają wydusić z niej wszystko, co wie, a pewnie jest tego dużo. Ale jeśli jest taka twarda, jak mówisz, to pewnie potrwa. No nie?

Ponownie zaczął się bujać w fotelu. Wyciągnął rękę w stronę książki leżącej na stoliku, jakby uznał rozmowę za zakończoną i zamierzał powrócić do lektury. Nie zrobił tego jednak, przytrzymał tomik w rękach w zamyśleniu. Wreszcie odłożył ponownie na stolik.

– Dlatego chcę, żebyś zniknął ze sceny – uzupełnił. – Żebyś wybrał się na wycieczkę i wrócił, kiedy sprawy się uspokoją. Ten skurwiel Queralt jest zdolny dobrać się i do ciebie. Dać mi kopa w twoje jaja.

– Gdzie ją trzymają?

– Posłuchaj. Wiesz, że cię cenię, więc nie nadużywaj swojego fartu. Wybierz się na urlop, który ci zaleciłem, i nie truj więcej.

Falcó pokręcił głową. Włożył ręce do kieszeni spodni i spoglądał w ogień.

– Może i tak – odezwał się po chwili. – Ale ona uratowała mi życie w Alicante... To dzięki niej mnie wypuścili, a mogli zatłuc i zaszlachtować. A potem osłaniała mnie na plaży.

Admirał wyglądał na zaskoczonego.

– Zrobiłeś się bardzo uczuciowy – zauważył. – Nie poznaję cię. Właśnie wysłałeś do piachu ponad dwudziestu ludzi z tym Estevezem na czele... Nie mów, że przejmujesz się jakąś bolszewicką suką.

– Uratowała mi życie nie raz, a półtora.

– No i? Coś z tego pewnie miała. Zapomnij o niej, będzie ci się lepiej spało. Co skądinąd nigdy nie było dla ciebie problemem. O ile wiem, wyrzuty sumienia nie spędzają ci snu z powiek... Zakładając, że znasz słowo „sumienie”.

13. UŚMIECH PUŁKOWNIKA QUERALTA

Falcó dotarł do Gran Hotelu na dziewięćdziesiąt minut przed godziną policyjną. Zostawił kapelusz i płaszcz w szatni, poszedł prosto do baru, gdzie było dość gwarno, i usiadł na wysokim stołku, opierając się o kontuar. Barman bez pytania zaczął mu przygotowywać *hupa-hupa*. Falcó przysunął sobie popielniczkę, wyjął papierośnicę i zapalił playersa. Następnie rozejrzał się: mało kobiet. Wśród stałych bywalców dostrzegł oficerskie mundury różnej maści: regularnych, legionistów, requetesów, falangistów. Zdziwiło go kilka niemieckich i włoskich. Ich właściciele musieli przybyć do Salamanki niedawno, bo widział ich po raz pierwszy. Już się nie patyczkują, stwierdził w duchu ironicznie. Przystojny włoski kapitan z przyciętym wąsikiem, w czarnej koszuli pod szarą kurtką mundurową podszedł do niego, prosząc o ogień, i szerokim uśmiechem podziękował za natychmiastowy i równy płomień parkera beacons. Falcó pomyślał o cnotliwych damach nowej i katolickiej Hiszpanii nowenny, mszy i różańca. O wdowach wojennych i tych, których narzeczeni lub mężowie przebywali na froncie, o tych, które głodowały, musiały wyżywić dzieci lub rodzinę i miały szczęście posiadania między nogami czegoś na sprzedaż: odwiecznej waluty kobiet w każdej nędzy i w każdej wojnie od niepamiętnych czasów. Faceci tacy jak ten kapitan będą mieć niezłą wyżerkę, osądził chłodno.

– Pański drink, don Lorenzo.

– Dzięki, Leandro.

- Cieszę się, że znowu tu pana widzę.
- Ja też się cieszę, że mnie tu widzisz.

Starał się nie myśleć. A raczej nie myśleć o tym, o czym nie powinien, myśleć o czymś innym. Na przykład, powiedział sobie, omiatając wzrokiem pomieszczenie i poprawiając węzeł krawata, o natychmiastowej własnej korzyści, którą mógł uzyskać od kobiet znajdujących się w jego zasięgu. Greta Lenz i jej małżonek – Niemka pozdrowiła go lekkim skinieniem głowy, gdy stanął w drzwiach – siedzieli przy stoliku w głębi z dwójką blondynów, których nie znał; jeden z nich miał na sobie mundur Luftwaffe. Teren *verboten*, ocenił. Przynajmniej w tym momencie, kiedy małżonek jest w pobliżu. Przesunął wzrokiem dalej. A wówczas zobaczył Lisarda Queralta.

Pułkownik Gwardii Cywilnej, szef policji i służby bezpieczeństwa także go dostrzegł. Był po cywilnemu, stał pod ścianą, gawędząc z wianuszkami dobrze ubranych osobników. Falcó znał z widzenia kilku z nich: markiza czegoś tam, właściciela wielkich posiadłości przy granicy z Portugalią i handlowca z Galicji, który dorobił się na dostawie konserw dla frankistowskiego wojska. Wszyscy śmiali się i palili hawańskie cygara. Gdy ich spojrzenia się zetknęły, Queralt trzymający w dłoni kieliszek anyżówki, w której maczał koniuszek cygara, podniósł go w ironicznym toaście w kierunku Falcó. Następnie upił łyk, flegmatycznie odstawił szkło na kontuar i ruszył w jego stronę.

- Proszę, proszę. Kogo tu mamy... Warchlak starego Dzika.

Grube wargi blado zarysowane na ponurej twarzy o groźnych oczach uśmiechały się. Świński, zadowolony z siebie uśmieszek, pomyślał Falcó, podczas gdy masa cielska sadowiła się na sąsiednim stołku. Na małym palcu lewej ręki Queralt miał złoty sygnet z wielkim niebieskim oczkiem;

paznokiec tego palca był nienaturalnie długi i Falcó zastanowił się przelotnie, co ten skurwysyn mógł robić takim szponem.

– Jeszcze nie porozmawialiśmy sobie, pan i ja – powiedział Queralt.

Falcó umoczył wargi w kieliszku, po czym zaciągnął się papierosem.

– Nie mamy o czym rozmawiać – stwierdził, wypuszczając dym razem ze słowami.

– Myli się pan. Zamierzałem oficjalnie wezwać pana do siebie, ale uznałem, że schroni się pan na ciepłym łonie szefa. A ja na razie nie chcę komplikacji. Ale zapewniam pana, że prędzej czy później porozmawiamy.

– To brzmi jak groźba.

– Ojej. Nie taka była moja intencja. To tylko pewien projekt.

– A o czym chciałby pan ze mną porozmawiać?

Queralt pociągał cygaro. Spojrzał na popiół i pociągnął raz jeszcze.

– O kobiecie, rzecz jasna.

– O jakiej kobiecie?

Queralt przyglądał mu się z wyrazem sarkazmu na twarzy. Pewien siebie. Swojej władzy i pozycji.

– Powiedzieli już panu, kim jest naprawdę ta Eva Rengel?

– Nikt mi nic nie powiedział.

Świńskie wargi rozciągnęły się w złowrogim uśmiechu.

– Kłamie pan. Oczywiście, że panu powiedziano. Wie pan o tym doskonale. Mnie interesuje, od kiedy pan o tym wie. To jedno z pytań, jakie chciałbym zadać. Jakiego zamierzam panu zadać, kiedy nadarzy się sposobność. Sposobność bardziej sprzyjająca niż ta... Bardziej kameralna.

Falcó nie odpowiedział. Patrzył na butelki stojące w szeregu na półkach za barem.

– Naprawdę nie chce pan wiedzieć, co z nią robimy? – nalegał Queralt.

Falcó nadal przyglądał się butelkom niewzruszony. Jego chłód był jednak pozorny. Myślał, że z największą ochotą chwyciłby jedną z nich i roztrzaskał na ryju tego skurwiela, a potem wtarł cygaro w jego zęby.

– Nieźle wystrychnęła wszystkich na dudków, co? Pana, pańskiego szefa. Falangistów. Wszystkich.

Lekkim ruchem palca wskazującego Falcó strącił popiół z papierosa do popielniczki.

– Traci pan ze mną czas – odezwał się po chwili, wskazując podbródkiem towarzyszy Queralta. – Niech pan wraca do swoich interesów.

– Pan i Dzik jesteście durniami... Daliście się nabrać cholernej ruskiej agentce. Czerwonej szmacie.

Falcó obrócił się nieco na stołku barowym i znalazł się naprzeciw pulchnej twarzy. Miał napięte mięśnie, gotowe do ataku. Ale wiedział, że to niemożliwe. Nie z tym typem. I nie tutaj. Wśród tylu ludzi. Przełknął więc gniew niczym łyżkę dziegciu.

– Prowokuje mnie pan, panie pułkowniku?

Jego twarz stwardniała, Queralta to dostrzegł. Obrzucił szybkim wzrokiem ręce Falcó, jakby próbował ustalić, czy powinien się czegoś obawiać. Trwało to jednak tylko przez moment. Poczucie władzy i miejsce uspokajały go. Wzmagały jego podłość.

– Powoli dowiadujemy się różnych rzeczy o tej kobiecie – wyjaśnił, cedząc złośliwie słowa. – Dzięki pewnym francuskim przyjaciółom i za opłatą, rzecz jasna, ponieważ w tych sprawach nikt nie robi nikomu prezentów, otrzymaliśmy z Deuxième Bureau dość pokaźne dossier, zawierające na przykład... Chce pan, bym je streścił?

– Niech pan robi, co się panu podoba.

Queralta nie kazał mu czekać. Zaczął mówić od razu. Mimo młodego wieku Eva Neretwa – alias Eva Rengel – miała rozległe doświadczenie jako

sowiecka agentka wywiadu nielegalnego. Jej ojciec był rosyjskim antykomunistą na wygnaniu, a matka, Hiszpanka, uczyła literatury w Londynie. Relacje z ojcem najwyraźniej nie były najlepsze i dziewczyna przeszła na drugą stronę. Będąc studentką, rozdawała w porcie marynarzom komunistyczne ulotki. Zwróciła tym na siebie uwagę. W wieku dziewiętnastu lat wyjechała do Związku Sowieckiego, gdzie została zwerbowana przez NKWD i przeszkolona. Wysłano ją do Paryża, gdzie wkręciła się w środowisko białych Rosjan, a ponieważ działała skutecznie, przeszła do Wydziału do Zadań Specjalnych. Który, o czym Falcó powinien doskonale wiedzieć, specjalizował się w infiltracji, zabójstwach oraz wszelkich innych nielegalnych operacjach. Dzięki niej wielu wybitnych trockistów zostało we Francji porwanych i wywiezionych do Moskwy, gdzie dostali za swoje w podziemiach Łubianki. A kiedy zaczęło się dziać w Hiszpanii, wysłano ją z pierwszą niewielką grupą agentów pod dowództwem Pawła Kowalenki. Gdy wybuchło powstanie, miała za sobą pięć miesięcy działalności.

– To jest ta perła, którą przywiózł pan z Alicante – zakończył Queralt.

Falcó wypalił do końca swojego papierosa. Rozgniół go bardzo powoli w popielniczkę i odczekał jeszcze kilka sekund, zanim zadał pytanie.

– Co z nią robicie?

Queralt rozpromienił się. Zarechotał prostacko i nieprzyjemnie, popiół z hawany opadł mu na kamizelkę.

– Interesuje to pana? Co z nią robimy? Otóż chętnie wyjaśnię. Oddałem ją w ręce moich najlepszych ludzi: chłopców spokojnych, cierpliwych, metodycznych. Doświadczonych zawodowców, którym każdy wyśpiewa, co zrobił, a nawet, jeśli trzeba, to, o czym nawet mu się nie śniło, że mógłby zrobić. Rozkazałem im, żeby się nie śpieszyli i wyciągnęli z niej wszystko, co tylko zdołają: nazwiska, adresy, operacje, kontakty... Potem

pójdzie pod ścianę. Nad tym właśnie pracują. Zadają pytanie i czekają na odpowiedź, jak w konkursach radiowych.

– Gdzie ją trzymacie?

– To nie pańska sprawa.

Queralt wstał ze stołka. Jego uśmiech był teraz okrutny.

– A może podczas tego konkursu dziewczynce wypnie się pańskie nazwisko – dodał. – Wówczas nie będę miał wyjścia i będę musiał postarać się o oficjalną zgodę na przesłuchanie także i pana... To nic osobistego, proszę mnie źle nie zrozumieć... – Zastanowił się na moment. – Zresztą może i tak. No cóż. Tak bywa.

Falcó patrzył mu w oczy beznamiętnie.

– Nie sądzę, żeby powiedziała coś, co by mnie zaniepokoiło.

– Pan wie najlepiej.

Queralt odwrócił się do niego tyłem i odszedł do swoich znajomych, a jego uśmiech, pogardliwy i złowrogi, osiadł na siatkówce oczu Falcó, którego głowa płonęła gniewem zimnym i spokojnym. Pragnieniem – rozpoznawał bez trudu jego oznaki – porachowania kości albo mordy. Starcia siłą tego uśmiechu. Po upływie chwili poprosił barmana o następnego drinka, wrzucił doń dwie kopiryny, zapalił następnego papierosa i zaczął myśleć.

Nie przestawał myśleć, wchodząc do pokoju, rzucając się na łóżko w ubraniu, paląc papierosa za papierosem ze wzrokiem utkwionym w sufit, znieruchomiały. Potem wstał i chodził od ściany do ściany, zatrzymując się przy oknie, by spojrzeć na ulicę zmienioną w mroczny rów, zaciemnioną z obawy przed nalotami. Noc jest neutralna, powiedział sobie. Nie staje ani po jednej, ani po drugiej stronie, sprzyja temu, kto potrafi ją sobie zjednać. Kto potrafi ją wykorzystać.

Kopiryna i adrenalina wtłoczona w jego krew uśmiechem Lisarda Queralta dały mu nadzwyczajną trzeźwość umysłu. Wyostrzone postrzeganie rzeczy, przestrzeni i czasu, ciemnej nocy i jej możliwości. Wykonał kilka obliczeń, zajrzał do papierów trzymanyh w szufladach, wziął kilka z nich. Zdjął pokrowiec z podręcznej maszyny do pisania marki Underwood stojącej na stole. Telefon w pokoju miał połączenie z centralą, więc podniósł słuchawkę i ku zdumieniu telefonistki zamówił w środku nocy dwa jajka na twardo. Przyniesiono je w kwadrans. Dał napiwek kelnerowi i usiadł z talerzem przy stole pod oknem, obrał jajka i brzytwą odciął kawałek w najgrubszym miejscu ugotowanego białka. Następnie przyłożył go do pieczętki znajdującej się pod dokumentem z nagłówkiem sztabu głównego i upewniwszy się, że atrament przywarł do białka, przeniósł odcisk na papier, na którym przed chwilą wystukał na maszynie krótki tekst. Odkręcił nasadkę pióra, podpisał zakrętasem, a gdy atrament wysechł, złożył kartkę i wsunął do kieszeni. Teraz to on się uśmiechał, gdy umieściwszy w kieszeniach płaszcz i marynarki przedmioty, których miał potrzebować – łącznie z kopertą z pieniędzmi ukrytą na szafie – zamknął drzwi i odszedł w głąb korytarza.

– Czego chcesz, do wszystkich diabłów, o tej porze?

Admirał przyjął go w złym nastroju. Centeno, adiutant, tym razem zawahał się, zanim wpuścił Falcó. Było po jedenastej i gospodarz miał na sobie szlafrok, a na stopach te same co ostatnio zamszowe kapcie. Spod szlafroka wyglądała piżama w szaro-białe paski.

– Porozmawiać, proszę pana.

– I nie możesz poczekać do rana?

– Nie.

Związła, stanowcza odpowiedź najwyraźniej zaintrygowała Admirala. Szklane oko i zdrowe oko lustrowały gościa, to drugie zarazem poirytowane i czujne. Gestem nakazał adiutantowi, żeby wyszedł, po czym ponownie spojrzął na Falcó z namysłem.

– Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję.

Przeszli do salonu. Był ciemny. Admirał zaciągnął zasłony w oknie balkonowym i zapalił lampkę.

– Siadaj.

– Postoję.

Gospodarz zajął miejsce w fotelu i bujał się w nim przez chwilę. Potem zatrzymał go.

– To musi być coś ważnego, skoro zawracasz mi głowę o tej porze – odezwał się.

– Jest ważne.

– Twoje szczęście.

Falcó spojrzął na kominek. Był prawie wygaszony, pozostała w nim tylko garstka dymiącego popiołu. Kota nie było widać.

– Rozmawiałem z pułkownikiem Queraltem. Spotkałem go w barze Gran Hotelu... To on do mnie podszedł.

Admirał obrzucił go krytycznym spojrzeniem.

– I to po to wyciągnąłeś mnie z łóżka?

– Ten typ się uśmiechał, proszę pana. Uśmiechał się przez cały czas tym swoim obleśnym uśmieszkiem. Wyglądał na przeszczęśliwego.

– No i?

– Nie mogę przestać myśleć o tym uśmiechu.

Admirał patrzył na niego, jakby nie wierzył własnym uszom. Po chwili fuknął gniewnie.

– Idź spać. Albo co tam chcesz. Napij się, nawal się... Znajdź sobie kobietę.

– Powinien pan był zobaczyć ten uśmiech, proszę pana.

– Widziałem go nieraz. Ma władzę, wie o tym i to go uskrzydla. Wykolegowali go z tej historii z Alicante i teraz wetuje to sobie. Normalka. – Wskazał z rozdrażnieniem na przedpokój. – A teraz spadaj.

Falcó się nie poruszył. Wciąż stał przy kominku w rozpiętym płaszczu i z kapeluszem w rękach.

– Gdzie ją trzymają, panie admirale?

Ów spojrział na niego nieomal ze zdumieniem. W jego wzroku mieszały się niedowierzanie i gniew.

– Jakie ma znaczenie, gdzie ją trzymają. Ta kobieta to już nie nasza sprawa.

– Niech pan mi powie, gdzie ona jest.

– Mowy nie ma.

– A wie pan gdzie?

– Jasne. Ale nie zamierzam ci powiedzieć.

Falcó poszukał wzrokiem zdrowego oka rozmówcy.

– Nigdy nie miałem do pana żadnej prośby, proszę pana... Od pięciu lat robię, co mi pan rozkaże, i nigdy pana o nic nie prosiłem.

– Gównu mnie obchodzi, czy mnie o coś prosisz czy nie. – Admirał ścisnął dłonie w pięści ze zniecierpliwieniem. – Mówię ci, że Eva Rengel należy do tamtych. Na miłość boską, człowieku. To pieprzona bolszewiczka. Szpieg czerwonych.

Falcó przekrzywił głowę. Potem rozejrzał się powoli wokół siebie, jakby szukał kolejnych argumentów w mroku ścian. Po chwili wzruszył ramionami.

– Pamięta pan, jak mnie pan zwerbował?

– Oczywiście.

– Byliśmy w tej kawiarni, w Venus, w Konstancy. Prawda?

– Tak... Czerwiec tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego.

– Właśnie. Siedzieliśmy przy drzwiach, patrząc na pejzaż, a pan powiedział coś, czego nie zapomniałem nigdy: „Służyłem monarchii i republice i nie wiem, komu będę służył w przyszłości. Ta praca byłaby nie do zniesienia, gdyby nie było w niej kilku pokręconych reguł. Być może nie są to reguły konwencjonalne ani nawet godne, ale są nasze. Choć najważniejszą z nich jest właśnie pozorny brak reguł”... Pamięta pan, że to powiedział? – Mówiłem to przy innych okazjach.

– Inne okazje mnie nie obchodzą. Wiem, że powiedział pan to wtedy mnie.

– Przypuśćmy, że pamiętam. – Wyraz twarzy Admirała złagodniał. – I dokąd to nas zaprowadzi?

Falcó uśmiechnął się lekko. Niemal z melancholią.

– Wie pan, co mnie przekonało, żeby przyjąć pańską ofertę?

– Nie.

– Słowo „pozorny”, tylko to. Wymówione przez pana. Pozorny brak reguł.

Nastała cisza, całkowita, bardzo długa. Admirał bujał się powoli w fotelu, zdrowe oko utkwiał w Falcó.

– To prawda – odezwał się wreszcie. – Kiedy trochę pożyjesz, życie usuwa wielką literę z wyrazów, które niegdyś tak zapisywałeś: Honor,

Ojczyzna, Sztandar...

W uśmiechu Falcó pojawiła się wdzięczność.

– Właśnie, panie admirale. A wówczas pozostaje tylko to: pozorny brak reguł. Co między ludźmi takimi jak my jest równie dobrą regułą jak każda inna.

Admirał przestał się bujać. Wyraz jego twarzy się zmienił.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał.

– Zetrzeć ten świński uśmiech z ryja Lisarda Queralta.

Powiedział to z prostotą. Ze spontaniczną szczerością, którą jego rozmówca zauważył.

– Oszalałeś – oznajmił. – I oczekujesz, że ja ci w tym pomogę?

– Oczekuję, że mi to pan ułatwi. Nic więcej. Reszta to moja sprawa. Wie pan, że nigdy nie wspomnę o pańskim udziale.

– Ryzykujesz pluton egzekucyjny. I coś gorszego, zanim trafisz pod ścianę.

– Ona nie jest w więzieniu, tylko w prywatnym areszcie. Sam Queralt się tym pochwalił... Gdzie ją trzymają?

Admirał powstał gwałtownie, niemal przewracając fotel. Postąpił trzy kroki w stronę zaciągniętych zasłon, jakby zamierzał je rozsunać, i zatrzymał się przed nimi.

– To ruski szpieg, do jasnej cholery.

– Który uratował mi życie półtora raza, proszę pamiętać.

– Zejdź mi z oczu.

– Nie.

Admirał wciąż stał tyłem do Falcó.

– Jesteś nieodpowiedzialny. Wpakujesz w kłopoty nas wszystkich.

– Nie wszystkich. Tylko siebie. I może z nich wybrnę.

– Miałem cię za inteligentnego drania, ale jesteś idiotą.

– Być może... Nigdy pana o nic nie prosiłem, powiedziałem przed chwilą. Zawsze byłem dobrym żołnierzem. Ale teraz proszę pana... Tylko jedna informacja, panie admirale. Jeden adres. Tylko tyle potrzebuję.

Jego szef odwrócił się powoli. Włożył ręce do kieszeni szlafroka.

– Trzymają ją w domu, którego Queralt używa do prywatnych przesłuchań – powiedział po chwili. – Przy drodze do Madrytu, po drugiej stronie rzeki. Jakies dwa kilometry stąd obok baraku robotników drogowych. Jednopiętrowy domek pomalowany na biało. Willa Teresa, tak się nazywa.

Twarz Falcó rozświetlił uśmiech. Miał minę ucznia o celujących notach.

– Dziękuję, panie admirale.

– Co zamierzasz zrobić? Nie mogę dać ci niczego ani nikogo. Nie wolno mi się w to mieszać. W tak piramidalne głupstwo.

– Nie, proszę pana, i nie powinien pan nic robić. Podanie mi tego adresu wystarczy.

Admirał spoglądał na fajkę leżącą na książce na stoliku obok lampy, ale nie sięgnął tam. Po chwili wykonał gest bezradności.

– Jedno przemawia na twoją korzyść: w tych czasach wszystko jest prowizoryczne. Milicjanci, falangiści, requetesi... Przychodzą i odchodzą, nie wiadomo skąd i dokąd. Hiszpania narodowa dopiero się definiuje, często widzimy wokół siebie chaos. Ta organizacja będzie się pomалу poprawiać, ale na razie jest sporo stref cienia. Dziur w sieci.

– O to właśnie chodzi.

Admirał podszedł bardzo blisko niego. Podniósł palec wskazujący i postukał go w pierś. Trzykrotnie, raz za razem. Puk, puk, puk. Jego twarz znów stężała.

– Otóż jeśli cię dorwą z głową w jednej z tych dziur... – oświadczył o kilka centymetrów od twarzy Falcó – ...wyprę się jakichkolwiek związków z tobą. A wręcz pomogę im rozszarpać cię na kawałki.

Pokazywał kły, usprawiedliwiając swój przydomek. W oczach Falcó błysnęło rozbawienie.

– Naturalnie, proszę pana.

– Więcej. Sam to zrobię. Osobiście.

– To wydaje mi się słuszne.

– Gównu mnie obchodzi, co ci się wydaje.

Po tych słowach fuknął jeszcze raz jakby rozdrażniony. Zrobił to jednak zbyt przesadnie. Niemal porozumiewawczo.

– Naprawdę ta kobieta na to zasługuje?

Falcó pokręcił głową. Szczerze.

– To nie o nią chodzi, proszę pana. Ma pan moje słowo... Chodzi o uśmiech Lisarda Queralta.

W drugim końcu korytarza zabrzmiał elektryczny dzwonek. Admirał spojrzął w tamtą stronę zaskoczony.

– Któż to może być o tej porze?

Dobiegły ich kroki Centena w przedpokoju. Drzwi od ulicy otworzyły się i zamknęły. Chwilę później adiutant zatrzymał się w postawie pełnej uszanowania na progu salonu. W rękach trzymał zaklejoną kopertę.

– Przyniesiono list, panie admirale. Z kwatery głównej Caudilla.

– Daj mi.

Adiutant wręczył mu kopertę.

– Czy rozkaże pan coś jeszcze?

– Nie. Możesz wyjść.

Centeno opuścił pokój. Admirał zerknął na Falcó i otworzył kopertę. Po kilku sekundach przesunął palcami po wąsach, potrząsnął głową i zmarszczył czoło.

– Szlag by to – powiedział.

– Złe nowiny? – zainteresował się Falcó.

– Zależy dla kogo. Dziś rano na dziedzińcu więzienia czerwoni rozstrzelali José Antonia.

14. NOC JEST NEUTRALNA

Dom był nieoświetlony, stanowił nieco jaśniejszą plamę w ciemności na skraju drogi. Łatwo go było zauważyć mimo bezksiężycowej nocy. Gęsty mrok topolowego zagajnika pogłębiał czerń po drugiej stronie drogi między asfaltem a niewidocznym korytem Tormesu. Zatrzymawszy samochód na poboczu – ostatnie pół kilometra przejechał ze zgaszonymi światłami – Lorenzo Falcó wyciągnął z jednej kieszeni kurtki pistolet, a z drugiej stalową tuleję, długą na piędź, o średnicy trzech centymetrów, i zamontował ją powoli, nakręcając trzema obrotami na gwint lufy. Był to supernowoczesny tłumik huków marki Heissefeldt stosowany zaledwie od trzech lat przez tajną policję niemiecką: wyciszał gazy uwalniane podczas strzału, redukując o ponad połowę głośność, kosztem zmniejszenia celności, gdy odległość przekraczała osiem czy dziesięć metrów. Falcó pozyskał go w Berlinie dwa miesiące temu w toalecie hotelu Adlon z rąk pewnego podkomisarza Gestapo jako zapłatę za dwieście gramów kokainy. Po raz pierwszy miał go użyć w prawdziwej akcji.

Poczuł ochotę na papierosa, ale odpędził pokusę. To nie był dobry moment. Z pistoletem na kolanach i rękami na kierownicy odczekał długą chwilę, patrząc na dom, aż oczy przywykły mu do ciemności i zobaczył wyraźniej kontury budowli, sąsiedni lasek i czarniejszą wstęgę drogi. Siedział w Citroënie 7 pato należącym do SNIO, kluczyki do auta wręczył mu Centeno na rozkaz Admirala – „Zawsze będę mógł powiedzieć, że go ukradłeś”, skomentował nonszalancko szef. Płaszcz i kapelusz leżały na

siedzeniu obok, Falcó miał na sobie ciemne, tweedowe ubranie, czarne skarpetki i wygodne buty, bardzo sportowe, na gumowej podeszwie. Jedwabna chustka zakrywała biel koszuli. Nie założył krawata.

Obmacał kieszenie, sprawdzając, czy wszystko jest na miejscu i czy nic nie brzęczy: zestaw wytrychów owinięty w chusteczkę, dwa magazynki do browninga po sześć nabojów, nie licząc tego w pistolecie, nóż automatyczny w prawej kieszeni. Papierośnicę, pióro, portfel, zapalniczkę, kopirynę i papierosy zostawiał w płaszczu.

Spróbował zlokalizować wskazówki zegarka, lecz w takiej ciemności nie było to możliwe. Oszacował, że dochodzi druga. Odczekał jeszcze chwilę, obserwując noc, a wreszcie ujął broń, wprowadził jeden nabój do komory, otworzył drzwi i wysiadł. Wysikał się o trzy kroki od samochodu. Panował nieprzyjemny dojmujący ziąb, spotęgowany wilgocią – nieopodał płynęła rzeka – więc podniósł kołnierz kurtki. Ruszył przed siebie powoli, całkowicie skupiony na obserwacji terenu, przybliżającego się domu, cieni, w jakich tonęło pobocze drogi i las. Kroczył, rozglądając się dookoła, instynktownie przestrzegając fundamentalnej zasady: zanim gdzieś wejdiesz, musisz wiedzieć, którądy stamtąd wyjdiesz. Musisz znać najlepszą drogę odwrotu, najkrótszą i najpewniejszą, by wycofać się dyskretnie i szybko, wedle starego kodeksu skorpiona: zobacz, ukłuj i uciekaj.

Podchodził do domu, wtapiając się w najgęściejsze cienie drzew. Naprzeciwko drzwi znajdowała się żelazna furtka przechodząca w niezbyt wysoki mur. Spróbował ją pchnąć, a gdy okazała się zamknięta na klucz, bez trudu pokonał mur, chwytając się rękami z jednej strony i przeskakując na drugą. Szedł pomiędzy zaroślami zapuszczonego ogrodu, aż dotarł do ściany domu, skąd nie dochodził żaden odgłos, nie dobiegał żaden sygnał

życia. Mam nadzieję, pomyślał przelotnie, że Admirał nie zrobił mnie w konia. I że się nie pomyliłem.

Skręcił za róg, przyglądając się bacznie budowli, i w tym momencie z bardzo bliska usłyszał głucho warczenie pochodzące od poruszającego się kształtu. Pies, uświadomił sobie. No to przerąbane. Oby tylko był uwiązany. Poczł gęsią skórę, podnosząc automatycznie pistolet. Pierwsze szczeknięcie zabrzmiało głośno, groźnie i rozdzierająco, niespełna pół metra od niego. Drugie urwało się nagle, gdy Falcó nacisnął spust, browning odskoczył w jego prawej dłoni, cofając się gwałtownie, jakby posiadał własne życie, oświetlając krótkim błyskiem otwartą paszczę, obnażone kły i wytrzeszczone oczy zwierzaka. Dźwięk wystrzału, i tak wyciszony tłumikiem, utonął w owym drugim, urwanym szczeknięciu i zapadła cisza.

Falcó trwał nieruchomo oparty plecami o ścianę, analizując efekty tego, co się wydarzyło. Gdy ochłonął, zaczął działać szybko i ostrożnie. Być może szczekanie obudziło kogoś, jeśli w domu ktoś był. A być może ten ktoś spał dalej. Ruszył przyklejony do ściany w stronę głównego wejścia i w tym momencie zauważył, że na pierwszym piętrze rozjaśniło się okno. Owładnęła go wreszcie pewność zalewająca falą jednocześnie napięcia i przyjemności, a puls, bębniący głośno w uszach, bum-bum, bum-bum, uspokoił się i powrócił do normalnego rytmu. Wszystko szło dobrze, powiedział sobie. Albo prawie. Był na dobrej drodze. Gotów na to, co zamierzał zrobić, i na poniesienie konsekwencji. Wszystkich.

Do drzwi wejściowych prowadziły trzy stopnie i coś w rodzaju ganku. Szukał w kieszeni wytrychu, gdy zobaczył światło w szparze nad progiem i usłyszał hałas zamka otwieranego od środka. Podniósł pistolet, drzwi otworzyły się i w słabym świetle kilkuwatowej lampy elektrycznej zapalanej w przedpokoju zarysowała się sylwetka mężczyzny. Falcó

wystrzelił z bardzo bliska, tym razem bez zagłuszającego szczeknięcia strzał zabrzmiał jak trzask łamanego konara. Krak, usłyszał, a sylwetka osunęła się bezwładnie na kolana, potem na podłogę, z głową o pięć od butów Falcó. Przez moment – po raz kolejny w życiu – pomyślał, że ludzie mają mylne wyobrażenie na temat postrzelonych. Większość uważa, że padają na ziemię, machając dramatycznie rękami, albo podnoszą dłoń do rany jak na filmach. Ale tak się nie działo. W rzeczywistości po prostu tracili przytomność. Na zawsze.

Przeszedł nad trupem – w tak słabym świetle zobaczył tylko, że martwy ma na sobie koszulę, spodnie i skarpetki – i wkroczył do domu, trzymając pistolet przed sobą. Salon oświetlony słabym blaskiem lampy był umeblowany konwencjonalnie. Pachniało w nim zamknięciem, stęchlizną, rzadko wietrzonymi dywanami i zasłonami, jak w kinach czy innych lokalach tego typu. Dom wyglądał na weekendowy, z pewnością zarekwirowany właścicielom i użytkowany sporadycznie przez osoby nieszczególnie zainteresowane sprzątnięciem. Falcó bez trudu rozpoznawał takie miejsca. Ustronny domek do przesłuchań specjalnych więźniów Lisarda Queralta, powiedział Admirant. Dyskrecja i bezkarność gwarantowane. Wszystko pasowało. W głębi znajdowały się schody biegnące w górę na piętro i w dół do piwnicy. Falcó postanowił zostawić piwnicę na koniec i zająć się najpierw piętrem. Na wszelki wypadek wymienił magazynek, w którym zostały tylko trzy naboje – czwarty został przesunięty automatycznie do komory po drugim wystrzale – na nowy z sześcioma. Wytarł palce o nogawkę i ujął kolbę w dłoń. Było mu gorąco. Ręka pociła się lekko, a jedwabna chustka dusiła go. Zdjął ją i upuścił na ziemię.

Wówczas usłyszał głos dobiegający z góry. Męski, burkliwy, zadający pytanie, którego nie dosłyszał w całości. Wydało mu się, że ktoś wymówił

jakieś imię, pewnie osobnika leżącego w drzwiach. Bardzo ostrożnie, starając się dotykać podłogi najpierw obcasem, potem pozostałą częścią podeszwy, Falcó podszedł do schodów, spojrzął w górę i zobaczył drewnianą balustradę rysującą się w półmroku w ciemności przełamanej słabym światłem dochodzącym zapewne z otwartych przed chwilą drzwi do sypialni. Podniósł pistolet, celując w otwór, i ruszył w górę bardzo powoli, obcas, potem reszta podeszwy, wstrzymując oddech. Jeden, dwa, pięć stopni. Niewielki podest, na którym zatrzymał się, nadal trzymając podniesioną broń. Odetchnął wolno, głęboko, dotleniając płuca, i zebrał się do dalszego marszu. W tym momencie męski głos rozbrzmiał ponownie, na balustradę padł cień i pochyliła się nad nią twarz. Tego człowieka Falcó zobaczył wyraźnie: brunet w średnim wieku, barczysty, z wąsem, w slipach i podkoszulku bez rękawów. Strzelił dwa razy, bo po pierwszym z balustrady poleciały drzazgi i nie był pewien, czy trafił. Po drugim wystrzale mężczyzna zniknął mu z oczu. Falcó wbiegł po najwyższych stopniach i zobaczył go leżącego na ziemi z wyciągniętymi rękami i nogami, jakby wypoczywał. Jeden pocisk przeszył mu pierś – dziura w podkoszulku, bez śladu krwi – a drugi szyję, z której wyciekał pulsujący, bulgocący strumyk w kolorze intensywnej czerwieni. Wyglądał na martwego, lecz gdy Falcó podszedł do niego, poruszył nogami i wydał długi, chrapliwy jęk. Oczy miał otwarte, szkliste, utkwione w Falcó. Ów pochylił się nieco i przyciskając wylot tłumika do serca leżącego, żeby jeszcze bardziej wyciszyć odgłos wystrzału, nacisnął spust.

Otwierał ostrożnie drzwi, jedno po drugim. Było ich pięć, w tym te do łazienki. W sypialni mężczyzny zabitego na schodach nie było nikogo więcej, następna była pusta. W głębi korytarza znajdowały się podwójne, wyglancowane drzwi, wyglądające jakby prowadziły do głównej sypialni, Falcó podszedł do nich. Światło dobiegało jedynie z sypialni trupa,

oświetlało schody i część korytarza. Falcó zatrzymał się przed wejściem, położył dłoń na klamce i otworzył powoli. Wewnątrz panowała ciemność. Z pistoletem gotowym do strzału w prawej ręce lewą obmacał ścianę w poszukiwaniu włącznika, a gdy zapalił światło, ujrzał Evę Rengel wyciągniętą na stelażu łóżka, z którego usunięto materac. Była naga, przywiązana do ramy za kostki rąk i nóg, te drugie w taki sposób, że jej nogi były szeroko rozłożone w pozycji zarazem bezbronnej i obsceniczej. Uniosła nieco głowę i oszołomiona patrzyła na niego wzrokiem, w którym mieszały się senność, dezorientacja i strach.

Powściągnął pierwszy odruch, chęć podejścia do niej. Zostały jeszcze jedna sypialnia i piwnica na dole. Musiał się upewnić, że w domu nie ma nikogo więcej. Odwrócił się zatem na pięcie i prawie zderzył z mężczyzną, który wychodził z sąsiedniego pokoju boso, wkładając jedną ręką koszulę do spodni, a w drugiej trzymając pistolet. Przez dwie sekundy, nim Falcó otrząsnął się z zaskoczenia i zaczął działać – był zbyt blisko, by użyć broni z przeklętym długim tłumikiem – pomyślał, że jeśli w domu jest więcej zbirów Lisarda Queralta, za chwilę wszystko diabli wezmą. Mając przed sobą tego trzeciego przeciwnika, dochodził do kresu swoich możliwości.

– Co do jasnej cholery...? – zaczął tamten.

Wpatrywał się w Falcó szeroko otwartymi oczami, skonsternowany, jeszcze śpiący. Był szczupły, czarnowłosy, z cieniem zarostu na podbródku. I raczej silny, zauważył z przykrością Falcó, gdy uderzając go w przegub, by wytrącić pistolet, napotkał opór muskularnej ręki. Świadomy, że jego własna broń jest bezużyteczna, upuścił ją, lewą dłonią zmuszając mężczyznę do porzucenia swojej, a prawą chwycił go mocno za kark, przytrzymując jego głowę w czasie, gdy walił swoją głową w jego twarz. Rozległ się głośny dźwięk, trach, zatrzeszczały pękające kości i chrząstki, mężczyzna cofnął się, zataczając się i wymachując rękami, żeby utrzymać

równowagę, podczas gdy strumień krwi tryskał z jego nosa groteskowo przekrzywionego w bok. Ale nie wypuścił pistoletu, więc Falcó zaatakował ponownie, szybko i desperacko, wiedząc, że jeśli lufa zwróci się w jego kierunku, jego szanse będą niewielkie. Na szczęście przeciwnik był otumaniony ciosem i krwotokiem do tego stopnia, że nie bronił się zbytnio, gdy Falcó rąbnął go kolaniem w udo tuż przy głowie kości udowej, przewracając zaatakowanego na ziemię, i skoczył na niego.

Wystrzał z pistoletu rozbrzmiał bardzo blisko lewego boku Falcó, który ogłuszony hukiem uznał, że został trafiony. Ale nie czuł nic, nawet oparzenia. Wyłącznie ostry zapach prochu. Zaczął więc znów walić w twarz leżącego, systematycznie, tym razem prawą pięścią, z góry w dół, celując w zmasakrowany nos, aż mężczyzna zawył jak zwierzę i po krótkim oporze puścił pistolet. Wówczas ściskając obezwładnionego jedną ręką za gardło, Falcó wyszukał w kieszeni nóż automatyczny, wcisnął przycisk, a gdy ostrze wysunęło się, przystawił jego koniec pod brodę wroga. Odgadując, co zamierza uczynić, ów z grozą spojrział na niego wytrzeszczonymi oczami przez krew zalewającą mu twarz. Falcó zagłębił ostrze krótkim, szybkim ruchem w górę, a strumień wyplutej krwi chlusnął mu w oczy.

Wytarł twarz połą koszuli trupa, wyczyścił nóż i schował go do kieszeni. Po kilku minutach wykorzystanych na odzyskanie jasności umysłu i sił podniósł się nad nieruchomym ciałem, odszukał swojego browninga, zdjął tłumik – wystrzał z pistoletu zniweczył już wszelką nadzieję na dyskrecję – i schował do kieszeni marynarki. Był zwrócony plecami do oświetlonych drzwi sypialni, gdzie znajdowała się kobieta, i świadomie nie chciał się odwracać. Jeszcze przyjdzie na to czas. Najpilniejszym zadaniem było upewnienie się, że w domu nie ma nikogo więcej, zatem zszedł do piwnicy i rozejrzał się. Nie było to przyjemne miejsce; wręcz bardzo przypominało czekę w Alicante, gdzie przesłuchiwali go czerwoni. Tak

naprawdę, pomyślał, pokoje przesłuchań na całym świecie są do siebie podobne. Był w wielu, zarówno zadając pytania, jak i odpowiadając na nie, i rozpoznawał te miejsca z łatwością: krzesło, na którym sadzano więźniów, stół, do którego ich przywiązywano, pałki, pejczyce i inne narzędzia tortur. W tej piwnicy znajdowały się jeszcze dwie wielkie lampy, teraz zgaszone, które można było skierować na krzesło, by oślepić przesłuchiwanego. Hollywoodzkie kino gangsterskie podsuwało dobre pomysły. Na stole leżała popielniczka pełna starych niedopałków, a w kącie pomieszczenia znajdował się brudny i cuchnący kubeł z czymś, co wyglądało na wymiociny – przeszedł go dreszcz na myśl, że pochodzą z wnętrza Ewy Rengel – na ścianie wisiały portret Caudilla i flaga nacjonalistów, czerwono-żółta, przypięta pinezkami.

Po powrocie na parter podszedł do wejścia, chwycił za nogi trupa wyciągniętego na progu i wciągnął go do domu, zostawiając długą smugę krwi na podłodze. Porzucił go, nie odwracając na plecy, nie patrząc mu w twarz. Zamknął drzwi. W ustach miał tak sucho, jakby wyszorowano mu język, dziąsła i podniebienie ostrą gąbką, więc poszedł do kuchni. Znalazł butelkę koniaku, po której prześliznął się wzrokiem, i butelkę wina obok puszek holenderskiego masła i kilku kromek chleba. Nalał wina do dużej szklanki, dopełnił wodą z kranu i wypił łąpczywie duszkiem. Potem wrócił na piętro. Dwa kolejne trupy leżały w korytarzu, jeden obok balustrady, drugi w głębi obok błyszczących drzwi do głównej sypialni. Ten w podkoszulku – leżał teraz w kałuży co najmniej pięciu litrów krwi, skapywała po pierwszych stopniach schodów – miał na szyi złoty łańcuszek z medalikiem Najświętszego Serca Jezusa. Jego oczy były w półprzymknięte, a na twarzy malowało się osłupienie, jakby tuż przed śmiercią pomyślał, że to nie może przytrafić się właśnie jemu. Tak zwykle bywa. Twarz drugiego nie posiadała żadnego wyrazu, przynajmniej

widocznego, ponieważ była czerwoną maską. Falcó zastanowił się, ilu z nich – może wszyscy – gwałciło Evę Rengel. Wszedł do sypialni, przejrzał portfele zabitych – byli funkcjonariuszami Wydziału Policji i Bezpieczeństwa – i schował dokumenty tego, do którego był nieco podobny. Tak na wszelki wypadek, pomyślał, na pewnych posterunkach i granicach wszystkie koty są bure. Zabrał też nieżyjącym pieniądze. Na szafce nocnej leżały paczka ideali i zapalniczka, więc usiadł na pościeli zmiętej przez człowieka, którego zabił, i nieśpiesznie palił przez pięć minut. W głowie czuł pustkę. Potem rzucił niedopałek na podłogę, przydeptał go, wstał i ruszył ku głównej sypialni.

Przeciął nożem więzy i przykrył Evę Rengel kocem. Patrzyła na niego bez słowa i wydała tylko cichy jęk, kiedy koc musnął ślady przypaleń papierosem na piersiach. Była bardzo blada, co podkreślało krwiaki na twarzy i ciele. Dotykając nagiej skóry, zauważył, że Eva jest zimna, pokryta cieniutką warstwą wilgoci, ledwie wyczuwalnego potu, który zdawał się mrozić wszystkie pory. Pod grubym kocem trzęsa się, jakby wyciągnięto ją właśnie z wanny pełnej lodu. Miała rozciętą dolną wargę pokrytą grubym strupem, napuchnięte powieki i fioletowe cienie pod oczami. Cuchnęła uryną i brudem. Ze swoją krótką, jasną czupryną, która wydawała się mokra od zimnego potu, wyglądała jeszcze bardziej bezbronne i młodo.

– Nie możemy zostać tu zbyt długo – oznajmił Falcó.

Patrzyła na niego tępo, jakby miała trudności z rozpoznaniem go. Wreszcie zamrugała, być może potwierdzająco. Pomyślawszy chwilę, Falcó wszedł do kuchni i wrócił z butelką koniaku, butelką wina i puszką masła. Usiadł na łóżku i bardzo ostrożnie wlał kilka kropel koniaku do ust dziewczyny. Najpierw pokręciła odmownie głową, ale nalegał i skłonił ją do przełknięcia łyku napoju, przy czym znów jęknęła, gdy poczuła szczypanie w rozciętej wardze. Następnie odkrył nieco koc i przemył jej

wargę i piersi koniakiem rozcieńczonym w winie, po czym posmarował masłem ślady przypaleń. Przez cały czas czuł na sobie wzrok dziewczyny.

– Przyszedłeś za późno – wyszeptała z trudem.

Jej głos był słaby i ochrypły. Musiała bardzo krzyczeć, uznał.

– Tego nie było w planie – odrzekł.

– Nie... Nie było.

Rozejrzał się. Ubranie dziewczyny leżało na podłodze zwinięte w kłębek. Poszedł po nie.

– Dasz radę iść?

– Nie wiem.

– Trzeba będzie spróbować.

Odrzucił koc i zaczął ubierać ją bardzo ostrożnie. Miała siniaki na twarzy, brzuchu i udach, resztki zaschniętej krwi we włosach łonowych. Ubranie było brudne i bardzo pomięte, bluzka podarta, pończochy w strzępach, ale nie znalazł niczego innego. Przywieźli ją z hotelu sekcji żeńskiej tak jak stała, bez walizki. W tym co miała na sobie. Bez płaszcza. Pomógł jej się podnieść i ubrać halkę i spódnicę. Niekiedy wydawała jęk, głuchy, niski, stłumiony.

– Ilu zabiłeś? – zapytała nagle.

– Trzech.

– Ja widziałam tylko dwóch. Mnie... przesłuchiwało dwóch.

– Wszystko jedno. Teraz jest ich trzech.

Jej słowa podsunęły mu pewien pomysł. Poszedł rozejrzeć się po pokojach i wrócił z męską koszulą i w miarę czystymi skarpetkami. Posadził dziewczynę na skraju łóżka, zdjął z niej podartą bluzkę i ubrał w koszulę i skarpetki. Na końcu nałożył płaszcz jednego z zabitych, najszczuplejszego, i męski, filcowy kapelusz.

– Musimy stąd iść.

Pomógł jej wstać, podtrzymując, kiedy stawiała niezdarnie małe kroki, z twarzą ściągniętą bólem, gdy krążenie wracało do jej ścierpniętych nóg.

– Na dole mam samochód... Dasz radę dojść?

– Myślę, że tak.

– To chodźmy. Ostrożnie, pomału... Oprzyj się bardziej na mnie. O tak... Dobrze.

Dziewczyna położyła głowę na ramieniu Falcó.

– Dokąd mnie zabierasz?

Wykonał nieokreślony gest.

– Daleko.

Przeszli obok dwóch ciał w korytarzu, zeszedli po schodach bardzo powoli i dotarli na parter. Zbliżając się do drzwi, popatrzyła na trupa leżącego na podłodze i smugę krwi sięgającą za próg.

– Po co to robisz?

Falcó wciąż przytrzymywał ją w pasie. Otworzył drzwi i włożył rękę do kieszeni z pistoletem, lustrując wzrokiem ciemność i próbując wyczuć, czy kryje kolejne niebezpieczeństwa. Wszystko jednak wydawało się spokojne.

– Żeby zetrzeć z twarzy uśmiech... – odpowiedział – ...pewnemu nędznikowi.

Prowadził auto przez resztę nocy, podczas gdy Eva Rengel spała na tylnym siedzeniu przykryta płaszczem zabitego i płaszczem Falcó. Poruszał kierownicą, paląc papierosa za papierosem, by przewyciężyć senność, reflektory oświetlały białe pasy wymalowane na drzewach i jego twarz, wyciosując jej profil w półmroku kabiny. Jechał pewnie, zmieniał biegi, skręcał to w prawo, to w lewo. Dobrze znał tę trasę. Na tyle dobrze, że od czasu do czasu odbijał w bok na drogi gruntowe z gliny i żwiru prowadzące

między ciemnymi polami, by ominąć wsie i posterunki wojskowe. Niekiedy otwierał termos leżący na sąsiednim fotelu i wypijał łyk niemal już zimnej kawy. Przebył w ten sposób w pięć godzin prawie sto trzydzieści kilometrów dzielących go od granicy, zatrzymując się tylko raz po dwóch trzecich drogi, by napełnić bak zawartością trzech kanistrów benzyny, umieszczonych zapobiegawczo w bagażniku. Eva Rengel nie obudziła się podczas tego przystanku, była pogrążona w głębokim, twardym śnie – podał jej kilka kopiryn, żeby uśmierzyć ból – zakłóconym tylko krótkimi, urywanymi jękami. Wyglądała jak dziewczynka, którą dręczą koszmary, a Falcó uznał, że śniąc, nadal widzi się przywiązana do łóżka w tamtym domu.

Dotarli do granicy, gdy niebo otwierało czerwonawą linię po hiszpańskiej stronie, którą zostawiali za sobą. To było drugorzędne przejście: mostek na rzece Duero, lokalny ruch przemytników i mieszkańców okolicznych miejscowości. Tego momentu Falcó obawiał się najbardziej, lecz ku jego zdziwieniu wszystko poszło nadspodziewanie łatwo. Legitymacja SNIO i paszport, autentyczne, oraz sfałszowany przez niego samemu rozkaz kwatery głównej, aby bezzwłocznie udał się do Portugalii jako eskorta osoby, której nazwisko powinno pozostać tajne, okazały się skutecznym glejtem w oczach wąsatego, zaspanego kaprała Gwardii Cywilnej, dowódcy posterunku, który o pierwszym brzasku podszedł do samochodu, by sprawdzić tożsamość podróżnych. Bez wątpienia był przyzwyczajony do dziwnych ładunków, a już tym bardziej w owych czasach, gdy uchodźcy i przemytnicy przemieszczali się bezustannie w obie strony. Falcó nie musiał sięgać po pięćset peset, które miał pod ręką jako drugi argument – trzecim był pistolet, na który ponownie nałożył tłumik. Obejrzawszy dokumenty, kapral zwrócił je po prostu, stanął na baczność, przykładając rękę do trójgraniastego kapelusza,

i podniósł szlaban. Po stronie portugalskiej, sto metrów dalej za mostkiem, celnik nawet nie spojrzął na papiery. Schował pieniądze do kieszeni, przetarł kułakiem oczy i wrócił do budki.

Posępne światło przedarło się nagle przez niskie chmury i rozbłysło w poziomym promieniu słońca, który ukazał zmęczony, spokojny uśmiech Falcó, jego nieogolony podbródek i oczy zmrużone od rodzącej się jasności. Był oparty o maskę samochodu, stał nieruchomo, patrzył na wschód słońca. Miał kapelusz zsunięty na tył głowy, podniesiony kołnierz marynarki i ręce w kieszeniach. Wzdłuż drogi biegł kamienny murek okalający pastwisko, a za nim, za wyrastającymi tu i ówdzie dębami, czarne i czarno-białe byki leżały na ziemi albo skubały trawę. Falcó spojrzął na dalekie chmury, na niebo błękitniejące nad zielonymi łąkami i zadowolony przymknął na moment oczy. Zapowiada się piękny dzień, pomyślał.

Usłyszał otwierane drzwi, a gdy odwrócił się w ich stronę, u jego boku stanęła Eva Rengel. Płaszcz był na nią za duży, przytrzymała go sobie na piersi, sięgał niemal po buty i skarpetki zabitego. Wciąż była blada, lecz wyglądała, jakby powoli wstępowało w nią życie.

– Nie wstawaj – powiedział. – Jesteś jeszcze bardzo słaba.

– Tu mi dobrze.

Oparła się o maskę obok niego. Falcó wyjął papierośnicę i poczęstował ją papierosem, ale odmówiła ruchem głowy.

– Jakies osiem czy dziesięć kilometrów stąd jest gospoda – powiedział zwykłym tonem. – Możemy zjeść tam śniadanie.

– Tak.

Stali przez chwilę w milczeniu, dotykając się ramionami, pod pieśczołą coraz bardziej mocnego i ciepłego światła.

– Co teraz ze mną zrobisz? – zapytała.

– Nic. – Falcó wykonał obojętny gest. – Po południu będziemy w Lizbonie.

– Ach.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

– Znasz tam kogoś?

Wpatrywała się w pastwisko. W zwierzęta poruszające się powoli nieopodal dębów.

– Kogoś znam, oczywiście – odrzekła cicho.

Falcó przyjrzał się jej wynędzniałej twarzy, oczom zaczerwienionym ze zmęczenia, podbitym, napuchniętym powiekom, rozciętej wardze. Aż dziw, pomyślał, że ona w ogóle trzyma się na nogach. W ramach pierwszej pomocy przyłożył jej do zranionej wargi kawałek bibułki z papierosa zamiast plastra, ale teraz, gdy przemówiła, rana otworzyła się i strużka krwi ciekła jej po brodzie. Falcó wyjął chusteczkę i wytarł czerwień delikatnie, czując na sobie wzrok dziewczyny.

– Powinien zobaczyć się lekarz.

– Chyba tak.

Falcó włożył do ust playera, zapalił go i zaciągał się w milczeniu. To Eva Rengel odezwała się po chwili.

– Każdy jest czemuś wierny – powiedziała miękko.

– Jasne.

– Tak czy owak, nigdy nie wiedziałam za dobrze, jak to wygląda u ciebie.

Falcó uśmiechnął się ze zmrużonymi oczami i papierosem w ustach.

– Dowiedziałaś się dziś w nocy.

Milczała przez moment.

– To prawda – szepnęła w końcu.

Poruszyła się, krzywiąc twarz z bólu. Podniosła palec do ust i patrzyła na plamę krwi.

– Teraz wiesz, jak to wygląda u mnie – wyszeptała melancholijnie.

Falcó wciąż stał zapatrzony w blask rodzący się na horyzoncie, był teraz mocniejszy i coraz bardziej raził go w oczy. Odwrócił wzrok.

– „W sprawach wojennych wstydem jest powiadać: »o tym nie pomyślałem«” – przypomniał.

Uśmiechnęła się lekko, ale się nie odezwała.

– Byłaś tam, za mną – dorzucił. – W czece w Alicante. Prawie słyszałem twój głos.

Nie odpowiedziała od razu.

– Być może.

– Dlaczego chciałaś, żeby mnie wypuścili?

– Nie wiem... A właściwie wiem. Nie było konieczne, żebyś umarł. Przynajmniej nie w taki sposób.

Falcó wypuścił dym nosem.

– Jesteśmy pionkami w grze, którą prowadzą inni.

– Ty – poprawiła go. – Ja wierzę... Wierzę w to, co robię.

– No proszę. Szczęściara z ciebie.

Usłyszał jej śmiech, cichy, sarkastyczny, w którym raczej nie pobrzmiwało szczęście.

– Dziś zupełnie nie czuję się szczęściarą.

– Mogłaś umrzeć. A co najgorsze, umrzeć powoli.

– Codziennie umiera wiele ptaków i motyli. – Znów wpatrywała się w krajobraz. – A także wiele istot ludzkich.

– Jak rodzeństwo Monterów i reszta – zauważył zgryźliwie.

Wzruszyła ramionami z całkowitą naturalnością.

– Tak.

Spojrzeni na siebie. Nie była zbyt piękna w tym momencie, pomyślał. Z tym zmalretowanym ciałem i bezbrzeżnym znużeniem, które osiadło pod oczami. Z twarzą kobiety, którą będzie za dwadzieścia lat. Pomyślał o jej ciepłym i wilgotnym ciele w noc bombardowania i poczuł dziwną czułość. Czułość i litość. Desperacko poszukał jakiejś odtrutki na te uczucia.

– Zabiłaś Portelę, wiedząc, że jest niewinny – powiedział oschle.

Wykonała obojętny gest.

– Musiałam uwiarygodnić się przed tobą i innymi – odrzekła spokojnie. – A poza tym nikt nie jest niewinny. Może dzieci... i psy. Zresztą co do dzieci, nie jestem pewna. Zawsze dorastają.

– W takim razie po co walczysz? To nie jest dobre życie...

Spojrzała na niego nieomal z pogardą.

– Dobre życie?

– Tak. Ta brudna Europa niebezpiecznych granic, manifestacji w asyście policyjnych karabinów, strzelaniny w zaułkach, bojówek, ulicznych mityngów, piwiarni cuchnących dymem i potem, gdzie konspiratorzy omawiają szeptem szczegóły zamachów na rozgłośnie radiowe, ministerstwa, centrale telefoniczne...

– Tak ponuro to widzisz? Dla mnie to świetlany obraz.

Nadal mierzyła go krytycznym wzrokiem. Wzrokiem wyższości.

– To nie jest życie dla kobiety, chcesz powiedzieć? – dorzuciła.

Falcó nie odpowiedział. Zaciągnął się po raz ostatni i pstryknięciem posłał niedopałek daleko od siebie. Słońce było już wysoko na niebie, zalewając blaskiem bydło, łąki i dęby. Odbijało się w szybach auta.

– Zbliży się godzina – oznajmiła. – Wszystko runie i zostanie odbudowane od nowa. Nadchodzą czasy chaosu. – Uśmiechnęła się

ironicznie. – Wściekłości i wrzasku.

– A potem?

– Nie wiem. Chociaż wątpię, czy niektórzy z nas dożyją, żeby zobaczyć, co potem.

– Ta tragiczna nuta... Ojciec Rosjanin?

Wygłosił tę uwagę z grymasem sarkazmu, który chyba jej się nie spodobał. A może nie spodobała się aluzja do ojca. Popatrzyła na niego z mieszką zaskoczenia i niechęci.

– Opowiedzieli mi o tobie – powiedział gwoli wyjaśnienia.

Niechęć pogłębiła się.

– Kto?

– Nieważne, kto... Powiedzieli, że wybrałaś, po której jesteś stronie, w bardzo młodym wieku.

Nie odezwała się. Ponownie dotknęła zranionej wargi i obejrzała palec. Już nie krwawiła, zauważył Falcó.

– Co cię do tego przywiodło? – dociekał.

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu.

– Najpierw byli kawiarniani intelektualiści, którzy objaśniali mi prawa materializmu historycznego, wartość dodatkową i dyktaturę proletariatu... – odezwała się wreszcie – ...próbując przespać się ze mną, a następnego dnia wrócić z zadowoleniem na łono własnej klasy... Nic mnie z nimi nie łączyło, więc poszukałam innych mężczyzn i kobiet: milczących. Tych, którzy działają... Tych, którzy między innymi polują na tych durnych teoretyków pozostających w głębi ducha drobnomieszczanami o wielkich ambicjach.

– Mówisz o NKWD... O wydziale do zadań specjalnych?

Ponownie spojrzała na niego ze zdziwieniem, jeszcze bardziej podejrzliwie niż przedtem, jakby fakt, że ta nazwa padła z jego ust, był czymś nieoczekiwanym i niebezpiecznym. Po chwili pokręciła głową z udawaną obojętnością.

– Jest potrzebne stalowe ramię międzynarodowego komunizmu... Żołnierze na wojnę ogromną, sprawiedliwą, nieuchronną. – Obrzuciła go lodowatym wzrokiem. – Bez ustępstw, bez sentymentów.

Zapadła cisza.

– Zgoda – odezwał się wreszcie Falcó. – Licznik wyzerowany... Ty i ja jesteśmy kwita.

Westchnęła, a to westchnienie wydobyło się z jej piersi jak melancholijny, cichy jęk.

– Tak – szepnęła. – Jesteśmy kwita.

15. EPILOG

Lorenzo Falcó spotkał Admirala dopiero dwa tygodnie później. I odbyło się to w sposób nieoczekiwany. Falcó stał w drzwiach hotelu Palacio w Estoril naprzeciwko kasyna, gdzie poprzedniej nocy miał dobrą passę, mierząc się z determinacją i pewną brawurą z czerwonym i czarnym w ruletce. Był rześki, słoneczny i przyjemny poranek, więc postanowił przejść się przed posiłkiem, który zamierzał spożyć w restauracji przy sąsiedniej Praia do Tamariz, gdzie był umówiony z pewnym konfidentem. Chodziło o banalną rzecz: zwykłą, rutynową kontrolę wyładunku sprzętu wojskowego, figurującego w papierach jako cywilny, z holenderskiego statku cumującego w lizbońskim porcie. Przez kilka tygodni, zgodnie z instrukcjami szefa SNIO, Falcó działał bez rozgłosu, dyskretnie, nie komplikując sobie zbytnio życia. Z Salamanki docierało niewiele wieści; wyłącznie rozkazy i pieniądze na wydatki. A teraz, gdy wychodził z hotelu, w perłowopopielatym kapeluszu *borsalino* nasuniętym na prawe oko wystudiowanym gestem, zobaczył Admirala wynurzającego się z samochodu, jednego z wielu na parkingu. Szofer otworzył przed nim drzwi, a Admirala, po cywilnemu, w ciemnym garniturze i kapeluszu, w szarych trzewikach, z szarym parasolem, wysiadł z auta i ruszył w stronę wejścia. Falcó obrócił się wówczas na pięcie i wyszedł mu naprzeciw.

- Dzień dobry panu.
- Cholera. Co ty tu robisz?
- Mieszkam.

– Od kiedy to? Myślałem, że jesteś w Lizbonie.

– Wpadłem na dwa dni.

– Rozumiem.

Admirał obrzucił wzrokiem kasyno i dwie eleganckie, atrakcyjne kobiety wychodzące z hotelu i skrzywił się. Spojrzał potem na chusteczkę, której rogi wystawały z górnej kieszonki marynarki Falcó, podejrzliwie, jakby spodziewał się zobaczyć tam ślady szminki. Falcó uśmiechnął się.

– Jestem z kimś umówiony – usprawiedliwił się. – Sprawa Alkmaara.

– Ach, tak. Ten statek... Jakiś problem?

– Żadnego. Wszystko idzie jak po maśle.

– Cieszę się.

Patrzyli na siebie przez chwilę, Falcó niezdecydowany, Admirał poważny. Ten drugi miał ważne spotkanie w hotelu, powiedział: z don Juanem Burbonem, jego doradcami i ludźmi z kręgów monarchistycznych. Księżę Asturii, syn Alfonsa XIII, zamierzał udać się do Hiszpanii i zaciągnąć w szeregi armii narodowej. Akt patriotyzmu i inne etcetery. Misja Admirała polegała na tym, by z jak największym taktem odwieść go od tego. Nie komplikować sytuacji. Z falangistami pozbawionymi przywódcy i synem zdetronizowanego króla na wygnaniu w Portugalii Salamanka była znacznie spokojniejsza, a Caudillo szlifował władzę absolutną.

– A co w mojej sprawie? – zagadnął Falcó.

Szklane oko odjechało od zdrowego. Po chwili oba zbiegły się na agencje.

– Mam jeszcze trochę czasu... – Admirał wy dostał z kieszeni kamizelki złoty zegarek z dewizką. – Chodź... Przejdziemy się.

Szli po żwirowej alejce prowadzącej pod palmami do parku.

– Później... dobra, po tym, co zrobiłeś, Queralt długo szalał i domagał się twojej głowy.

– Nikt nie jest w stanie udowodnić, że to byłem ja. Nawet pan.

Admirał gładził wąsa i kołysał parasolem.

– To samo powiedziałem, kiedy Nicolás Franco wezwał nas obu, żeby to wyjaśnić. Ale nie dało się ukryć tego, co oczywiste – zdrowe oko ponownie weszło do akcji. – Naprawdę musiałeś tak to rozegrać, bydlaku? Wykończyć trzech policjantów, ojców rodzin?

Falcó nie odezwał się. Trudno było odpowiedzieć na to w racjonalny sposób. Poza tym nikt nie oczekiwał odpowiedzi. Szef patrzył na niego spode łba rozdrażniony.

– Zniosłem to mycie głowy najlepiej, jak potrafiłem – ciągnął. – Miałem kilka atutów w rękawie i powoli udało mi się odkręcić całą rzecz. Przedstawiłem ją jako zagranie samego Queralta mające na celu podłożenie świni SNIO, a ku mojemu zdziwieniu brat Caudilla zachował się, jakby brał to pod uwagę. Sądzę, że próbuje kontrolować w ten czy inny sposób obie nasze służby i cała historia jest mu na rękę. Kij i marchewka.

– Nie pytali, dlaczego wyjechałem z Salamanki?

– Oczywiście, że pytali. Wiele razy i bardzo niemiłym tonem. A ja łagodziłem, jak mogłem. Choć tak naprawdę mam w dupie ludzi, których rozwaliłeś.

– Przykro mi.

– Tobie przykro? Już widzę, jak ci jest przykro! Ty masz to głęboko gdzieś. Bądź łaskaw nie traktować mnie jak idiotę.

Przystanęli przy drewnianej parkowej ławce między dwoma rondami. Admirał postukał w nią czubkiem parasola, jakby sprawdzał solidność. Potem wyciągnął chusteczkę, by przetrzeć siedzisko.

– No cóż. Kiedy ci dwaj zapytali mnie, dlaczego się zmyłeś, skoro nie miałeś z tym nic wspólnego, odrzekłem, że przeczucie powiedziało ci, że Queralt ma ochotę zlikwidować także i ciebie. I na tym stanęło.

Usiadł z parasolem między nogami i rękami założonymi na rączce. Zachęcił podwładnego gestem, by uczynił to samo, a ów posłusznie zdjął kapelusz i przysiadł obok.

– Wreszcie po długich dyskusjach i awanturach rozsądzonych przez Nicolasa Franco... – ciągnął Admirał – ...uzgodniliśmy wersję oficjalną. Podczas operacji w Alicante wkręciła się w nas sowiecka agentka, Queralt wytropił ją i złapał, ale uciekła mu podczas przesłuchania, zabijając perfidnie trzech funkcjonariuszy. Koniec kropka.

– A ja?

– Ty wziąłeś nogi za pas, ponieważ ja sam uprzedziłem cię o niebezpieczeństwie, i przebywałeś w bliżej nieokreślonym miejscu, wypełniając patriotyczny obowiązek szpiega i mojego podwładnego. Innymi słowy, żarliwie działając na rzecz nowego świtu Hiszpanii.

– Nie będzie innych konsekwencji? – zdziwił się Falcó.

Przełożony rzucił mu ciężkie spojrzenie.

– A czego się spodziewałeś? Jeśli ludzie Queralta cię dopadną, drogo zapłacisz za to, co zrobiłeś. W tej kwestii nie miej żadnych złudzeń. Ale formalnie między nami wszystko gra. Lubimy się. Zresztą, kto się czubi, ten się lubi. Sam wiesz.

– Tak, sam wiem.

Admirał zdjął kapelusz i przesunął dłonią po siwych włosach. Spoglądał na dzieci bawiące się nieopodal, toczące obręcz pod czujnym okiem niań.

– Przez jakiś czas uważaj nie tylko na agentów czerwonych, ale i na naszych – dodał po chwili. – Na wszelki wypadek.

Założył kapelusz i nadał przyglądał się dzieciom, opierając brodę na rączce parasola.

– Wiedzą coś o niej? – odważył się wreszcie zapytać Falcó.

– Ani dudu. Myślałem, że ty będziesz coś wiedział.

Falcó nie zobaczył więcej Ewy Rengel. I powiedział o tym. Po przekroczeniu granicy zadzwoniła do kogoś z telefonu w zajeździe, gdzie się zatrzymali. Nie wiedział do kogo. Zamierzał zawieźć ją do Lizbony, ale poprosiła, żeby zostawił ją w Coimbrze przed stacją kolejową.

– Nie wsiadła do żadnego pociągu. Czekają na nią auto z dwiema osobami w środku, nie widziałem ich twarzy. Wysiadła z mojego samochodu i odjechała z nimi.

– Tak po prostu... – Admirał wyglądał na zaskoczonego. – Nic ci nie powiedziała?

– Otóż nie. Naprawdę nic nie powiedziała. Wysiadła i odeszła, nie odwracając się.

– I pozwoliłeś jej odejść?

– Niech pan mi powie, co innego mogłem zrobić.

We wzroku szefa SNIO pojawiła się nieufność. Skrzywił się nieprzyjemnie.

– Nie wierzę.

– Daję panu słowo.

– Twoje słowo jest gównem warte.

Milczeli przez chwilę. Admirał wciąż opierał podbródek na rączce parasola. Bębnił w nią palcami. W końcu spojrzał na Falcó z ciekawością.

– A na poważnie... Naprawdę nie miałeś potem wieści o tej kobiecie?

– Tak jak panu mówię.

– Po tym, co dla niej zrobiłeś?

– Byliśmy kwita. Ona i ja.

Admirał zaśmiał się sarkastycznie. Niemal teatralnie.

– Przewróciłeś Salamankę do góry nogami dla tej bolszewickiej suki.

– Nie dla niej, proszę pana.

– Taak. – Admirał śmiał się półgębkiem, nieprzyjemnie. – Żeby zetrzeć uśmiech Lisarda Queralta...

– Właśnie tak.

– Nie pieprz. To nie mogło być tylko dlatego.

– A jakie to ma znaczenie?

Admirał spojrzał zrezygnowany na zegarek i powstał ciężko.

– Za kilka tygodni wszystko wróci do normy na tyle, na ile to możliwe... Przynajmniej to, co się tyczy ciebie. Napływają masowo Niemcy i Włosi, ale czerwoni trzymają się twardo. Mają swoje Brygady Międzynarodowe, a za nimi Sowietów.

Falcó także wstał. Włożył kapelusz.

– To będzie trwało długo, prawda?

– Bardzo. A ty wciąż jesteś mi potrzebny. Byłoby dobrze, gdybyś wrócił teraz na południe Francji i wkręcił się między ludzi, którzy szukają pomocy dla Republiki. W Biarritz też jest kasyno.

Poszli w cieniu palm w stronę hotelu.

– Naprawdę nie zobaczyłeś jej więcej? – nalegał Admirał.

Falcó zmrużył oczy. Przypomniał sobie Evę Rengel odchodzącą w stronę dworca w Coimbrze, owiniętą w płaszcz zabitego policjanta, który był na nią zbyt duży. Nie było prawdą, że nie odwróciła się za siebie. Uczyniła to jeden jedyny raz, zanim wsiadła do samochodu, który na nią czekał. Zatrzymała się, poważna, bez uśmiechu, i patrzyła na Falcó przez dobrą chwilę, zanim zniknęła z jego oczu i życia.

– Nie, admirale. Nie zobaczyłem jej więcej.

– Dobra. Nigdy nic nie wiadomo, nie...? Działacie w tej samej branży, a świat jest mały. Po pewnym czasie wszyscy stale wpadamy na siebie. Być może spotkasz ją jeszcze, Bóg wie gdzie.

– Tak. Być może.

Admirał prychnął. Ponownie zerknął na zegarek i przystanął. Zdrowe oko rzucało ironiczne iskry.

– A wtedy, skoro, jak mówisz, jesteście kwita, postaraj się, żeby tym razem ona nie zabiła ciebie. Przynajmniej dopóty, dopóki jesteś mi potrzebny.

– Postaram się, proszę pana. – Falcó podniósł trzy złączone palce jak skaut. – Obiecuję, że się postaram.

– Tak będzie lepiej dla ciebie, łotrze... A teraz zejź mi z oczu.

Naburmuszony wskazywał parasolem jakiś nieokreślony punkt na horyzoncie. Falcó trzasnął zamasyście obcasami i uchylił kapelusza. Uśmiechał się jak klasowy psotnik stojący przed dobrodusznym profesorem.

– Rozkaz, panie admirale.

Każda kobieta dałaby się złapać na ten uśmiech.

Estoril, kwiecień 2016 roku

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

1. Nocne pociągi

2. Suspiros de España

3. Lewantyńska misja

4. Niewinni kaci

5. Zabić nie jest trudno

6. Śmiech powróci wiosną

7. Przyjaciele Felixa

8. Są drogi i drogi

9. Popioły w konsulacie

10. Długie noce w sam raz na rozmyślania

11. Czekolada i kawa

12. Nic nie jest takie, na jakie wygląda

13. Uśmiech pułkownika Queralta

14. Noc jest neutralna

15. Epilog

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału

Falcó

© 2016, Arturo Pérez-Reverte

Projekt okładki

Michał Pawłowski

www.kreskaikropka.pl

Fotografia na okładce

Barnaby Hall/Getty Images

Opieka redakcyjna

Dorota Gruszka

Adiustacja

Monika Skowron

Korekta

Jadwiga Hoffmann-Grell

Barbara Wójcik

Copyright © for the translation by Marzena Chrobak

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2018

ISBN 978-83-240-5428-2

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek



ARTURO

PÉREZ-REVERTE

Falcó

znak